

# CHORE DUSZE.

POWIŚĆ W DWOCH TOMACH,

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM I.

WISŁAWA.

WYDAŁ DZIĘKIŁO WOLFA

N. K. X / 332. -

WYCOFANO Z BIBLIOTECY  
EBL  
MUZEUM HISTORII  
W KRAKOWIE

CHORE DUSZE.



# CHORE DUSZE.



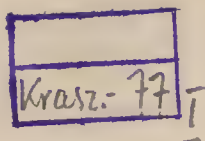
POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM I.

WARSZAWA.  
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.  
—  
1881.



Дозволено Цензурою.

Варшава, 16 Июня 1880 года.



T. 1-2/2.000

---

Drukiem Józefa Ungra, Warszawa, Nowolipki Nr. 3.

Wieczór był jesienny, ostatnich dni sierpnia w Rzymie, z którego w tym miesiącu ucieka kto może, do którego w téj porze nie przebywa nikt, oprócz tych co ich konieczność jakaś zagna do wiekuistój stolicy.

Na drugiem piętrze domu na Via Sistina okna stały otworem; gorąco, pomimo nadchodzącej nocy, było jeszcze nieznośne. Wdali na niebiosach jasnych malowała się ciemno majestatyczna kopuła bazyliki Ś. Piotra i w gmachach Watykanu widać było zapalające się światelka.

Cisza smętna, grobowa leżała nad olbrzymią, w ruinach tysiącoletnich stolicą, ledwie niekiedy szmerem jakimś powietrznym lub dźwiękiem wieczornych dzwonków klasztornych przerywana.

Smutek wiekuisty ludzi tęskniących duszami ku czemuś nieokreślonemu, upragnionemu i niedoścignionemu, ciążył nad temi wspaniałemi gruzami, ponad któremi nowe gmachy i wskrzeszone życie chórem z ruinami mówiło: Człowiecze, nie niéma wiecznego na ziemi!

Lecz ponad ziemią przyciśniętą dusznemi opary jaśniały wiekuiste niebiosa wypogodzone, na których gdzieniegdzie migotały już z ciemności główki gwiazdek promieniste.

Na ziemi smutno było jak w grobie, na niebiosach pogodnie, jasno, spokojnie...

Tu w tém mrowisku, na rumowiskach poruszało się życie zbolełe; tam błyszczały śmiejące się wiekuiste światelka, wśród majestatycznie rozpostartych przestrzeni eteru.

I chciało się w téj chwili patrzeć wgórę, aby nie widzieć co się dzieje pod stopami. Tu życie miało fizyognomią śmierci, tam śmierć gasnących aerolitów jaśniała życiem.

Są wszędy smutne wieczory takie, nawet tam, gdzie je myśl i ręka płocha chce wesołemi uczynić; lecz nigdzie smutek ludzki, nieokrésłony ów, przyniesiony z życiem, nie ściska tak duszy, jak na tém pobojo wisku wieków, które się Rzymem zowie.

Jest-to wyschłe serce świata, który żyć przestał, a na którego mogile wyrosło zdrobniałe życie nowe, napół z piersi trupiej wyssane.

Potężne te ruiny, skorupa potwora, którego ramiona obejmowały cały naówczas znany świat, do dziś dnia mówią o olbrzymie, zjedzonym przez drobne mrowie barbarzyństwa.

Termity z północy, pełzające po ziemi, podgryzły i podkopały tę przerosłą potęgę i w proch ją obróciły. Gotowały podściół pod nowy posiew

Boży, dla mającego z ruin i mrowia urosnąć świata.

Pomiędzy tém, co się tu w grób położyło, a tém, co się zrodziło na grobie, legła przepaść wieków, półmroku i cienia.

---

Na małym balkonie domu niegdyś Sobieskiego, dziś zowiącego się Casa Bartholdi, stało osób kilka zadumanych, wpatrzonych w krajobraz wieczora, milczących, nieśmiących wydać głosu, aby nie sprofanować téj ciszy uroczystej, modlitewnej całego stworzenia. Wolno tylko było dzwonom wśród niej jęczeć tęsknicą klasztorną, modlitwą pokorną i wiatrowi od gór i stepów szemrzeć ziemi „dobranoc.”

Nikt nie nakazywał tego milczenia, a wszyscy nakaz zgóry płynący czuli w duszach zarówno i byli mu posłuszni. W jednej chwili zerwały się różnobarwne nici ponawiających myśli, usta zadrgały, odrętwiały i musiały zaniemić.

W taką ciszę, mówi lud nasz, że anioł przeleciał, anioł niewidzialny, niosący myśl nieziemską i odrywający dusze, aby nie przyrosły do gnojnój powłoki cmentarza.

Anioł przeleciał i skrzydły białemi dotknął wszystkich głów, w których było mętno, wszystkich serc, w których było ponuro i ciemno, rzu-



cając z rosą wieczora, jak perłę, słowo pociechy i miłosierdzia, pocałunek nieba dany ziemi:

— Pax! Pax!

I stała się chwila pokoju tam, gdzie go nigdy nie bywa, bo życie jest bojem i wrzawą, a była chwila ta krótka, jak oka mgnienie.

Wstrzymały się głosy i oddechy w tym spokoju błogim; lecz natychmiast życie się praw swych upomniało, oczy z niebios zwróciły się ku ludziom i mrokom, zastygłe głosy z ust się napięrać zaczęły.

Sparty o poręcz małego balkonu, stał z siwemi włosy okrytą, podniesioną głową mężczyzna, którego twarz odbłask łuny wieczorniej łagodnym światłem oblęwał.

Wiek jego trudno było odgadnąć; włos mu się srebrzył na skroni, a oblicze zdało się, o tej zwłaszcza wieczorniej godzinie, młode jeszcze i życia pełne. Ciemne oczy, przysłonięte powiekami napół zapuszczonemi, patrzyły w świat, lejąc z siebie strumienie światła, w głębi jeszcze gorejącego. Czoło miał wypogodzone, jak owo niebo wieczorne, na policzkach białych nie widniały zmarszczki, tylko około kształtnych ust, zaciśniętych nieco, zarysowywały się drogi, któremi uśmiech dobroci lub łagodnego szyderstwa przechodząc, wydeptał je powoli.

Patrząc w tę twarz, ktoś nieznajomy, pociągnięty jej wyrazem, musiałby był sobie zadać pytanie, co ona mówiła, co znaczyła, z czego

wzrosła i w co jeszcze mogła się obrócić? Mimo siwych włosów, twarz to bowiem była nieskończona, niezastygła. Nie był to gips stęzwały, ale glina, którą dotknięcie wielkiego mistrza, losu, mogło uczynić arcydziełem, albo obrócić w nieforemną bryłę ziemi.

Człowiek ten nęcił czémś niełatwém do wyczyniania.

Po za nim można się było domyślać całego szeregu postaci wielkich, których on krwi i myśli był spadkobiercą. Wpatrując się w niego, odgađywałeś krew bohaterów miecza i bohaterów ducha, po których on wziął organizm już zwątlony, ale wyszlachetniony. Można go było jeszcze odziać w żelazną zbroję starą i serce by mu do niej i w niej uderzyło praojcowskimi wspomnieniami; ale długoby dźwigać jęj nie podolał. Hełm nazbytby mu cisnął to czoło, pod którym teraz odegrywał się cały dramat jego życia.

Gdyby nie ten siwy włos, co mu bujnie spadał na ramiona, z postawy wyniosłej, niezłamanej życiem, z silnej i zręcznej budowy ciała, hrabiego Augusta wzięłoby było można za młodzieńca, chociaż ani strojem, ani wymuszonymi ruchy nie starał się lat ująć sobie, a swą siwizną zdawał się chlubić.

Wyraz oblicza tego, przysłoniętego tajemnicą, zagadkowego, był smutny, ale spokojny i łagodny, jakby kogoś co z wielkiego boju powrócił

ranny i bliznom się dał zasklepić, choć o nich nie zapomniał.

W drugim rogu małego balkonu, gdyby artysta chciał był umyślnie kontrast postawić, nie mógłby szczęśliwiej dobrać przekorniej postaci. Pochylony, dziwnie jakoś zwinięty i skrecony, stał człowieczek niestary jeszcze, z krótko postrzyżoną, rzadkim blond włosem okrytą głową. Wzrostu był znacznie mniejszego od swojego towarzysza, krzepki także, lecz nawet gdy chciał być spokojnym, wszystko w nim drgać się zdawało niecierpliwie. Te niesforne ruchy zdradzały naturę, w której równowagi nie było jeszcze, lub nigdy już ona przyjść nie miała.

Ogolona twarz, ni młoda ni stara, nie miała oklepanego typu Mefistofila, choć może nadaćby go sobie pragnęła; wyraz jój był ziemsko-szatański, jednego ze służek pana ciemności. Rysów wybitnych nie miała; nos, oczy, czoło były jak u wszystkich tych ludzi, na których spojrzawszy raz, już się więcej nie ma patrzeć ochoty i po chwili o nich się zapomina.

Masce téj jednak pospolitój wewnętrzny ogień nadawał wyrazy niespodziane, tak coraz nieskończenie odmienne, że w jednej chwili stawała się na przemiany miłą i wstrętliwą. Charakter jój stanowiła ta ruchawość niezmierna, niezmordowana, te błyskawiczne przemiany, które się dokonywały na rozkaz niespokojnego ducha — może nato, aby stan jego przysłoniły i zakryły.

Twarcz pierwszego z nich swą powagą ufność budziła, drugiego niepokój i obawę.

Wczasie tego milczenia — przelotu anioła — siwowłosy stał jakby się modlił, mały jakby chciał sztydzić, a czuł się jakąś potęgą silniejszą niż on skępowały.

Cała jego postać wyrażała walkę z tą potęgą której oprzeć się nie mógł, a przeciw której bezsilnie się buntował. Ciekaw tego co jego towarzyszy doznawał, wpatrywał się weń bacznie, uroczystym spokojem jego upokorzony.

Siwowłosy patrzył wpół zmrużonemi oczyma na niebo i kopułę św. Piotra; towarzyszy spuścił wzrok w małą uliczkę pustą, nad którą balkonik jak gniazdo jaskółcze był zawieszony.

W ogródku, którego bujna roślinność z za murów odrapanych rwała się dogóry ku powietrzu i słońcu, woniały rozkwitłe krzaki jaśminu i gardenii. Schylony ku ziemi, upajał się ich zapachem.

Ale tuż zbliżka załatywała z ulicznej, niewidzialnej kuchenki frittura i strutto wieczery i mieszając się z temi wydechy niebieskimi kwiatów przypominały, że na ziemi raj u niema.

Siwowłosy, który się nie schylał tak nisko, czuł może tylko gardenii wonie; drugiego dusiła frittura.

Nie byli sami na balkonie.

We drzwiach, z saloniku na balkon wiodących, stała kobieta w prostej, białej sukience, cień niby

jakiéjs kreacyi Ary-Schefera, którą przypominała wdziękiem naiwnym i układem archaicznym draperyi, jakby ze starego zapożyczonym posagu.

I ją przelatujący anioł milczenia potracił skrzydły białemi. Stała w niebo wpatrzona, ze słowem na ustach zamarłym, a pięknie jéj z tém było, jakby zrodziła się do żywota wiecznego w posagu i była widmem uroczém, co mówi bez słowa, co żyje bez krwi i łez.

Nie można było odgadnąć jak wyglądała we dnie, ale wśród tego mroku, słabém blasku wieczornego odbiciem oblana łagodnie, idealną się wydawała. Można się było obawiać, aby z zorzą wieczora nie rozplynęła się w powietrzu.

Twarz jéj prześliczną bujne, czarności kruczój otaczały włosy, dosyć niedbale zawiązane, nie bez mimowolnego może naśladowania posagowych warkoczy niewiast greckich. Piękności jéj, jaką była w téj chwili, ani opisać, ani odmalować niepodobna. Twarz miała cesarzowej rzymskiej, bogini Hellenów, Psychy, gdy ją Amor odleciał. Czarne oczy nie patrzyły wesoło i usta były smutne, choć młodość jeszcze ją opromieniała, choć stała we wrotach życia.

Ale już niepokalaną świeżość policzków łyżetrzec musiały, oczy spłakane zapadły głębiej, z warg odleciał uśmiech dziecięcy, a siadły na nich ironia i zwątpienie. Wsparta o ramy drzwi otwartych, z rękami na piersiach założonemi, nie-

ruchomą, była jak posąg; oczy jój tylko to podnosiły się ku łunie wieczora, to spadały pod nogi.

Tuż obok niej, we drzwiach o drugą ich stronę oparty, stał młody, w kwiecie wieku, życia i zdrowia mężczyzna, którego piękne rysy, pokrewne twarzy kobiety, kazały się w nim domyślać brata. Podobieństwo obojga było zarazem dowodem, iż jedne rysy i piękność jedna idealną lub pospolitą być może, gdy dusza je opromieni lub osiéroci.

Młodzieniec stał milczący, ale milczenie jego nie pochodziło z dusznej potrzeby, było raczej grzecznością i ustępstwem dla towarzystwa, wśród którego się znajdował. Oczy jego przelatywały ciekawie to na siwowłosego mężczyznę, to na drgającego jego towarzysza, wreszcie ukradkiem padały na zamysloną siostrę. W nim grała jeszcze młodość krwi, nie ducha, chciwa pochwycenia wszystkich życia tajemnic i wszystkich rozkoszy, a wszelkim spokojem niecierpliwiąca się, jak skarbem zmarnowanym.

Z téj czwórki on jeden jeszcze był nieprzesycony, niezniechęcony; pragnął i rwał się na bojowisko życia. Ręce jego niecierpliwie rwały łańcuszek od zegarka, chwytaly suknie, szukały jakby oręża do walki.

Milczenie, choć krótkie, ale tak zgodne i znaczące, było dlań niepojętém. Anioł ciszy i pokoju skrzydłem go ominął.

Nareszcie!

Z głębi téj ciszy wyrwało się westchnienie, szept prawie niedosłyszany, który wyszedł z ust siwowłosego:

— Roma!

W jednym tym wyrazie zamknął on wszystko.

— Roma!—echem powtórzyła za nim, długiem wejrzeniem ciekawém mierząc go kobiéta. — Roma! a ja, istota malúczka, słaba, w téj chwili, gdy jak wy, panie brabio, powinna była zatopić się cała w tęsknocie rzymskiej — ja poleciałam myślą — wiécie dokąd?... tam, tam, gdzie szumią puszcze nawpół wypalone, gdzie wiatr szerokie piaszczyste pola przelata, gdzie brzęczą komarów roje i chóry żab naszych śpiewają, gdzie czuć dym chłopskich chatek, a od łąk wilgotne płyną wonie wierzb i łotoci... Popelniłam może świętokradztwo, wielką tęsknotę Rzymu, żeniąc i krewniąc z tą, która tam wiekiuscie leży życiem nierozpoczętém, tak jak tu życiem przerwane.

Siwowłosy słuchał i ostatnim słowom pięknej pani, których dźwięk brzmiał jakby muzyką, dał się rozwiać i rozplynać, nim sam przemówić się ośmielił.

— Wszystkie ziemskie tęsknoty są krewne — rzekł.—Ale czy w Rzymie, czy w puszczach poleskich, niezdrowo karmić się niemi. Są to mogilne kwiaty; prawdziwe życie ubierać się w nie niepowinno. Tęsknota pęta i osłabia.

— Jakże się jój oprzec?—zapytała kobiéta.

— Nie wiem, ale opierać się trzeba. Tęskno-



ty są—to śmierci zwiastuny. Starym ludziom strzedz się trzeba drzémiania we dnie, młodym tęsknot i smutków.

Mały, ruchawy człeczek, oparty o drugą stronę balkonu, podniósł się, usłyszawszy głosy, odwrócił, rękami wtył odwróconemi sparł na poręczy i ciekawie nadstawiał ucha. Oko jego badało siwowłosego towarzysza. Spokój z jakim mówił drażnił go i burzył.

Młodzieniec przy siostrze stojący rozpoczęcie rozmowy powitał jak wybawienie. Twarz mu się rozjaśniła; zdawał się mówić:

— A! przecież!

— W Rzymie przynajmniej tęsknoty nikomu za grzech poczytać się nie godzi — odezwała się kobieta. — Dla mnie tu najmniej jest zrozumiałym karnawał, szal, wesele, pusty śmiech na tym grobowcu, który uszanować trzeba.

— Ale ten grobowiec stał się kolébką — rzekł siwy spokojnie.

— A! — przerwał mały z uśmiechem — kolébką z kawałków trumny, rzecz wcale niewesoła!

— Trzeba się z tém jednak pogodzić — odpowiedział towarzysz na balkonie stojący — bo wszystko na świecie co jest życiem, wyrasta ze śmierci.

Kobieta westchnęła cicho; wszyscy zamilkli znowu.

— Ja ledwie się śmiem odezwać — zadzwieczał młody, wesoły głos stojącego we drzwiach, na



którego siostra zwróciła oczy ciekawe i zdumione trochę—lękam się z jaką herezyą wyrwać. Gdyby nie było tego karnawału i tych śmiechów naiwnych, na które Liza wyrzeka i dziwi się im, wyżycby tu niepodobna. Wszystko piękne, wspaniałe, prześliczne — nie przeczę; ale te co krok groby, kolumbarya, katakumby, pyramidy i świątynie na kostnicach, ci ludzie ciągnący się wzdłuż powozów jakby z procesyą i pogrzebem, to mrowie mnichów i księży... ta atmosfera zgaszonych świec katafalkowych...

— O! o! — przerwał nagle siwowłosy — ty to, kochany Fernandzie (w ten sposób siostra skraciała pana Ferdynanda imię) przybyłeś zawczasie do Rzymu. Potrzeba pewnej dojrzałości, aby się w nim rozmiłować, nie przestraszyć nim, nie dać się pozrzeć jego wrażeniom.

— Ja sędzę—szepnęła cicho kobieta—że tak gorąco kąpanemu jak mój Fernando, trochę tego chłodu nie zaszkodzi zawczasu. Prędzej spowadźniej.

— Ale nacóż ma ostygąć i poważnieć przed czasem?—odezwał się siwy.—Pani Liza pozwoli mi sprzeciwić się: młodość stworzoną jest nato, aby...

— Aby—podchwyciła kobieta — z całym zapalem rzucając się w świat, została rozczarowaną i złamaną.

— Być może—odparł nie ustępując, ale ciągle spokojnie siwy.—Młodość jest nato, aby się ła-

mała i złamać nie dała, aby przeszedłszy do świadczeń koleje, sama dla siebie znalazła miarę tego, co z jej siłami osiągnąć można.

— Wiécie państwo — przerwał nagle niemiłym, jakby ochrypłym głosem, mały, ruchawy człowieczek. — Na tak wysoki ton nastrojona jest rozmowa, że my z panem Fernandem, prości śmiertelnicy, chodzący po ziemi, nieumiejący jak państwo latać po obłokach, gotowiliśmy pójść na spacer na Monte Pincio, aby przypadkiem dysharmonijną nutą nie popsuć téj poezyi, jaka się tu zwiastuje.

Z szyderskim nicco wyrazem wymówione te słowa jakby zimną wodą oblały piękną panią i siwowłosego mężczyznę. Natychmiast zamilkli. Kobięta, chłodném wejrzeniem zmierzwszy mówiącego, szepnęła nierychło:

— A więc, zostąpimy z obłoków na ziemię, abyście nám panowie przed herbatą nie zdezerterowali.

Właśnie skończyła te słowa, gdy służący lampę wnosił do salonu, a przyniesione światło było znakiem zamykania drzwi i żaluzyj, aby się ku niemu nie rzuciły komary i ćmy, nocni goście nieproszeni. Wszyscy więc ruszyli do pokoju, do którego razem wchodziła i zapowiedziana herbata.

— Przepraszam — rzekł, na kanapie sadowiąc się, ruchawy jegomość. — Gdyśmy zeszli na ziemię, niechże mi wolno będzie spytać, dlaczego pani wybrała tę porę do zwiędzenia stolicy, gdy wszy-

scy z Rzymu uciekają, gdy mówią, że powietrze jest tu najniezdrowsze, gdy taka wokoło pustka?

Kobięta, której twarz przy lampie niemniej była piękną, ale smutniejszą i jakby przed czasem zwiedniałą i zmęczoną, popatrzyła długo na mówiącego, tak długo, iż miał czas, ubodnięty tém wejrzeniem chłodném, zmieszać się i rozważyć, że pytanie zrobił niedyskretne.

— Właśnie dlatego, że Rzym jest teraz tak pusty, że wszyscy z niego uciekają, że można się w nim obracać swobodniej, ja zostałam tu, aby go oglądać. Ludzi w nim nie szukałam.

— A pomimo tych ostróżności, znaleźli się natręci, niedający się odegnać—przerwał z rodzajem szyderstwa mały, który się zwał hrabią Filipem.

— Wyciągasz mnie pan na komplement—rozmiała się gospodyni.—Ja się boję obcych tylko, a my, panie hrabio, jesteśmy sobie przecie dawno i dobrze znajomi.

W ostatnim frazesie musiało być coś dotkliwego, bo hrabia drgnął, ale się skłonił, dziękując. Twarz jego, gdy ją podniósł, cała była zarumieniona, oczy biegały niespokojne.

— Dla mnie to prawdziwe szczęście—kończyła pani Liza, zbliżając się ku stolikowi, na którym zastawiono herbatę — prawdziwe szczęście, że panów tu znalazła. Ja, choć lubię samotność, jednak nie osamotnienie. Pomiedzy zgieł-

kiem i tłumem, a kółkiem dobrych znajomych i przyjaciół, wielka jest różnica.

Gdy tak rozmawiano, Ferdynand zrećźnie bardzo pomagał siostrze w gospodarstwie przy herbacie, co zdawało się potrzebném, gdyż piękna pani, jakby roztargniona, dość niewprawnemi rączkami około filiżanek się krzątała, co bolesne ich dźwięki zdradzały. Myślą była zapewne gdzieindziej.

Od stolika, przy którym stała, spoglądała niekiedy ukradkiem ku siwowłosemu, siedzącemu z twarzą wypogodzoną i napawającemu się widokiem téj pięknej postaci, której każdy ruch tak był wdzięcznym, jakby był obrachowanym, choć o to nikt jój nie mógł posądzić. Oczy hrabiego Filipa biegały także za panią Lizą, ale z innym zupełnie wyrazem. Cóż w nich było tego Satyra mytologicznego, który bez złej myśli na kobietę spojrzeć nie może.

Wejrzeń téż jego natarczywych starała się unikać piękna gospodyni, czując że bez wstrętu spotkaćby się z niemi nie mogła. Paliły ją, jak wyuzdana mowa uliczników.

Wtém stłumiony głos jakiś dał się słyszeć z przedpokoju; gospodyni wstrzymała się z nalaniem herbaty, szepnęła coś bratu, który ku drzwiom pośpieszył, ale nie miał czasu ich otworzyć, gdy ukazała się wchodząca kobiéta. Była to pani jeszcze piękna bardzo, niegdyś zapewne zachwycająca, lat średnich, postawy maje-

statycznój, słuszną, kształtów których wiek nie zniszczył, twarzy może zanadto pełnój, ale kwitnącój, którój żywe, błyszczące oczy dodawały wdzięku. Czarny jój strój skromny był, lecz bardzo wytworny, mimo pozornego zaniedbania.

— Przysięgam—poczęła od progu głosem wesolym i sympatycznym, oczyma obliczając obecnych—że droga Liza już się mnie dziś nie spodziewała i dla mnie niema filiżanki. Ja zaś tak byłam jakoś stęsknioną moją samotnością, a tak pewną że tu wszystkich zastanę, iż wstrzymać się nie mogłam.

Wszyscy witali księżnę, jak dobrzy, poufali znajomi.

Są ludzie, co noszą z sobą jakąś woń właściwą, co pachną piżmem, perfumami, fiołkiem lub różą, albo ich czuć pieśnią lub stęchlizną; ale są także i tacy, co w faldach sukni niosą wesele lub smutek.

Księżna Teresa, wchodząca do salonu, miała tę właściwość, że choćby nawet była trochę smutna, przynosiła z sobą życie i wesele. Czy je miała sama dla siebie, czy posłannictwem jój było tylko drugich niemi obdzielać, to dla wszystkich pozostawało tajemnicą. Mówiono iż w samotności często bywała posepna, chmurna, jakby znudzona; ale dla ludzi uśmiech miała zawsze i czoło pogodne.

Piękna jój twarz jaśniała wyrazem dobroci rozumu. Złośliwi utrzymywali, że i ten rozum

niezaprzeczony więcéj dla drugich służył, niż dla niej saméj, chociaż nie jéj nierozważnego do zarzucenia nie miano. Rozbrajała najniechętniejszych łagodnością i dobrocią niewyczerpaną.

— Proszę państwa — odezwała się, siadając i wachlarzem starając się ochłodzić po zmęczeniu schodami—co mi za szczególna przyszła uwaga, obliczając to nasze gronko wieczorne. Jakiśmy się to dziwnie zeszli i dobrali! Dwie wdowy i trzój kawalerowie.

— Przepraszam—przerwał hrabia Filip—ja nie mam prawa liczyć się do kawalerów. Jestem wprawdzie dziś wolnym, lecz miałem to nieszczęście być trochę żonatym. Smutno mi tę omyłkę moję przypominać, ale prawda przedewszystkiém.

— Jesteś pan rozwiedziony — odezwała się księżna z uśmiechem, w którym politowanie mieszało się z trochę szyderstwem,—a ponieważ rozwód u nas nie daje się inaczej, tylko gdy małżeństwo za nieważne jest uznane, więc wychodzi na to, jakbyś hrabia był kawalerem.

— Prawnie... może — odparł kwaśno hrabia Filip. — Księżna masz słuszość; faktycznie jednak.... smutny zawód nie daje się wymazać z rejestru życia.

— No! no! nie mówmy o starych grzechach, bo któż ich nie ma—zamknęła mu usta księżna.— Dla nas jesteś pan starym kawalerem i po wszystkiém.

Młody brat gospodyni, pan Ferdynand, podawał herbatę i wszyscy się około okrągłego stolika mieścić zaczęli. Bystry wzrok przybyłej pani, przelatując z kolei po otaczających, najczęściej zatrzymywał się na siwowłosym, jak gdyby z niego chciała coś wyczytać i odgadnąć.

Hrabia August oczy trzymał spuszczone, czoło miał wypogodzone i czytać w sobie nie dawał. Można się tylko było domyślać z ruchów, z wielkiej pilności jaką miał około siebie, że obawiał się, aby w nim czytać nie chciano, odgadując iż ktoś być może ciekawy. Czy miał co do utajenia? o to zdawała się go mocno posądzać księżna, bo przyglądała mu się pilnie, a nie zdobywszy nic, wkońcu wprost go zagadnęła, aby zmusić do podniesienia oczu i przerwania milczenia.

— Hrabio Auguste, jakże idą studia rzymskie?

— Niech księżna nie pyta—odparł głosem powolnym i cichym, nie podnosząc oczów z talerzyka.—To nie studia, przepraszam, ale studnia do wypicia.

— A my do zgłębienia jój przeszkadzamy—wtrąciła gospodyni—my, to jest ja.

Księżna się uśmiechnęła nieznacznie.

— Całkiem przeciwnie—zawołał żywo hrabia August—pani do nich mi dopomaga skutecznie. Każde jój zapytanie uczy mnie mojej niewiedomości, odkrywa drogi nowe. Pani masz dar wskazywania tych stron, tych wątpliwości, na



które tylko umysł tak obdarzony szczęśliwie, tak przenikliwy jak jój wpaść może...

— A! nie przewidziałam wcale, że wywołam tak niezasłużony komplement—rozśmiała się gospodyni z wesołością trochę wymuszoną i mocno zarumienioną.

Tak rozpoczęła rozmowa, z pomocą księżny Teresy, która miała dar ożywiania jój i prowadzenia, byłaby gładko i przyjemnie potoczyła się dalej, po równej powierzchni rzeczy powszednich, gdyby (był-to dzień niespodzianek) z przedpokoju nie dała się słyszeć stłumiona jakaś rozmowa, zwiastująca gościa nowego.

Wszyscy umilkli, zdziwieni trochę, bo się nikogo więcej nie spodziewano. Na twarzy gospodyni odmalował się niepokój i ciekawość. Zdawała rozmowa ta ze służącym w przedpokoju brzmiała jakby spór z nim dość żywy.

Nieznany głos brzmiał męzko. Pani Liza spojrzała na brata, a ten domyślił się, że obowiązkiem jego było pójść się dowiedzieć, co mogło o téj godzinie zamieszać spokój tak niespodzianie.

Wybiegłszy z pośpiechem, Ferdynand postrzegł przy świetle włoskiej lampki, którą służący trzymał w ręku, gwałtem prawie przez półotwarte drzwi chcącego się wcisnąć mężczyznę.

Powierzchnowość jego tak mało przemawiała za nim, iż służący wahał się, czy ma go przypuścić do wykwintnego towarzystwa swój pani.



Był-to mężczyzna lat średnich, ubrany bardzo niestarannie, tak jak się tylko u wód i w podróży prezentować godzi, w odzieży letniej, jasnej, opylonej i pomiętej, w krótkim surduciku, w kapeluszu fantastycznym, nabakier na bujnych włosach rzuconym, z brodą czarną, z oczyma ognistymi i jakby błędnymi, z dużym w dodatku kiem w ręku. Na nogach jasne trzewiki ze skóry nieczernionej i kamasze wytarte dopełniały stroju. Z kieszeni wypchanych niedbale powtykane sterczały książeczki notatkowe, tomiki jakichś pomiętych publikacyj ulicznych i różne sprzęty podróżne, z pośrodku których ołówki górowały.

Oryginalne to indywiduum pan Ferdynand niedawno właśnie był spotkał coś szkicujące w Colosseum, wziął je więc za artystę. Niepotrzebnie może zaglądając w rysunek, wdał się z nim w rozmowę, i okazało się z niej, że trafił na ziomka, nie na malarza, jak sądził, ale na jakiegoś ekscentryka, dziwaka, cynika, który jednak był człowiekiem wielce pociągającym i niepospolicie wykształconym.

Zawiązana rozmowa przywiodła pana Ferdynanda nieznacznie do tego, że mu powiedział nazwisko swoje i mieszkanie. Nie zapraszał go jednak do siebie. Nawzajem owo indywiduum dało panu Ferdynandowi kartę z nazwiskiem zagadkowym, nieznaném Wiktora Gorajskiego, tout court.

Spostrzegłszy przybywającego o téj godzinie człowieka, który wcale do towarzystwa zebranego w salonie nie zdawał się przypadać, zakłopotany wice-gospodarz pośpieszył go przyjąć i nie śmiąc wprowadzać do siostry, zaprosił obok do swojego pokoju.

Ów pan Wiktor Gorajski wszedł z dumną postawą, kwaśno popatrzywszy na sługę, który mu z drogi ustąpił; zdjął z wolna kapelusz swój kalabryjski i z zupełną swobodą niedbającego o to, jak się komu wyda, człowieka, posunął się z wolna ku zmieszanemu Ferdynandowi. Gdy się to odbywało w przedpokoju, gospodyni niespokojna, wyglądając drzwiami ku bratu, dostrzegła osobliwszą postać, z którą rozmawiać poczynął, i na służącego skinęła.

W chwilę potem sługa panu Ferdynandowi, który już gościa swego wprowadził do pokoju przyszedł coś szepnąć do ucha.

Przybyły pan Wiktor śledził wszystko bacznie, a rozsiadał się bez ceremonii, lokując kij swój i kapelusz przy sobie.

— Nie wpore, widzę, przyszedłem—odezwał się gość, bynajmniej nie okazując zmieszania—ale proszę mi powiedzieć otwarcie. Pan tu nie sam mieszkasz, a ja o tém nie wiedziałem. Prosić będę tylko o szklankę limonady i ruszam dalej.

— Mieszkam z siostrą moją, która ma u siebie kilka osób znajomych—rzekł grzecznie pan Ferdynand.—Nie chciałem pannę czynić subiekcyi.

— Mnie?—rozśmiał się, ramionami ruszając, przybyły.—Ale ja nigdy najmniejszej subiekcyi nie doznaję, czy mi się zdarzy w szynku na Trans-tewerze znaleźć między obdartusami, czy w królewskim salonie wśród ekscelencyj. Ludziom i panu zrobiłbym subiekcyą sobą, to rzecz inna. Nie jestem podobno tak ubrany, abym godzien był zaprezentować się w salonowém towarzystwie. Jestem włóczęgą, turystą i nie spodziewałem się wcale znaleźć u pana kobiety—przepraszam, poprawił się—powinienem był powiedzieć damy!

Wyraz „damy” wymówił z przyciskiem i ironią, popatrzył na siebie i strój swój, wistocie bardzo niesalonowy i rozśmiał się pocichu.

Tymczasem służący po drugi już raz przyszedł, znowu coś do ucha szepnąć panu Ferdynandowi. Młodzieniec wahał się z odpowiedzią. Można się było domyslać łatwo, że pani Liza zapraszała gościa brata swego do salonu, nie wiedząc jak wygląda, a on nie śmiał go tam wprowadzać.

Pan Wiktor, którego to wcale nie obchodziło, ociérając z czoła pot i pył wielką chustką, niezbyt już świeżą, przypominał się tymczasem służącemu o szklanekę limonady.

— Pozwolisz mi pan na jedną minutę wybiedz do siostry?—zapytał gospodarz.

Gość skłonił się przyzwalająco.

Pan Ferdynand szybkim krokiem wpadł do saloniku, w którym panowało milczenie. Wszyscy byli zaintrygowani.

— Chcesz abym gościa mojego tu wprowadził — zawołał żywo do siostry — ale kazałem ci już powiedzieć, jak jest ubrany. Wraca pewnie z przechadzki, a nie wiedział że nie sam tu mieszkam. Rozповідаłem ci o mojem spotkaniu z tym oryginałem w Colosseum, jak dziwacznie wygląda i mówi ten turysta-Diogenes... Jakże chcesz...

— Cóż to szkodzi, że nieubrany? — przerwała księżna bardzo nagłaco — wszyscy jesteśmy turyści i jak na popasie. Raz przecie spotkamy się z czémś ekscentryczném. Może nas rozśmieszyć, podrażnić, ale przynajmniej nie znudzić. Dawaj nam go tu pan na pastwę...

— Ale... — spróbował jeszcze zaprotestować, ruszając ramionami, pan Ferdynand.

— Żadnego ale! Wszyscy go tu chcemy mieć, a im dziwaczniej wygląda, tém pożądańszy — odparła księżna.

Pani Liza skinęła na brata, potwierdzając, a ten posłuszny wymknął się z salonu i trafił na to, gdy służący podawał gościowi limonadę, którą on pił z widoczną rozkoszą zmęczonego i spragnionego człowieka.

— Jeżeliś pan łaskaw i pozwolisz się zaprezentować mojej siostrze i księżnie Teresie, która jest u nas, zaprosiłbym go do salonu.

Dostojne imię księżny, zapowiedziana znajomość drugiej pani, na podróжным nie zdały się wcale wielkiego robić wrażenia. Spojrzał na

swój kij, który po namyśle zdecydował się porzucić w przedpokoju, wziął za ogromny kapelusz opylony i, jak stał, niewiele się o strój swój troszcząc, ruszył z panem Ferdynandem. Z nich dwóch, z pewnością drugi był daleko mocniej zakłopotany.

W salonie z ciekawością oczekiwano na zapowiedzianą figurę ekscentryczną, o której gospodyni rozповідаła pocichu, co posłyszała od brata. Najmniej może zajęcia okazywał siwołosy, który nie lubił się bawić tém, co wistocie robiło wrażenie smutne. Kobięty zato oczy miały zawczasu na drzwi zwrócone.

Pan Wiktor wchodził zwolna, poważnie, pewien siebie. Nie można się było dziwić panu Ferdynandowi, że go wziął znowu za artystę, miał bowiem w całej swój postaci coś, co przypominało żywo konwencyonalny typ artysty-Cygana, do któregośmy z francuzkich ilustracyj nawykli.

Z pod téj powłoki jednak, jak gdyby sztucznie i umyślnie przywdzianej, zdawało się przegłądać coś, co się w nim domyślać kazało człowieka wyższego towarzystwa, który dobrowolnie zdziczał.

Twarz jego, której włosy rozrzucone, broda i wąsy długie, zaniedbane nadawały fantastyczne znamię, była jeszcze piękną, choć mocno już życiem zniszczoną. Szlachetne, delikatne rysy jej okrywała skóra żółkła, jakby wyschła, gdzieś niedługo poprzecinana zawczesnemi zmarszczkami. Malarz mógłby być z niego zrobić łatwo ja-

kiegoś Byronowskiego bohatera, lub romantycznego bandytę. Lecz namiętności, co jak rozpalona lawa przebiegały i poorały twarz tę piękną niegdyś, dziś zdawały się już ostygle, gorycz tylko jakąś i sadze zostawując po sobie.

Widok zebranego przy okrągłym stole towarzystwa nie zaimponował bynajmniej przybywającemu. Jak gdyby był najwytworniej ubrany, ze swobodą i zręcznością człowieka nawykłego do świata, zbliżył się do gospodyni, tłumacząc iż zmuszony tylko, śmie się jej przedstawić w tak podrózném ubraniu.

Skłonił się potem z wielkiem uszanowaniem księżnie, która go nadzwyczaj ciekawemi i jakby zdumionemi badała wejrzeniami, dał się zaprezentować dwom hrabiom i zajął miejsce wskazane ze swobodą człowieka, który nie ma do stracenia i nie téż zdobywać nie myśli.

Gospodyni, nie wiedząc od czego rozpocząć rozmowę, zapytała go, od jak dawna przebywa we Włoszech.

— O, ja się tu po tych Włoszech i po całym świecie włóczę już od lat wielu—podróżny rzekł bez przymusu, z otwartością i poufałością niespodzianą.—Należę do téj kategorii ludzi u nas licznych, zwichniętych, którzy nie wiedzą co mają zrobić z sobą; włóczę się więc, słucham, patrzę i... zabijam czas, nie mając co z nim robić.

— Brat mój mi mówił, że pan się zajmujesz sztuką—dodała gospodyni nieśmiało.

— Jest-to jedyna rzecz jeszcze na świecie, która mnie nie znudziła—odparł podróżny—choć i z nią często się kłóczę.

Księżna, zdająca się z żywem zajęciem śledzić tę zagadkę, wtrąciła, mieszając się do rozmowy:

— Zdaje mi się, że i ja kilka razy widziałam pana zdaleka, szkicującego coś na ruinach.

— Bardzo to być może — rzekł zapytany.— W Rzymie widzi mnie każdy niemal codzień w jakimś zakątku, bo się snują nieustannie.

— Rzym tak jest ponętny dla artysty! — zauważyła gospodyni.

— Ale ja artystą nie jestem i być nie chcę — przerwał żywo gość.— Jest to i zawiele dla mnie honoru i zamało. Artyści są-to najczęściej istoty, które widzą tylko skorupę rzeczy i ograniczają się wrażeniami, nie sięgając głębiej. Trzeba być trochę i artystą, ale być tylko artystą — biędna to rzecz, smutna dola!

Wszyscy słuchali go z uwagą wielką. Piękne rączki przysunęły mu filiżankę herbaty, którą po pewnym wahaniu się przyjął gość i rzuciwszy kapelusz swój pod nogi, oparłszy się wygodnie o krzesło, począł rozglądać się baczniej po towarzystwie.

Księżna, która miała swą własną teorią poznawania ludzi i klasyfikowania ich, poczęła się przypatrywać ręką przybyłego. Brakło ich jęj jeszcze do uzupełnienia charakterystyki téj postaci. Ręce dla niej były cechą niezbędną, znamieniem



stanowczém, bez którego obejść się nie mogła, chcąc sądzić o człowieku.

Pomimo nadzwyczajnego zaniedbania stroju, obuwia, włosów, ręce pana Wiktora, które się nkażały z rękawów nankinowej zakietki, mogły zastanowić wistocie pięknemi kształty i utrzymaniem staranném. Księżna odetchnęła swobodniéj, przekonawszy się z nich, że gość nie mógł być awanturnikiem, że musiał należeć do tego, co się nazywa dobrém towarzystwem, choć bywa wcale nieosobliwém. Ale dlaczegóż tak zdziczał?

Twarz, choć wynędzniała, nie dozwalała przypuszczać, aby doszedł nawet lat czterdziestu, nie miał więc potrzeby tak wczesnie zrozpaczyć o sobie.

Nastąpiła chwila milczenia, wczasie której wszyscy ukradkiem spoglądali po sobie, jakby wrażeniami swemi dzielić się chcieli, lub ich potwierdzenia szukali.

Ruchawy hrabia Filip krzywił usta złośliwie, szydersko. Hrabia August przypatrywał się przybyłemu z zajęciem wielkiém, zdając się chcieć sobie przypomnieć, gdzie i kiedy spotkał już tę twarz w życiu. Gospodyni miała minę trochę wystraszoną. Księżna bawiła się tém zjawiskiem, nie tając się, że mu była rada, lecz razem zdając się czémś zaniepokojoną. Naostatek przyczyna wszystkiego, pan Ferdynand, stał w kącie zmieszany, poczytując się za winowajcę i obawiając... sam dobrze nie wiedział czego. Poznać się z ja-



kimś obdartusem w Colosseum było rzeczą naturalną; ale być za karę zmuszonym wprowadzić go do domu?... Bardzo być może, iż ów podróżny śmiał się w duszy z wielkiego wrażenia, jakie tu zjawieniem się swém wywołał.

— A z kraju dawno pan już? — zapytała nieśmiało księżna, wlepiając w niego oczy.

Panu Wiktorowi brwi się trochę ściągnęły; pomyślał chwilkę i rzekł:

— Niezmiernie dawno, tak dawno, że mi się te lata w wieki przemieniły. Noszę się z tęsknotą po nim i nigdzie jęj zgubić nie mogę. Czasem zdaje mi się na moment jakiś, że mi się już pozbył tęj nieznośnej towarzyszki; ale, gdy się najmniej spodziewam, we śnie lub na jawie, powraca. Jaka to szkoda, że człowiek nie może się pozbyć siebie i przetrworzyć, gdy zechce, na inną istotę.

Uśmiechnął się gorzko.

— Co do mnie—wtrącił gwałtownie hr. Filip, ostrym swym głosem i intonacją fałszywą—co do mnie, ja nie pojmuję zupełnie, jak można za granicą tęsknić za krajem naszym i wzdychać do niego. Może to być bardzo ładném, bo wygląda na patryotyzm; ale ja sobie z tego sprawy zdać nie umiem. Przyznaję się, że mi kosmopolita.

Gość zmierzył mówiącego błyskiem swych oczów ognistych. Zdawało się że coś odpowiedzieć zamyśla; ale otworzył tylko usta i... zapił herbatą. Odpowiedź zostawił innym, poczuwszy może, iż z ust jego wyszłaby ona zaostą.

Tymczasem nikt nie odpowiedział hrabiemu; milczenie ciężkie, ołowiane niemile przycisnęło całą gromadkę, a hrabia Filip, zmieszany niém, sam czuł się w obowiązku niepodniesioną rękawicę wziąć do ręki.

— Co do mnie — powtórzył z naciskiem — otwarcie się przyznaję do mego kosmopolityzmu i do téj pory przynajmniej tego nie żałowałem.

Gość popatrzył nań bacznie i dorzucił:

— Tak, za nie ręczyć nie można. Są choroby, które powracają po latach dwudziestu i więcej, a gdy powrócą, zabijają.

Dwuznaczném to było.

Nikt z większą uwagą nie słuchał oryginalnego gościa, nad księżną. Pochwyciwszy ostatnie jego wyrazy, uśmiechnęła się, zakrywając wachlarzem.

Hrabia August wstał pocichu i począł się przechadzać po salonie, zatopiony w sobie.

Księżna przerwane badanie ciągnęła dalej.

— Nie dowiedzieliśmy się od pana, jak dawno bawisz we Włoszech. A w Rzymie, myślisz pan przebywać długo?

Trochę natarczywe pytanie zmusiło gościa do zwrócenia się ku księżnie.

— I na to odpowiedź moja wyda się pani dziwaczną — rzekł. — Ale nie mogę, dla uniknienia posądzeń o zmyśloną ekscentryczność, powiedzieć nieprawdy. Otóż ja nie wiem nigdy, gdzie jak długo bawić będę. Przychodzi mi nagle ochota,

pokusa jakaś, zachcenie, nudy—biore kij i jestem fantazyi posłuszny. W Rzymie zaś nigdy nikt pewnym być nie może, czy zabawi do jutra, lub całe życie.

— Tak, Rzym ma urok wielki — odezwała się księżna poważnie.

Gość spuścił głowę; nie zaprzeczył, ani potwierdził. Nagle dopił herbaty, chwycił z pod nóg leżący na ziemi kapelusz, wstał, pożegnał gospodynię, księżnę, zdala też innych gości i przeprowadzony przez Ferdynanda, zniknął z salonu.

W tém zbyt pośpieszném wyjściu było coś uderzającego, dziwnaczego, jakaś fantazyja nagła, i gdy drzwi się za odchodzącym zamknęły, księżna wybuchnęła:

— Oryginalny! nie zawiedliśmy się.

Hrabia August, który stał trochę na uboczu, przybliżył się do stolika.

— Dziwna rzecz—odezwał się—nie mogę sobie przypomnieć jak, gdzie, kiedy, ałem pewien że tego człowieka znałem, spotykałem już w życiu. Sililem się na rozbudzenie mojej pamięci... zawiodła mnie.

— Ach!—rozśmiało się hr. Filip—podobnego doń musiałeś widzieć w jakiejś ilustracyi francuzkiej: pół bandyty, pół-artysty, figura dosyć osobliwa, a mało sympatyczna.

— Bardzo przepraszam—żywo zaprotestowała księżna—staję w obronie. Jest-to typ pospolity

napozór, lecz bardzo różny od tych, za których powierzchownością się ukrywa. Na pierwsze wejście prawda że robi wrażenie pół-karykatury, ale dosyć mu się bacznie przypatrzeć, aby się przekonać, że nie gra roli przybranéj, że jest, nie myśląc o tém, takim, jakim go Bóg stworzył, albo nieszczęśliwe losy uczyniły. Wrażenie, jakie wywarł na hr. Augustcie, i mnie się czuć dało; kogoś mi przypomina. Wydaje mi się jakby dawno znajomym, choć jestem pewna, że go nigdy nie widziała.

Uśmiech przebiegł po ustach hr. Augusta, który, milcząc, usunął się w głąb pokoju.

Księżna obróciła się ku gospodyni, która siedziała, nie biorąc udziału w rozmowie.

— No a ty, mój aniele, co o nim mówisz? — zapytała.

— Ja? — zająknęła się, rumieniąc trochę, gospodyni — ja? Ależ prawdziwie nie wiem, co odpowiedzieć... Wydał mi się trochę strasznym, zagadkowym, a ja nie lubię tajemnic. Sama-bo nie wiem...

Ostatnie wyrazy zagłuszyło pożegnanie hrabiego Augusta, który pochwycił za kapelusz; hrabia Filip poszedł za jego przykładem. Obaj wyszli razem.

---

Noc letnia we Włoszech, zwłaszcza po dniach upalnych, do naszych nocy, poświęconych spoczynkowi, wcale nie jest podobną.

Gdy minie owa niebezpieczna chwila zachodu słońca, spadania rosy, podnoszenia się zatrutych wyziewów, wszystko, co się dusiło we dnie od skwaru, oddycha, wysuwa się na powietrze i dopiero żyć poczyna.

Ale nie jest-to już życie uliczne dnia, gwarne, ruchawe, głośnie. Malo kto się przechadza; rodziny zasiadają w progach, a ci, co rodzin nie mają, szukają towarzystwa u drzwi trattoryj i kawiarni. Gdzieniegdzie odzywa się brzęcząca komarowym głosikiem gitara, śpiew nucony cicho, szanujący milczenie nocy. Rzadki tylko krzyk urwany przerwie czasem tę harmonią życia mroków, w którym czuć pragnienie spokoju, napawania się ciszą.

W ogródkach otwartych, osłonięte cieniem, stoją gdzieniegdzie pary tajemnicze, kryjąc się i szukając mroku, nie żeby się wstydziły tego co je ku sobie zbliżyło, ale instynktem czując, iż miłość jest jedną ze świętych tajemnic natury, którą się profanuje, wyciągając ją na świat, na oczy, na słońce.

Jéj tak potrzeba cienia, jak fijołkom, które więdną, gdy dotknie ich promień gorętszy. Warzy je cyniczne spojrzenie słońca.

Pół przezroczystą noc włoską, nawet gdy jest bezksiężycową i wydaje się czarną, oświecają ta-

jemnicze odbłaski ziemi, łagodnie obléwające wszystko. Naówczas stokroć piękniejsze niż we dnie, do niepoznania zmienione, dziwne, fantastyczne wyrastają z murów odrapanych poemata, piętrzy się, olbrzymieje, rozrasta najlichsza chałupa. Linie ostre zléwają się, tony miłośnie dostrajają do siebie w ogólnej harmonii, choć we dnie klóciły się z sobą. Świat jest niedopoznania, do rozkochania się w nim. Macierzyńska ręka nocy starła z niego wszystkie brudy, wróciła mu młodość; niby znowu śpi w pieluchach, a nad kołóbką śpiéwa mu ta cisza tajemnicza, w której słyhać to, co komu własna mówi dusza, zawsze w zgodzie z tym wielkim chórem milczenia.

Muzyka to nie dla uszu; chwyta ją serce i takt jój wybija.

Tego co mówi noc, we dnie nigdy posłyszć, pomyśleć nie można. Jak inne istoty zaludniają ciemności, tak inne myśli po nich wirują. Mężni tracą czasem odwagę przez nie, bojaźliwi stają się zuchwałymi. Każdy człowiek czuć musi na sobie ten wpływ tajemniczy.

Oko błąka się tu, nie znajdując tego co znało we dnie; drogi zawałyły mroki, ściany ciemne wychodzą jasno i świecić się zdają; na niebiosą występują wieżyce, jak olbrzymy w szyszakach do boju; mosty, jak pająki czarne, siedzą rozpostarte na rzékach... W mieście pogasły ogniska dzienne, a zapaliły się nocne, których blade promyki sączą się przez szpary. Cisza... szmery, mru-

czenia, szelesty. Zda się że reszty życia głośniejszego o słońca zachodzie wiatr wymiótł, jak gospodarz izbę na niedzielę.

Rzym ma o tych godzinach sobie właściwą, jedyną na świecie muzykę. Gdy wszystko umilknie, daje się słyszeć chór wodotrysków, nieustannie lejących zdala przyniesione życie, choć go teraz nikt czerpać nie przychodzi.

O, dziwnyż to ten szept wód, bijących lat tysięcy! Potrzeba się weni wsłuchać, jak niezmiernie jest różny. Głosy niby ludzkie mają te fontanny: jedna szemrze męzkim tonem, druga ma szczebiotliwą mowę niewieścia; ta gwarzy coś jak matka, co usypia dziecię, druga jak dziewczę drażniące się z kochankiem, inna się śmieje i szydzi, niektóre modlą, a wielkie wodospady dumnie hałasują, że je w niewolę wprzężono. Nieinaczéj grzmiałyby, gdyby głos miały, te posągi zwyciężonych królów; z obciętymi rękami, spętane, co leżą podruzgotane na Kapitolu.

Urok téj nocy letniej w Rzymie musiał czuć hrabia August, gdy wyszedłszy z Via Sistina, puścił się wolnym krokiem ku mieszkaniu swojemu. Hr. Filipa, natrętnie mu towarzyszącego, zdawał się nie widzieć.

Podszedłszy kroków kilka, stanął i zamyślił się.

— Co prawda, to prawda—odezwał się hrabia Filip—w tym Rzymie nawet spać się położyć niepodobna w przyzwoitej porze. Pomijam to, że



noce wściekle są gorące, że komarów pozbyć się niepodobna; ale co to za noc!

Zagadnięty hr. August nie odpowiedział. Drażniło to jego towarzysza; przysunął mu się do samego boku.

— Hrabia pewnie myślisz jeszcze małą odbyć przechadzkę. Jest to rzecz miła, ale zawsze bezpieczniej być we dwóch, niż samemu. Ja chętnie towarzyszyć mu będę.

Milcząc, hrabia August dał na to przyzwolenie.

Szli dalej bardzo powoli. Siwowłosy nie zdawał się usposobionym do zamiany nie tylko myśli, ale nawet słów obojętnych.

Filip znowu milczeć nie umiał. Niektórzy znajomi jego utrzymywali, że myślićby nie mógł inaczej, jak głośno.

— Pani Liza! — zawołał po chwili — jak bóstwo nieśmiertelna; zawsze jest młodą, zawsze urocza!

Wiedział zapewne, że na tę uwagę nie otrzyma żadnej odpowiedzi, bo zaledwie mały zrobiwszy przestanek przez grzeczność, natychmiast ciągnął dalej:

— Ma pewnie lat trzydzieści; pomimo to momentami zdaje się zaledwie rozkwitającym młodem dziewczęciem. Co to za kobieta! co za urok w niej!

Zamilkł trochę znowu i jakby się obawiał, aby mu słowa nie odebrano, wnet ciągnął dalej z pośpiechem:



— Dla mnie w niej co jest najbardziej niepojętém, to że ma w sobie dwie różne istoty, obie równo zachwycające, najcudniej łączące się w jedną, choć wcale do siebie niepodobne. Czasem bywa złamaną życiem i cierpieniem, prawdziwą wdową po wszystkich złudzeniach; niekiedy dziewczką i klaszcze w dłonie... nie nie zna, a wszystkiego pragnie.

— Bardzo to trafne—rzekł lakonicznie hr. August.

Pochwała z ust otwierających się tak skąpo pochlebila hr. Filipowi; rozśmiał się, rad sam z siebie, jakby mówiąc wejrzeniem zwróconém do towarzysza: „a widzisz! i ja mam bystre a głęboko sięgające wejrzenie!”

Szli dalej, coraz wolniej.

— Mów co chcesz, hrabio Auguste — dodał Filip, jakby chciał nowém postrzeżeniem utwierdzić dobre wrażenie jakie uczynił—mów co chcesz, ty się w niej kochałeś dawniej. O tém więc świat cały; ale i dziś... o! i dziś kochasz się w niej jeszcze!

Hrabia August stanął, spojrział zgóry i uśmiechnął się z politowaniem.

— Nacóżby się to dzisiaj zdało?—westchnął.

— Ba! nacóż się miłość kiedykolwiek przydała?—żywo odparł hrabia Filip.—Wedle wyrażenia francuzkich poetów XVII wieku, które odziedziczyli madrygaliści XVIII wieku, miłość jest „słodką męczarnią” zawsze.

Uśmiechnął się hrabia August.

— Na mnie—ciągnął niemogący powstrzymać się od paplania Filip — Liza czyni wrażenie niewypowiedzianie smutne. Widzę w niej pocziwego, pełnego ufności wierzyciela, który w ręce niegodziwego człowieka oddał całą swą fortunę i nigdy jój już nie odzyszcze. Co ona zawiniła, że życie jój zostało zwichnięte, złamane, zepsute bezpowrotnie? Dlaczego, zaco taka anielska istota, ucierpiawszy tyle, nigdy już nie ma być szczęśliwą? Życie z pierwszym mężem musiało jój zatruć resztę życia aż do zgonu... Biedna!

Zwykle niemiły, suchy, ironiczny głos hrabiego Filipa, czy się istotnie rozgrzał uczuciem jakimś, czy umiał je naśladować, zadrgał sympatyczniejszym tonem.

Towarzysz spojrzał ku niemu. Każda najlżejsza oznaka uwagi dodawała Filipowi coraz większej ochoty do przedłużania swych postrzeżeń i zwierzeń.

— Przeznaczenie! fatalność! — mówił. — Piękna, młoda, bogata, dostała się, dziwnym zbiegiem okoliczności, intryg, człowiekowi najpotworniej zepsutemu, satyrowi bez sumienia i wstydu, może być los okropniejszy? Żyć z nim tyle lat, ociierać się takiemu aniołowi o takie brudy!

— Do aniołów brudy ziemskie nie przystają! — zawołał jakby mimowolnie hrabia August.

Niez mordowany mówca zdawał się chcieć jeszcze przedłużyć swe ubolewanie nad losem pięknej

wdowy, gdy uczuł że hrabia August pochwycił go ręką silną i nakazująco podniesionym głosem zawołał:

— Proszę cię, zlituj się, dosyć już o tém!

Stosunek tych dwóch na jednym szczeblu społecznym stojących ludzi cały się uwydatnił w téj rozmowie. August miał uznaną wyższość nad swym towarzyszem, który mu był powolnym i chętnie posłusznym.

Nie szemrał, nie obrażał się, nie prótestował, natychmiast zastosowywał się do rozkazów i dosyć było żądania hrabiego Augusta, aby Filip zamilkł. Szukał już tylko nowego do rozmowy przedmiotu.

Szli teraz jedną z tych starych uliczek miasta, które na Corso ujście mają; ale była to jedna z najszerszych i najczystszych, do której najwięcej wpadało powietrza, którą zamieszkiwało nie pospólstwo samo, ale i zamoźniejsi ludzie. Tu i owdzie bruk ciemny przerzynał pasy świetlane z otwartych drzwi domostw i kilku kawiarni.

Pół we mroku, napół w świetle widać było u stoliczków, na chodniki powystawianych, spóźnionych gości z cygarami, na cichéj rozmowie. Czerwone końce cygar świeciły niby gwiazdki w cieniu.

Mijali właśnie, drugą stroną ulicy idąc, jedną z niepokąźnych kawiarni i garkuchni razem, szczytając się przydomkiem *antica*, gdy mimowolnie wzrok ich padł ku wnętrzu wielkiey izby, w której

gości już było mało. Hrabia Filip silnie potrącił w bok łokciem swojego towarzysza, zwracając uwagę jego na widok, jaki mieli przed sobą.

U małego stoliczka, z krótką fajeczką w zębach, w kapeluszu nabakier fantazyjnie rzuconym, siedział niedawno zbiegły z salonu ów pan Wiktor, którego Filip pół-artystą, pół-bandytą mienił. Siedział wygodnie, rozparty szeroko, pochylony nad szklanką limonady.

Przed nim stała, poufale jedną ręką o stół oparta, drugą podtrzymująca głowę pochyloną, młodziuchna dziewczeczka, nędznie, ubogo odziana, w sukni bez barwy, w trzewieczkach podartych na małych, ale pobrukanych bosych nóżkach. Prawdziwa Włoszka, była zarazem zaniedbaną i strojną. Gałganek jedwabny, niegdyś jaskrawy, zastępował chusteczkę na ramionach i szyi, a we włosach czarnych, bujnych wpięte miała błyszczące szpilki i grzebyki. Ręka sparta na stoliku świeciła pierścionkami, sznurek paciorek widać było z pod chustynki.

Najwięcej jednak zdobiła ją ledwie z pączka dobywająca się krasa młodości. Z téj sylwetki ciemnej, malującej się na tle izby jasnym, zdawało się odgadnąć było można prześliczne kształty ubogiej Psychy, pół-dziecięcia, pół-dziewicy.

Nędzne ubranie, przystające do ciała, nie osłaniało, ale uwydatniało kształty postaci, jak z marmuru wykutęj, instynktowo przybierającej wdzięczne ruchy i postawy.

Hrabiowie mogli się przypatrzeć, zbliżywszy nieco, profilowi jój greckiemu, utoczonej szyi, piersiu i archaicznie szczupłej figurze, jak rysunek Flaxmana, kilką prostemi liniami określonej na dnie jasnym.

Wiktor rozmawiał z tą dziewczką, która się zdawała z nim spoufaloną i szczebiotaniem wesołym mocno zajętą. Nie słysząc było nic, lecz odgadnąć mogli łatwo, że swobodnie, wesoło gwarzyli z sobą, pewnie nie poraz pierwszy.

Artysta, nie spuszczać z niej oczu, patrzył w pochyloną ku sobie; ona bez obawy uśmiechała mu się, niekiedy żywiej potrzasała głową, groziła palcami, pomagając sobie, zwyczajem Włochów, rozmaitemi ruchy. Wszystkie one były wdzięczne, bo młodość ma ten dar, że piękną być musi, choć o tém nie myśli, choć tego nie pragnie.

Wiktor z tą dziewczką, w oświeconych drzwiach malując się en vigueur, tworzyli jakby w ramy ujęty obrazek, wcale ładny, któremu nie brakło, nawet dobrze ugrupowanych akcesoryów. Dwaj panowie, napatrzwszy się na nich, długo oczów oderwać nie mogli.

— Mamy tedy czarno na białém—odezwał się, dowcipkując, hrabia Filip — dowód, jakie tu ten jegomość ma stosunki w wiecznym grodzie. Birbanta kawał, z oczów mu to patrzy!

Zamiast odpowiedzi, hrabia August mruknął sam do siebie:

— Gdzie ja tego człowieka widziałem? bo twarz ta mi niezmiernie znajoma! Co u licha!

— Zbliźmy-no się, zrobimy mu nieprzyjemną niespodziankę—podszepnął złośliwie Filip.

Z innych zapewne powodów milcząco przystawszy na to, hrabia August począł wolnym krokiem zbliżać się ku drzwiom kawiarni.

Usłyszawszy chód, dziewczę, bez trwogi i wcale niezakłopotane, zwróciło główkę ku przycho-dzącym, ale się z miejsca nie ruszyło. Po chwili zwolna obejrzał się na nich także pan Wiktor, z równym spokojem.

Poznawszy hr. Augusta, pozdrowił go uśmiechem i lekkim głowy skinieniem. Dziewczę, widząc że nadchodzący byli znajomi, uśmiechnęło się do siedzącego i założywszy ręce na piersi, odeszło parę kroków w głąb izby.

— Zastaliśmy pana w bardzo miłym towarzystwie!—odezwał się szydersko hrabia Filip.

— Wistocie — odparł swobodnie, nie wstając z miejsca i nie zmieniając postawy, Wiktor.—Nie może być nic przyjemniejszego, nad świegotanie ptaszka na wiosnę, nad szczebiot takiego naiwnego dziewczęcia, zwłaszcza gdy tak jest piękne, jak ta Pepita.

Usłyszawszy wymienione imię swoje, dziewczę się trochę zarumieniło; ściągnęło brwi czarne, ustąpiło krok jeszcze, ale nie uciekało.

Obaj przybyli przyglądali się jój zdaleka. Po pierwszym rumieńcu, już dalsza rozmowa i wej-

rzenia niewiele zdawały się obchodzić pannę Pepitę. Poprawiła tylko trochę chustynki i bosc nóżki wycofała tak, aby je suknią wążka zasłonić mogła.

— Robisz pan studia artystyczne, czy etnograficzne? — zapytał hrabia Filip.

— Etnograficzne, psychologiczne, artystyczne, najrozmaitsze studia, to powołanie moje — odparł, nową nakładając fajeczkę, pan Wiktor. — Jest to zadanie tych, co w życiu innego nie mają.

Hrabia August usiadł tymczasem milczący przy tym samym stoliku i zażądał limonady. Hrabia Filip poszedł za jego przykładem.

„Gdzie ja widziałem tego człowieka?” zdawał się ciągle powtarzać sobie pocichu, wzrokiem badawczym wpatrując się w niego, hr. August.

Postawszy trochę, Pepita, której wejrzenie padło raz jeszcze na siedzącego artystę, usunęła się powoli i znikła w drugiej izdebce.

— Darujesz mi pan — odezwał się po chwili hrabia August — ale jestem zmuszony zadać mu niedyskretne pytanie. Myle się może, pamięć zamglona, podobieństwa jakieś łudzić mnie mogą, lecz widząc pana, coraz mocniejszego nabieram przekonania, żeśmy się chyba już gdzieś, kiedyś w życiu spotykać musieli. Nie możesz mi pan tego wyjaśnić? Nazwisko jego jest mi nieznajome, ale twarz, twarz...

Wiktor, który oczy miał spuszczone, podniósł je na hrabiego. Długo patrzył nań, jakby na-



myślając się, spojrział na towarzysza i począł głosem urywanym:

— Żeśmy się gdzieś na świecie spotkali, to bardzo być może. Nie potrafię jednak panu hrabiemu wyjaśnić gdzie i kiedy. Zmuszony byłem, niestety, zerwać z moją przeszłością: dziś zowią się Wiktoorem Gorajskim. O wielu rzeczach chciałbym i muszę zapomnieć, a radbym, żeby ich i drudzy nie pamiętali. Gdyby nie ta okoliczność, miłoby mi było przypomnieć się zaszczytniej dla mnie znajomości pana hrabiego. Są położenia wyjątkowe, które godzi się jeśli nie poszanować, to mieć dla nich względy pewne.

Hrabia August skłonił głowę i zamilkli. Odpowiedź ta hrabiego Filipa mocno zaintrygowała. Więcej jeszcze zdumiewało go to, że człowiek tak niepozorny, wyglądający na ubogiego jakiegoś artystę, wcale się nie żenując w towarzystwie dwóch hrabiów państwa rzymskiego, siedział rozparty na stole, nie zważając na nich, nie okazując im najmniejszego respektu.

W téj chwili właśnie zapalał fajkę tytoniu, który ani z tureckim, ani z hawańskim, ani z Latabią najmniejszego nie miał pokrewieństwa, a cuchnął francuzkim kapralem.

Limonadę żadaną przyniesiono im w prostych, dużych szklewicach, tak jak ją tam podawano wszystkim, od wyrobników począwszy.



Hrabia Filip spoglądał na zielonawą szklanę z podejrzliwością przywykłego do kryształów człowieka.

— Lokal pan sobie wybrałeś wcale niewykwintny—odezwał się po chwili. — Jedno co pana uniewinnia, to owa prześliczna Pepita. Nietrudno odgadnąć, że chyba ona mogła tu pana sprowadzić o téj godzinie.

— Wcale się tego nie zapieram—odpowiedział Wiktor.—Z wielką przyjemnością słucham szebiotania tego ślicznego dziecięcia, medytując nad tém, jakim cudem z tak wdzięcznej istoty, za lat dziesiątek może wyrosnąć tak straszliwa baba, jaką jest jój cara mamma. Są bowiem do siebie charakterem, twarzami, krwią i duchem najzupełniej podobne, a Pepita jest w swym rodzaju arcydziełem, gdy mammita stała się okropną potworą.

— Ha! czas płaci, czas tracił—szepnął ironicznie hrabia Filip.

— Ciągłe się mówi o zagadkach życia—dodał Wiktor.—Ale ja prawdziwie nie wiem, co nie jest zagadką. My, świat, żywot nasz, jego błyski i cienie—to zagadki same... wszystkie ich tłumaczenia są śmiesznymi farsami!

Zapatrzył się w stół. Hrabia August, nie spuszczaając z niego oczów, słuchał go z uwagą wielką; Filip w głowie szukał tematu do opozycyi

i znaleźć go nie mógł. Po pauzie dodał z wysiłkiem:

— Najmędrsza pono rzecz głowy sobie nie łamać nad zagadkami, życie brać, jak Francuzi powiadają, *au jour le jour*, i iść spokojnie drogą, którą nas fatalizmy praw nam nieznanych prowadzą.

— Tak, byłoby to doskonałem — począł Wiktor—gdyby każdy wykształcony, a sędzę że nawet każdy człowiek wogóle, nie miał w sobie dwóch ludzi. Jest-to osobliwy fenomen, nad którym się mało zastanawiano. Jeden z nas idzie z tym prądem, któremu się oprzeć nie może; drugi patrzy, zżyma się, krytykuje, radby sobie wytłumaczyć dokąd on sam chce iść, a dokąd prądy go pędzą. Jeden jest ciągłą afirmacją życia, drugi negacją jego. W każdym człowieku odbywa się, mniej lub więcej wyraźnie, walka tych dwóch prawie nieprzyjaznych potęg nieznanych.

Dla hrabiego Filipa nieco dziwaczne, ale niezwykajne postrzeżenie Wiktora już było zagłębokiém i zanie spodziéwaném, aby na nie mógł dorywczo odpowiedzieć. Zaciął usta, na wszelki wypadek nadając im wyraz ironiczny. Hrabia August, dotąd milczący, spojrział z niejakiém zdziwieniem na mówiącego i przysunął się do stolika.

— Jeżeli nie ciągle objawiają się te dwie siły—odezwał się—fenomen ten przynajmniej zdaje się bardzo często w ludziach myślących. Psy-

chologowie tłumaczą go dwiema władzami jednego ducha, płynącemi ze wspólnego źródła. Wszakże w jednej maszynie elektrycznej dwa przeciwne też powstają prądy. Dlaczegożby z duszy jednej nie mogły płynąć dwa strumienie, których przeznaczeniem stworzyć ruch i życie, a potem się zlać znowu?

— Tylko że w nas one nie zlewają się nigdy—  
odparł Wiktor.

— Dopókiśmy żywi—rzekł hrabia August.—  
Charakterem życia wszelkiego jest nieustanne rozdzenie sprzeczności, jednanie ich i tworzenie nowych.

— Więc słowo zagadki i synteza wszystkich sprzeczności byłyby po za życiem naszym?—wtrącił Wiktor.

— I tak jest niewątpliwie—odparł żywo hrabia August.—  
Nietylko jeden człowiek jest ułamkiem, ale narody są także ułamkami i cała dopiero ludzkość skończona, gdy z niej nie zostanie, oprócz dziejów jej ducha, wypisze na ostatniej mogile wielkie słowo swój zagadki.

— Strasznie to smutne i upokarzające dla ułamków!—westchnął hrabia Filip.

— Smutne dla tych, co koniecznie chcą być czémś więcej niż są: jednostkami odrębnymi i niezawisłymi, któremi my nie jesteśmy—ciągnął hrabia August.—  
Niestety! trzeba się wyrzec dumnej samoistości!

— Puściliśmy się na bezdroża — przerwał Filip.— Ostrożnie... jama! Wpadniemy w nią!

— Wolno ci nie iść za nami, jeśli się lękasz— natracił z trochę niecierpliwości hr. August, który tak się ożywił, iż nagle stał się jakby innym człowiekiem, znalazłszy sympatycznego sobie do rozmowy. Zwrócił się cały ku niemu, wyzywając go i przysłuchując mu się z uwagą. Wiktor także wołał słuchać i hrabia August ciągnął sam dalej:

— Każdy z nas ma w sobie jakąś część ogólnego ducha ludzkości, pożyczoną na czas pewien. Wraca on potem do ogólnej skarbnicy. Jesteśmy ułamkami wielkiej całości, od której się nam oderwać niepodobna, czémś nakształ kropel wody, które się odrywają w postaci kulek na chwilę, lecz muszą się rozplynać później, albo w parę przemienić. Wszystko w nas pożyczone od matki, z której łona wychodzimy. Dziecię nowonarodzone na miękkiej tkance mózgu przynosi już wyciśnięte macierzyńskich myśli zarody, które się w niem rozwijać mają. Zowią się one instynktami. Później w życiu, ucząc się, czerpiemy ze skarbnicy ogólnej doświadczeń, które uzbierały pokolenia... Szczęśliwy, kto temi na dzień jego pracy danemi mu narzędziami i materiałem coś mającego wartość stworzy. Najgenialniejszy twórca pół swego geniuszu bierze z mniejwięcej wyposażonej kolébki.

— Uczysz nas, hrabio, pokory!—odparł hrabia Filip kwaśno.

Wiktor patrzył na stół, nie śpiesząc z odpowiedzią; parę razy rzucił okiem na hrabiego Augusta, który wcale do siebie nie był podobny. Zdawał się przetworzony, ożywiony, zelektryzowany. Nie zważając na hr. Filipa, mówił dalej:

— Tylko taką cząstką się pojmując, człowiek samego siebie, a nawet historią, dzieje narodów pojedynczych zrozumieć może nieco lepiej. Odcięty od ogółu człowiek, od ludzkości naród, wzięty sam w sobie, niezrozumiałym się staje. Inaczey Opatrzność względem obojga wydałaby się niesprawiedliwą.

Mówiąc to, hrabia August zwracał się ciągle do siedzącego z coraz smutniejszą twarzą artysty, jakby pragnął z ust jego wywołać odpowiedź. Wiktor palcem rysował coś po stoliku.

— Tak jest—odezwał się wkońcu—masz hrabia słuszość. Słowo zagadki leży po za tym światem, jest w ręku śmierci. Nam pozostaje w naszych pragnieniach absolutnej wiedzy rezygnarya dzieci, które się napięrały gwiazdki z nieba.

— Smutne to, smutne, smutne! — zamruczał z przybraną powagą hr. Filip.

— Ja—wtrącił hr. August — znajduję to więcej podniecającém, drażniącém, niż smutném. Gdybyśmy mieli słowo zagadki, życie stałoby się niemożliwém. Kucharki tylko idą do wróżbiarek, aby się koniecznie swój przyszłości dowiedzieć, aby im prędzej obrzydła. Nam dano do

przebiegnięcia drogę tajemniczą, która nęci tęła, że cel jój ciągle się nam z przed oczu usuwa. U celu znajdziemy spoczynek.

— Hrabia więc jesteś optymistą—odezwał się artysta — czego mu winszuję najmocniój, gdyż właśnie myśl ludzka pochyła się na przeciwną stronę i nauka robi co może, aby nam zatruć życie.

Hrabia August ruszył ramionami.

— Optymizm mój nie osłania mnie od cierpienia — westchnął. — Mieszka ono w tym drugim człowieku, który jest pierwszego sędzią. Jednakże lżej mi z tém, co pan zowiesz optymizmem, niżby z pesymizmem było. Pesymizm ma tę nie logiczność w sobie, że sam, rodząc się z inteligencji, opierając na rozumowaniu, istocie, z której wytrysnęła ta inteligencya, przypisuje bezrozum. Jak ateizm pozbawia stworzenie stwórcy, tak pesymizm neguje źródło rozumu.

Zégary były północ włoskim sposobem, nie tak jak nasze półzégarza (piątą czy czwartą godzinę po zachodzie). Hrabia August, który tak był ożywiony, jakby się długo jeszcze zabięrał bronić przekonań swoich, postrzegł że drzémiąca gospodyni, aby gości zmusić do ustąpienia, poczyniała powoli gasić światła.

W oprawie drzwierek do drugiej izby wiodących ukazała się razem postać Pepity, w koszulce tylko i spódniczce, rękami ogorzałemi, w pół obnażonemi, wiążącój bujne warkocze rozpuszczono-

nych czarnych włosów. Wśród tego zajęcia, zwiastującego do snu przygotowanie, ziewanie zmuszało ją jedną z rąk ciągle krzyżykiem przed ustami zakreślانym zagradzać drogę złemu duchowi, który, jak wiadomo, czyha na wargi otwarte i nieopatrzone dziewczęta.

Ruszyli się wszysecy z miejsc.

Wiktor zdala życzył dobrej nocy dziewczęciu, które wnet znikło, nałożył kapelusz na głowę bezpieczniej, wziął kij i zabiérał się do wyjścia.

Hrabia August zbliżył się ku niemu z wyrazem życzliwości i uprzejmości, którą rzadko komu zwykł był okazywać.

— Bądźcobądź—odezwał się — ja stoję przy tém, że musiemy być dawno znajomi. Dopóki obaj jesteśmy w Rzymie, dla czegożbyśmy spotkać się i pogawędzić czasem nie mieli?

Wiktor uśmiechnął się, zawaławszy z odpowiedzią.

— Bardzo wdzięczny jestem hrabiemu za to uprzejme wezwanie—rzekł wreszcie. — Zachodzi tylko ta przeszkoda, że, jak hrabia widzisz, ja zdziaczałem. W towarzystwie, w którym się panowie nawykliście obracać, postać moja jest fatalnym dysonansem. Nieszczęśliwa powierchowność, którą mi nadało lenistwo, każe mnie posądzać, domyslać się we mnie jeśli nie zbiegłego opryszka z Abruzzów, to przynajmniej czerwonego republikanina, spiskowca, Garibaldeczyka, w najsześliwszym razie Cygana-artysty, nawykle-



go żyć w szynkowniach. Ja sam znam to do siebie i boleję nad własną fizygnomią; ale tak mi wygodnie w téj odzieży powszedniej, w tym stroju zaniedbanym, pośród świata jak ja zabrukanego...

Hrabia August uśmiechnął się.

— Tak, to trochę lenistwa tylko...

— Nie trochę — przerwał Wiktor — ale najstraszniejsze rozleniwienie, tak, niestety! Pozbawia mnie ono wielu życia przyjemności, ale się stało nałogiem. Któż wie, może się czasem potrafię zwyciężyć, a bardzo mi miło będzie zawsze spotkać hrabiego.

— Mieszkam sam jeden, w hotelu pod Minervą — odezwał się hr. August.

— Numer jedenasty, o parę drzwi dalej — sługa pański — dodał, nie chcąc być mniej grzecznym, hrabia Filip.

— Ja zaś gnieźdźę się w domu prywatnym na Babuinie — odpowiedział Wiktor — niestety, pod obłokami na trzeciem piętrze, bo miéwam fantazyą psucia płócien, więc tam jest niby studio moje. — Rozśmiał się smutnie. — Ale, na Boga! — dodał gorąco — proszę mnie nie brać za artystę z powołania! Nie jestem nim, lecz tylko przez miłośnictwo sztuki przekomarzam się méj ukochanéj. Ani na pokaz, ani na sprzedaż nie maluję nic. Choruję na sztukę... Włochy, jak się zdaje, wylęczą mnie z téj słabości, ale to pe-



wna, że gdy ozdrowieję... o! będę bardzo nie-szczęśliwy.

I znowu sam rozśmiał się z siebie. Hrabia August podał mu rękę, poszedł za jego przykładem i Filip, pan Wiktor zaś, zamachnąwszy kijem, wybiegł i znikł im w ciemnościach.

Dwaj towarzysze powolniejszym krokiem wyszli z kawiarni, którą stara i roztyła, brzydka, łyśsa matka pięknej Pepity zamykała coprędzej za nimi.

— Człowiek weale niepospolity i dla mnie sympatyczny — odezwał się hr. August.

— Choćbym rad zawsze zgodzić się na twoje zdanie — odparł Filip — na ten raz nie mogę. Sam on powiada że zdziechał, a mnie się zdaje, że chyba nigdy wielce oswojonym być nie mógł. Kawał awanturnika! Już to samo, że nazwisko nosi przybrane, a prawdziwego powiedzieć nie chce, dużo daje do myślenia. Ja takich ludzi wykolejonych nie lubię.

— Ani ja — odparł August — ale są wszędzie wyjątki, a ten właśnie zdaje mi się do nich należeć.

— Komediant! — rzekł pogardliwie Filip. — Zresztą zobaczymy! Życzę tylko, abyśmy na kieszeniach swoich nie doznali skutków sympaty dla tego pana.

August zaprotestował. Zamilkli.

---

Księżna Teresa oddawna mieszkała w Rzymie, chociaż często z niego robiła wycieczki, czasem trwające miesiącami. Jedyńemu synowi swemu, zaledwie pełnoletniemu, oddawszy majątek cały, pozostawiwszy sobie tylko (znaczące, jak głoszono) kapitały, które sama rozporządzała — była zupełnie swobodną. Pensyi, którą syn, równie do niej przywiązany jak ona do niego, upierał się jej wypłacać, nie chciała przyjmować, odkładając to, jak mówiła sama, do czasu gdy wszystko co ma utraci. W pełni sił i zdrowia, księżna przy swym charakterze miłym, temperamentie na oko łagodnym, nie doznawszy w życiu nic, coby albo zbyt po sobie żale, lub nieprzyjemne zostawiło wspomnienia — powszechnie była uważaną za bardzo szczęśliwą istotę.

Wiele osób jej zazdrościło, a gdy która z pań przyznawała się do tego, ona oczy spuszczała, uśmiechała się i potwierdzała przypuszczenie.

— Ale bo ja wistocie bardzo jestem, jak na mój stan wdowi, szczęśliwą — powiadała. — Pan Bóg mi dał dobrego syna, mam więcej niż potrzebuję do życia, jestem swobodną i niezwiązaną niczem.

I tuż za uśmiechem przychodziło, jakby mimowolne, westchnienie.

Rzeczywiście księżna należała do tych istot, których życie czynne zaprędko się skończyło. Owdowiała młodą, syn jej dorósł, gdy ona nie miała jeszcze czasu postarzyć. Weale jeszcze

świeża i piękna, życia pełna, z sercem kochać potrzebującym, znalazła się osamotnioną, jakby już w oczekiwaniu końca, który tak prędko przyjść się nie obiecywał.

Zapełniała tę próżnię życia jak mogła: czytaniem, miłośnictwem sztuki, podróżami, wszystkimi przyzwoitemi rozrywkami, które dają mocniej jeszcze może uczuć czezość i brak celu resztek pozostałych żywota.

Próbowano ją zagrzać do wielkiej pobożności; lecz księżna, choć religijnego ducha i w spełnianiu obowiązków gorliwa, nie dała się opanować i oparła nawracaniu, znajdując że nigdy odwróconą nie była.

Powierzchnowność miała njmniejszą wielce, była świeżą i blasku dawniej piękności nie straciwszy, spoważniała tylko. Słynęła jako bardzo bogata, choć nikt nie wiedział dokładnie czém rozporządzała; celowała inteligencją, wykształceniem, niejeden więc ze starszych i młodszych panów, spotykających się z nią w towarzystwach, lub bywających w gościnnym jéj domu, skusił się o zdobycie serca, którego pustki się domyślał.

Kilka podobnych prób nieszczęśliwych, żartobliwie, grzecznie, wesoło w samych ich pierwocinach księżna odtrąciła tak stanowczo, iż wkońcu ludzie sobie powiedzieć musieli, że wistocie za mąż iść wcale nie myśli, a innych stosunków zawierać nie życzy. Przyjęto to z niedowierzaniem,

ale nikt już nie śmiał płocho narazić się na próżne zabiegi.

W humorze księżny Teresy nie widać też było zwykle, aby za czém tęskniła. Swobodna, wesoła, zawsze umiejąca sobie wyszukać jakiegoś zajęcia, życie zapelniając cudownie, tworząc sobie coraz nowe zabawki niewinne, do których się namiętnie przywiązywała — księżna nosiła z sobą dobry humor, ożywiała towarzystwo, do którego weszła.

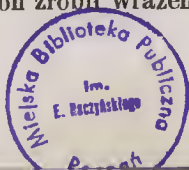
Nowa książka, gdy o niej mówiono wiele, pochłaniała ją na czas jakiś; nowy obraz, wystawiony posąg, wiadomość o wypadku mającym znaczenie i zwiastującym następstwa ważne w otaczającym świecie, prawie ją rozgorączkowały. Tak samo bywało z ludźmi nowymi, których starała się poznać, zbliżyć do nich, zbadać, spoufalić z nimi. Pociągały ją zarówno wielkie głowy, imiona rozgłosne, jak postacie ekscentryczne, zagadkowe, niepowседневne.

Dlatego też, gdy po odejściu dwóch hrabiów i wysunięciu się z pokoju pana Ferdynanda, została na chwilę sama z gospodynią, nie mogła się księżna wstrzymać od wykrzyknika:

— Niezmiernie jestem ciekawą tego człowieka!

Pani Liza, wystyglejsza pod tym względem, lub przynajmniej niechęca zdradzić swój ciekawości, odpowiedziała lekkim ramion ruszeniem.

— Na mnie on zrobił wrażenie takie, żem się



ulekła—rzekła. — Nie jestem nawet ciekawą, bo czytam historią biédaka z jego twarzy i stroju. Jest-to jakaś ruina, ofiara losu, temperamentu, charakteru, a może... któż wie?... nałogu... Cy-nizm powierzchowności przeraził mnie.

— A! wierz mi—odparła księżna Teresa,—po za tém, czém on dziś jest, czuć jednak przeszłość jakąś, niechybnie lepszą, świetniejszą. Masz s łuszność co do upadku; ale bądźmy miłosierne, nie obwiniajmy naślepo człowieka. Kto wie jaki w tym udział miały losy.

— Losy!—odparła Liza.—Powinien był walczyć z niemi. Mężczyzna!

Powiedziała to sucho jakoś i zimno.

— Może téż walczył i został zwyciężony—dodała księżna. — Ja lituję się zawsze, nawet nad winnymi. Czyż i występki nie godzien politowania?

Gospodyni, spuściwszy oczy, milczała.

— Nazwisko Gorajski — ciągnęła dalej księżna—nie mówi nic. Nie mogę sobie nawet przypomnieć, czym je kiedy słyszała. Jestem ciekawą, tak nieprzyzwoicie ciekawą, przyznaję się, że, Boże odpuść! gdybym go znowu gdzie spotkała rysującego, gotowam się przyczepić i zaprosić...

— Ty-bo, moja droga księżno — przerwała Liza—nadto doprawdy jesteś pobłażającą, a bardzo nieostrożną, pomimo wielu smutnych doświadczeń. Niech sobie księżna przypomni tego, który tak zawiódł jój miłosierdzie nad sobą, i tego...

— Proszę cię — śmiejąc się, przerwała księżna — dajże pokój tym wspomnieniom! Któż się w życiu nie zawodził? Wprawdzie smutno mi było trochę potem, ale wprzód mnie to bawiło.

— A! kochana księżno — dodała p. Liza — ja się często myślę w sądach; ale ten... ten dzisiejszy nasz pan, jako człowiek straszy mnie, a jako artysta należy pewnie do tych, co ślicznie mówią o sztuce, a okropne bazgrzą rzeczy... Będziesz potem musiała swą ciekawość opłacać nabywaniem krut...

— Chociażby — odparła księżna Teresa. — Jeżeli pięknie mówi o sztuce, nie żał już krut jego nabywać.

To mówiąc, księżna do wyjścia i pożegnania się zabrała.

Rozstały się dwie przyjaciółki, wzajemnie śmiejąc z siebie: Liza z łatwowierności, księżna z jój strachu. Księżna odeszła nienawrócona, zajęta tajemniczym zjawiskiem, z mocnym postanowieniem zaproszenia do siebie p. Wiktora przy pierwszej sposobności.

Ponieważ raz kilka widziała go około Colosseum, na Campo Vaccino, na Via Appia, postanowiła sobie zwiędzać te miejsca pokolei, w godzinach w których rysować można, dopóki by szczęśliwy traf nie nastąpił jój spotkania.

Nazajutrz, zszedłszy się przypadkiem z hr. Augustem w Museo Pio Clementino, nie wytrzymała księżna, by go nie zagadnęła o nieznanego.

Hrabia, który był także pod dziwnym urokiem ekscentrycznej téj figury, opowiadaniem o nocnej rozmowie z nim ciekawość księżny rozbudził i spotęgował do najwyższego stopnia.

— Nie wiem—rzekł hrabia wkońcu—być może iż człowiek to upadły, jak sam powiada, zwiechnięty, ale zdolny, wykształcony i wcale niepowszedni. Gdy się jemu podobnych spotyka, obowiązkiem jest raczej rękę im wyciągać, niż ich odpychać.

Niezmiernie uradowana księżna, posłyszawszy to zdanie, gorąco uścisnęła dłoń mówiącego.

— A tak!—zawołała—tak! Szczęśliwa jestem, że choć wy trzymacie ze mną. Wczoraj klóciłam się o to z Liza, która mi chciała wmówić, że moja chęć bliższego poznania tego człowieka jest jakąś fantazją niebezpieczną.

Hrabia August się uśmiechnął.

— Niebezpieczną?—podchwycił ironicznie.

— A! źle to rozumiesz — odparła księżna, rumieniąc się nieco. — Liza widzi tylko niebezpieczeństwo dla kieszeni, ale... bodajby!

— Znam nieco ludzi — odezwał się hrabia—i przekonany jestem, że tego niebezpieczeństwa wcale się obawiać nie można.

— Nieprawdaż?—powtórzyła radośnie księżna Teresa.—Więc chociaż wy trzymacie ze mną?

Hrabia się skłonił.

— Osobliwa rzecz—dodał—mogę się pochlubić pamięcią ludzi, a jestem przekonany, że tego



pana kędyś w mém życiu spotkałem, tylko przypomnieć sobie nie umiem miejsca i stosunku. Sam on, gdym mu o tém napomknął, potwierdził to, ale zarazem dodał, iż objaśnić mnie nie potrafi, gdzie i jak to być mogło.

— Kiedy tak, to i ja się mogę przyznać—pocichu dodała księżna—że on na mnie także robi wrażenie dawniej jakiejś znajomości. Myślałam że to przywidzenie...

— Bądźcobądź—dokończył hr. August — ma dar przyciągania ku sobie.

Rozmowę przerwało nadejście Angielek znajomych księżnie, które raz doświadczywszy jak dobrym była Ciceronem, przybiegły ją prosić, aby im pomogła do oglądania muzeum.

Uprzejma zawsze księżna wesoło zabrała się im towarzyszyć.

Od tego dnia jedno miała na myśli: pochwycić gdzieś koniecznie nieznanego tego jegomości i wciągnąć go do swego salonu.

W tym celu długo napróżno jeździła księżna rankami i wieczorami po Rzymie i okolicach. Zrobiła wycieczkę do Starych drzew w Olevano, do Tivoli, do ruin willi Adryana; chodziła około pałacu Cezarów i Colosseum, lecz nie mogła nigdzie spotkać owego pana Wiktora.

Zdawał się jakby naumyślnie uchodzić i ukrywać, unikając nowych stosunków. Nawet p. Ferdynand, którego księżna sobie zjednała na sprzymierzeńca, nie widywał go teraz nigdzie, a na



Babuinie, gdzie mieszkał, trudno się było nawet o jego trzecie piętro i studio dowiedzieć.

Księżna, przypuszczając iż mógł z Rzymu dalszą jakąś przedsięwziąć wycieczkę, co w téj porze roku było bardzo naturalném, nie zaniechała jednak poszukiwań swoich.

Jednego dnia namówiła panią Lizę na wieczorną przejażdżkę do Villa d'Este. Ferdynand im sam jeden towarzyszył. Tu, chodząc po tym ogrodzie, niegdyś tak pięknym, dziś tak zaniedbanym, wcale niespodzianie, na mchem okrytej marmurowej ławce, księżna postrzegła swą zgubę. Wiktor siedział z książką do szkicowania na kolanach, zapatrzony w stare, prześliczne cyprysy, które zdawał się chcieć studyować.

Pani Liza, udając że go nie poznaje, chciała coprędzej pominąć, gdy księżna gwałtownie się naparła zaczepić artystę. Oprzec się jój nie było podobna. Pan Ferdynand ofiarował się za pośrednika; lecz księżna, przypuszczając że jest pod wpływem siostry i obawiając się aby nie popsuł sprawy, podziękowawszy mu, sama poszła odważnie przywitać p. Wiktora.

Od pierwszego owego widzenia ani strój, ani twarz, ani wyraz zagadkowej postaci nie zmienił się wcale. Miał na sobie to samo lekkie ubranie, ten sam kapelusz i gruby kij, tylko obok niego leżał zwinięty pled podróżny. Zobaczywszy księżnę podchodzącą, Wiktor przestraszony zamknął coprędzej książkę i z ławy się ruszył.

— Poznałam pana zdaleka—odezwiała się, podchodząc, księżna. — Schwycony na uczynku, nie możesz się pan zaprzecć, że jesteś pejzażystą. Śliczne tu studia robić można. Ale w Rzymie wcale już pana nie widać.

Grzeczne to przywitanie, którego nie zdawał się spodziewać artysta, trochę go zdumiało.

— Uciekłem z Rzymu, dla gorąca — rzekł — a co się tyczy moich studyów, niema w nich nic, coby zasługiwało na tak poważne nazwanie. Rozrywam się, jak mogę. Gdy nie mam co czytać, próbuję psuć papier.

Księżna stanęła trochę, badając go uważnie.

— Gdy książek brak—odezwiała się—gdy i te studia zmęczą, powinienbyś pan trochę się więcej ludziom udzielać. Mając tu ziomków, nie godzi się o nich zapominać.

Był to prawie rodzaj grzecznego zaproszenia, które wywołało uśmiech smutny na usta Wiktora. Zdawał się uszom własnym nie wierzyć.

— Ziomków?—powtórzył zeicha—ziomków?... Ależ to prawdziwy cud dzisiaj posłyszecć, aby się kto o znajomość i stosunki z ziomkami upominał. Gdzież dziś ziomkowie? Rozdziela nas tyle różnic przekonań, położeń, losów, że tytuł ziomka najczęściej bywa postrachem. Znam ludzi, co posłyszawszy swą macierzystą mowę, uciekają przerażeni, szczególnież jeśli ona z ust pieszego włóczęgi wychodzi. Niestety!—dodał—ci bojaźliwi mają bardzo często słusność, bo między ziomkami za granicą

spotykają się i gwiazdy pierwszorzędne i... smutne odpadki społeczeństwa. Jesteśmy dziś jak owe rozbitéj planety szczątki, jak aerolity i bolidy... gwiazdami lub kawałkami żelazistéj rudy...

Księżna zdawała się słuchać z przykrością i przerwała mu szybko.

— Nas tu teraz w Rzymie jest garstka mała bardzo, a ja mam tę wadę, że mnie nietylko gwiazdy, nietylko odpadki, ale nawet najzwyczajniejsze postacie, spokrewnione mową i wspomnieniami, mocno zajmują. Otóż—dodała weselój, siłąc się na pewną rubaszność kobiety dobrego towarzystwa, która czuje prawa swoje—otóż, krótko a węzłowato: zobaczywszy tu pana, przyszedłam umyślnie, aby mu powiedzieć że prawie codziennie wieczorem jestem w domu i że mi pan uczynisz wielką przyjemność, przychodząc na herbatę i rozmowę.

Wiktor skłonił się, tak zdumiony, że nie odpowiedział zrazu i coś tylko niezrozumiałego przebaknął.

Księżna stała, uparcie nań patrząc.

— No, proszę bardzo, nie bądź pan dzikim; zrobisz mi przyjemność. Salon mój nie jest zbyt ceremonialnym. Towarzystwo znajdziesz pan toż samo, z małą odmianą, które spotkałeś u mojej przyjaciółki Lizy.

— Niech księżna raczy wierzyć, że jestem jéj nad wyraz wdzięcznym — odezwał się Wiktor—bo to jest dowodem z jéj strony tak dobrego ser-

ca, a takiéj... nieopatrzności, którój tylko szlachetniejsze serca i wyższe charaktery mogą się dopuścić. Stokroć księżnie dziękuję!

Księżna poruszyła ramionami.

— Pochwały—szepnęła—na które nie zasłużyłam.

— Owszem—podechwycił ośmielony Wiktor. — Ja łaskę jéj umiem ocenić. Mówiono mi to wielokroć, że wyglądam na bandytę, lub niedobrego o gatunku artystę-awanturnika. W dodatku jestem ziomkiem, więc może biédnym wygnańcem, który rad czepiać się i wyzyskiwać. Nikt mnie nie zna! Trzeba heroicznój odwagi i takiego serca...

— A!—przerwała, rumieniać się, księżna—proszę, daj-że mi pan z tém pokój! Nie podobnego nie przypuszczam, a moje zaproszenie, moje natręctwo pochodzi poprostu z tych pustek w Rzymie i ciekawości córek Ewy. Zapraszam koniecznie! Przyjdiesz pan?

Mówiła tak nakazująco, że się jéj oprzeć nie było podobna.

Wiktor się skłonił.

— Więc jutro czekam z herbatą, a dla ubezpieczenia pana dodam—rzekła, uśmiechając się—że nie będziemy pana badali, męczyli; zostawimy mu swobodę jaknajwiększą.

Dokończysz i nie przypuszczając już odmownéj odpowiedzi, księżna prędko poszła za Liza i jéj bratem, który przy niéj pozostał. Widać ich było zdala, w uliczce oczekujących.

Wiktor, po odejściu jój, siadł znowu na ławce, ale już do studyowania starych cyprysów nie powrócił.

Księżna zajmowała oddawna stary pałacyk jednej z tych rodzin patrycyuszowskich, które, choć zubożałe, trzymają się jeszcze pozostałych im starych murów, bo do nich przywiązane są wspomnienia dawniej wielkości. Żyją może nadzieją, że kiedyś odzyszczą świetność straconą.

Tymczasem w tych gmachach, których tyle się spotyka w ulicach Florencyi, Bolonii, Rzymu i pomniejszych miast włoskich, rodziny zubożałe wiodą życie bardzo skromne, tulą się gdzieś w kątkach, znaczniejszą część pałaców najmując cudzoziemcom.

Księżna miała całe pierwsze piętro wspaniałego niegdyś gmachu, z salami olbrzymiemi, z sufitami malowanemi al-fresco, z obrazami w środku, z posągami pootłukanemi u wnijścia. Dwór jój cały składali: stara panna Kunegunda (Kunusią zwana), podobno daleka kuzynka nieboszczyka męża, do której księżna przywykła bardzo i lubiła ją, stary kamerdyner z domu wzięty i dwoje sług przynajętych za granicą.

Wielki salon, w którym przyjmowała, umeblowany był po włosku, to jest opatrzony w sprzęt niezbędny, niegdyś wytworny i wspaniały, teraz już zszarpany i zestarzały. Na ścianach wisiały wizerunki margrabiowskiej rodziny, do której pałac należał, i para olbrzymich krajobrazów, w fan-

tastycznym stylu Salvatora Rosy, broniących się rozmiarami swemi od sprzedaży i losu współbraci, dawniej Anglikom odstąpionych. W innych dwóch przyległych salonach mniejszych, księżna już się więcej sama urządziła i rozgospodarowała. Tu wszystkie jój upodobania, rozrywki, kaprysy łatwo można było poznać, widząc na ścianach nowe najrozmaitszej wartości obrazki, posążki na kominach, książki porozrzucane po stolikach i kanapkach, obok kobięcych robótek i fraszek.

W salonie wielkim jeden tylko fortepian nowy starożytne umeblowanie odświeżał, odbijając swą formą i blaskiem od dawnych margrabiowskich sprzętów.

Szukająca zajęcia i rozrywek dla zapełnienia życia, księżna Teresa w mieszkaniu tylko jedném była nałogową i przywiązaną do znajomych kątów, choćby ją znudzić już były powinny. Stary pałac miał wiele niedogodności, na-  
jem jego podnoszono coraz; trzymała się jednak tych ciemnych sal, do których przywykła. Za nic ich zmieniać nie chciała.

Nazajutrz po powrocie z Villa d'Este, księżna pośpieszyła zawiadomić hr. Augusta, iż się zaproszonego spodziwała artysty (bo tak uparcie go zwano). Pominęłaby była może hr. Filipa, który, pomimo narzucania się towarzystwu, niebardzo był w niém lubiony; lecz.... byłby się czuł

obrażonym. I jemu więc musiano oznajmić, że księżna dnia tego wieczorem będzie w domu.

O zwykłej godzinie pani Eliza z bratem, hrabia August, a nawet czasem umyślnie opóźniający się hr. Filip, znajdowali się już u księżnej, gdy kamerdyner drzwi otworzył i wpuścił gościa nowego. (Dodajmy dla charakterystyki, iż zrana, wedle ścisłej obyczajowej obserwacji, księżna znalazła na stole u siebie kartę wizytową Wiktora Gorajskiego. Znaczyło to, że formy świata znał i umiał je poszanować).

Wielki salon słabo był oświetlony, tak iż w pierwszej chwili księżna wchodzącego nie poznała.

Był to zaproszony Wiktor, ale w postaci tak nowój, w tak zupełnej metamorfozie, iż wszyscy obecni stanęli na chwilę niemal przestraszeni.

Śladu na nim nie pozostało owego zdziwałego człowieka. Ubrany wedle najściślejszych wymagań salonowych, w czarnym fraku, w rękawiczkach jasnych, z kapeluszem w ręku, w lakierowanych bucikach, z brodą i włosami w porządku, był jakby nowym, nieznanym człowiekiem. Fizyognomia tylko jego nie postradała wyrazu tego artystyczno-cygańskiego, który ją dawniej odznaczał, ale wśród innych akcesoryów, wydawała się więcj oryginalną, niż dziką.

Ubranie nie zdawało mu się ciężć i ścisnąć go, jak zwykle pęta ludzi, którzy je rzadko wkładają i noszą niechętnie. Ruchy miał swobodne, w salonie zdawał się jak u siebie.



Hrabia Filip był jednym z tych, których ta przemiana może najmocniej zdumiała. Pani Eliza, którą za pierwszym zjawieniem się w jej salonie Wiktor nastraszył, niemniej może się teraz ulękła tak zupełnej metamorfozy. To kameleonstwo zagadkowe, dziwnego niby-artysty, niby-człowieka do towarzystwa należącego, podwoiło przestrah i ciekawość. Z większym niż wprzód, niespokojnym zajęciem zaczęła mu się przypatrywać zdaleka.

Nie ulegało już wątpliwości, że człowiek ten jakimś prawem jeżeli nie należał do wyższych sfer społecznych, to się w nich musiał obracać często, i że się z nich dobrowolnie wyłamał, gdy stały się dlań uciążliwymi lub wstrętami. Pani Liza widziała w nim niebezpiecznego może wroga tych, od których uciekał, ale nęcił ją tajemniczością swoją.

Po przelotnej chwili zdumienia, księżna przywitała przybywającego, starając się nie dać mu poznać, iż ją ta przemiana zdziwiła.

Hrabia August, dla którego, od pierwszego wejrzenia, miał jakiś urok ten człowiek zagadkowy, zbliżył się zaraz ku niemu, a za nim, jak zawsze, pośpieszył hr. Filip.

Księżna rzuciła słówko o willi d'Este, a hr. Filip ze złośliwością, z którą się lubił popisywać, gdy mowa zeszła na studia, wtrącił umyślnie słówko o pięknej Pepicie, jako przedmiocie studyów także bardzo dojmującym.



Wiktor, nie dając się tém zmieszać, uśmiechnął się dobrodusznie.

— Al!—odezwał się—to właśnie dla artystów wogóle stanowi wielki urok téj włoskiej ziemi, że tu, może tylko tu, znajdują oni najcudniejsze, niespodziane modele, które zdają się żywém potomstwem greckiej sztuki. Tu jeszcze owi bogowie i boginie chodzą po ziemi, tu spotykać można młodych Satyrów, Heby, Psychy i Junony. Na wyspie Capri potomkowie dawnych kolonistów Hellady osłupiają czasem pięknością swoją. Każdy myślący artysta staje tam wobec nierozwikłanej zagadki. Te cuda piękności noszą w sobie dusze tak uśpione, tak pospolite, tak prozaiczne; te Psychy bywają często tak ograniczone, dziecinne, nawet zepsute, iż chce się spytać natury, co ta jej piękność znaczy? Czemu powłoka nie odpowiada duchowi? dlaczego ci bogowie i boginie kłamią, gdy są poprostu ledwie rozbudzonemi ze snu poślednich istot... zwierzętami?

Wiktor wypowiedział to postrzeżenie swoje tak jakoś naturalnie, iż nikogo nie uderzyło wprowadzenie rozmowy na przedmiot wcale niezwykajny.

— Ta Pepita—dodał—którą hrabia widziałeś wczora, jest ślicznym wzorem, jakby zrodzonym szczególnie dla rzeźbiarza, dla malarza nawet, a wkońcu i dla poety... Zakłęta w kamień, przeniesiona na płótno, wyśpiewana w naiwnych strofach, mogłaby się wydawać ideałem. Spróbuj-że

jednak hrabia pomówić z tą jaśniejącą blaskiem młodości i wdzięku istotą, a znajdziesz w niej rozpaczliwie pospolite stworzenie, roztrzepane, chciwe najdziecinniejszych uciech, zabobonne, złośliwe czasem. Oczy jej mówią często, prawie zawsze, zupełnie co innego niż usta... Zdaje się jakby duch jakiś szyderca zakradł się w formy zapożyczone.

— Cóż tu natura winna? — odparł hrabia August powoli.—Ona stworzyła doskonale narzędzie, na którym śpiąca dusza grać nie umie. Tej doskonałej harmonii ciała i ducha, której pan wymagasz od ludzi, nie spotykamy nigdy prawie w życiu. Kilkaset lat czeka świat na Beatrycę Dantego, na Laure, na Vittorią...

— Człowiek wogóle — dodała księżna — jest istotą ułomną i rzadko może w sobie wszystkie siły i władze wyrobić do równej doskonałości. Ideałów lub istot zbliżających się do nich niema na świecie.

— Teraźniejsza nauka i teorya sztuki rzeka się nawet gonienia za niemi i marzenia o nich — rzekł hrabia Filip.

— Jest-to chwilowa protestacya tylko przeciwko fałszywemu ideałów pojmowaniu, nie więcej — odezwał się August.—Niemniej wyzucie się zupełne z ideału uważam za szkodliwe. Człowiek, który nie ma go przed sobą i nie stara się nim stać, z konieczności upada nisko.

— Ja zaś znajduję — wtrącił hrabia Filip —

że lepiej wcale nie marzyć o tém co niedoścignione, a ograniczyć się na...

— *Na fruges consumere nati* — podszeptał hrabia August.

Rozmowa się nieco przerwała, bo milczenie p. Elizy zdało się gospodyni oznaką, iż zboczono od razu w strefy, w które niewszyscy puszczać się byli gotowi.

Właśnie téż wejście gościa nowego wywiodło wszystkich z trochę kłopotliwego szukania treści do ogólnej rozmowy.

Przybyły był jednym z tych biédaków, których księżna umiała wszędzie wyszukiwać i gromadzić około siebie. Był to malarz-poeta, człowiek już niebardzo młody, od lat wielu bląkający się po Włoszech i po Francyi, który sztuki dopiero, za granicą się w niej rozmiłowawszy, uczyć się począł—jeden z tych, o których wspominała pani Eliza, co mówią pięknie o sztuce, a stworzyć nie nie umieją. W wielu rzeczach miał pojęcia bardzo trafne, czuł piękno, umiał je ocenić, teoretycznie tworzył obrazy zachwycające; ale gdy się wziął do wykonania, był najstraszliwszym bazgraczem.

Szkic bywał czasem genialny, lecz dzieło prawie zawsze poczarne. Nieszczęściem sam do siebie nie czuł tego, miał się za niepoznanego wieszca i malarza... przyszłości.

Wpływ jakiś nieszczęśliwy ludzi otaczających, epoki, temperamentu może, uczynił go olbrzymio zarozumiałym.

Miał się za geniusz, a warunkiem genialności dla niego była ciemność, równoważna w przekonaniu jego z głębokością.

Dla ludzi chłodnych był poprostu śmieszny, karykaturą geniuszu; dla współczujących godnym niezmierniej litości, zbłąkanym biédakiem. Ołówkiem i penzlem nie mogąc nastarczyć wielkiemu duchowi, jaki w sobie nosił, pan Emil Maria Otokski (tak się zwał) stał się i zarazem poetą, równie dziwnym, niezrozumiałym, wymuszonym, jak był malarzem. Poezya nawet przeważała w nim teraz.

Emil Maria nigdy nie chciał być naturalnym, sobą samym; pamiętał o tém, że nosił w sobie wieszczę; szanował wielkość swą, występował tak zawsze, jakby go na chwilę nie opuszczało natchnienie. Kapłanem był od rana do nocy.

Powierzchnowość człowieka nie dawała się łatwo domyślać geniuszu, gdyby Emil Maria nie pomniał ciągle o tém kim jest, co na téj ziemi, wśród pospolitych tłumów, przedstawiać powinien.

Człowiek był już lat może czterdziestu kilku, trochę łysy, dość słusznego wzrostu, przygarbiony nieco, zaniedbany w ubraniu, jak przystało poecie i artyście. Powierzchnowość zdradzała źle pokrywane ubóstwo; na twarzy, rysów dość pospolitych, wybitne było i poczucie swój wielkości i coś, co znamionuje istotną wyższość inteligencji. Oblicze miał zmęczone widocznie tém nieustanném czuwaniem nad sobą, obmyśliwaniem każdego ru-

chu, szukaniem słowa i miny, strojeniem się na przemiany w zapaly na zimno i ironią dla kontrastu, Wkońcu jednak nawyknienie stało się naturą: wyglądał na starego komedyanta, który już i w salonie przestać nim być nie może.

Był to poeta i geniusz z tych czasów Byrona i Shelleya, gdy wielcy ludzie musieli dziwaczyć, wybuchać, by się u tłumu dorobić uznania ducha eo w nich mieszkał i nigdy im nie dawał spokoju. Niewolno im było ani na ch wilę prostymi śmiertelnikami pozostać. Emil Maria był też nieznośnie, zawsze i wszędzie geniuszem.

Czy otaczający uznawali go, czy nie, nie spuszczał z tonu; niekiedy tylko, spotykając się z niedowiarstwem i ironią, wybuchał gniewem wielkim, zrywając z ateuszami. Na tych już pocziwój nie zostawiał nitki.

Księżna, zobaczywszy go wchodzącego, na jedno oka mgnienie okazała pewną niecierpliwość i zakłopotanie. Gość ten przychodził jój nie w porę; ale nadzwyczajna dobroć i uprzejmość dla wszystkich, a litość nad biędnym monomanem, wnet jój twarz rozjaśniły.

Emil podszedł ku gospodyni, jak człowiek przekonany, iż uszczęśliwia każdy dom, w którym ukazać się raczy. Z pewnym rodzajem poufałości, uszanowania pełnej, pocałował ją w rękę, skłonił się wszystkim zdala i zabrał miejsce, dając czuć, że on tu teraz musi się stać figurą główną, ogniskiem, mistrzem, z prawa swojego geniuszu.

Dosyć obojętnym wzrokiem przebiegając salon i starając się wobec tytułów, jakie tu spotykał, swojego się nie wyrzekać i nie dać o nim zapomnieć — poeta spostrzegł nagle Wiktora, który przypatrywał mu się z uśmiechem jakimś dwuznacznym. Okazał na widok téj postaci nowój niezmiernie zdumienie. Niepokoila go.

Jak gdyby sądził że się omylił może przy pierwszym rekognoskowaniu, wlepił oczy w nieznajomego, zapominając nawet odpowiedzieć na zapytanie gospodyni. Księżna, z cechującą ją łagodnością, powtórzyła je, a poeta wtedy dopiero, jak rozbudzony, zwrócił się ku niej, wyrzekając się na chwilę rozpoczętego badania.

— Cóżś pan porabiał przez tych dni kilka, gdy nigdzie go widać nie było?—mówiła księżna.

— Sam nie wiem, trudno się z tego wypowiadać — odparł powolnie, patetycznie Emil. — Są w życiu dnie, gdy się traci czasu rozmiary, poczucie rzeczywistości; są chwile ekstazy, niby godzinny chaosu poprzedzającego kreacyą. Same te znowu momenta poprzedza często pokuta ducha na pustyni, w pół-śnie, pół-jawie, post myśli, maceracya uczuć, senność samopoznania, zdrętwienie naszego ja... nie wiem!

Podniósł oczy kugórze i westchnął, nie dopowiedziawszy reszty, aby ją sobie dośpięwali w duszy słuchacze. Milczeli wszyscy, bo nie było co odpowiadać na ten wykrzyk mistyczny.

Litościwa księżna po chwili spytała, aby przykrą przerwać ciszę:

— Malowałeś pan co?

— Ja, malować?—zawołał ironicznie.—Ja posłamałem penzle, podarłem płótna... Napróżno! nie mam tego daru prawienia rzeczy oklepanych językiem zużytym, a jedynie zrozumiałym tłumom; aby być ocenionym i pojętym, trzeba być płaskim, trywialnym, pospolitym. Tego nie umiem, to nie moja rzecz! Być zaś głosem wołającego do głązów, wkońcu zabija. Godzina moja wybiła!... Niezrozumiany, zrezygnowany zstąpię do grobu.

Mówił to, deklamując niedobrze, pomagając sobie ruchami rąk, głosem to krzykliwym do zbytku, to do szeptu niższym; ale z oczów iskry się sypały.

Hrabia Filip, któremu najtrudniiej było wytrzymać, poszedł się ukryć w cieniu, aby nie postrzeżono że się uśmiechał. Reszta towarzystwa zachowywała się przyzwoicie.

Księżna patrzyła na stół; Wiktor, znalazłszy album jakieś pod ręką, począł je zwolna przeziierać. Na twarzy jego widać było boleść i smutek... wrażenie jakiegoby doznał litościwy człowiek, widząc chorego, obnażającego ranę zaognioną, a zastarzałą.

Zaledwie dokończywszy tę znaną już księżnie z rozmaitemi jej wariantami elegią, Emil Maria pochylił się ku niej i spytał cicho:



— Mościa księżno (tu wskazał na zatopionego w albumie), co to za człowiek?

Odpowiedź była nader trudna, gdyż wistocie nikt nie wiedział jeszcze, czém był ten *homo novus* w salonie. Księżna więc ograniczyła się szepnięciem nazwiska.

Poeta ruszył ramionami.

— Twarz tę, jój cień, podobiznę, coś z nią krewnego spotykałem—rzekł—nie wiem, na tym, czy na innym świecie. Jest mi znana.

Hrabia August, który nad dawniej sobie już znanym Emilem czuł rodzaj politowania, a chciał razem przyjść w pomoc księżnie, przysiadł się do niego.

Widocznie dręczony tą nową postacią, w której może obawiał się rywala, poeta pochylił się do hrabiego i szepnął, wskazując na Wiktora:

— Poeta? artysta? obywatel? wygnaniec? Kto to jest?

— Nie wiem — odparł hrabia.—Jest-to znajomość nowa, może dyletant.

Z obrzydzeniem razem i politowaniem Emil, usłyszawszy tę kwalifikacyą, ruszył ramionami. Nie dlań wstrętliwszém być nie mogło, od dyletanta, może dlatego, iż w duszy sam poczuwał się, że niczém inném nie był. W sztuce zaledwie się nawet dyletantem mógł nazywać; jako poeta, miał tylko nigdy niemogące się ziścić marzenia, tworzył obłamki, co się z sobą nie zrastały. Czasem było w nich parę wiérzsy, błysk talentu rzeczywi-

stego, jaskrawy, przesadnością zepsuty, przybrany dziwacznie; ale natychmiast po nim następowała powódź bredni, w których język brany był na tortury, aby, stając się niezrozumiałym, wydawał genialnym.

— Tego człowieka ja gdzieś widziałem — szepnął poeta hrabiemu.

— Pewnie na ulicy, jak my wszyscy — rzekł hrabia.

— Być może. Ale tu w salonie wydaje mi się jakby był przebrany. Niech hrabia przy sposobności raczy nas poznać z sobą.

Przejszć miano do mniejszego salonu, na małą collazione i herbatę, nadarzyła się więc rychło żądana sposobność. Hrabia zapoznał z sobą dwóch panów.

Bardzo chłodno przyjął poetę Wiktor; na chwilę jednak pozostali z sobą.

— Ja pana gdzieś widywałem — rzekł niespokojnie Emil Maria.

— Bardzo prawdopodobnie — odezwał się Wiktor. — Włóczę się wiele, a oddawna jestem w Rzymie i wszędzie mnie pełno.

— Artysta?

— Quod Deus avertat!

— Więc cóż?

— Nic, człowiek zwichnięty, jak my wszyscy potrosze — rzekł Wiktor.

— Wszyscy, wszyscy zwichnięci?!

— Wygnańcy stają się takimi, prędzej lub później.

— Pan tak sądzi?—począł poeta, trochę zmieszany, i po małym przestanku dodał:—Pan sądzi że wygnanie zwicha? Ja owszem myślę, że gnanie i wygnanie potęguje siły, egzaltuje... Mickiewicz nigdyby się nie podniósł do takiej wyżyny, gdyby nie ten chleb gorzki i nie te schody, o których mówi Dante...

— Dante? — podchwycił Wiktor.—Nie zapominaj pan, że znaczniejsza część wygnania Dantego była wypędzeniem z Florencyi do Wenecyi, do Pizy, do Rzymu, to jest jakby z Warszawy do Siedlec, do Kalisza lub Poznania. To wcale co innego. Nie brzmiała mu w uszach piękna, melodyjna mowa toskańska, ale włoskiego słuchał języka. Inaczej jest z nami, wśród innych narodów, jak szczygły między wróblami, lub wróble wśród śmieciuch. Tu tracimy swą indywidualność, inną przyoblec nie mogąc. Dość słuchania i posługiwania się obcą mową, aby umysł przez nią zwichnął się i wypaczył.

Poeta popatrzył trwożliwie, nie odpowiedział nic i siadł milczący.

Przybycie jego, dla wszystkich dosyć niewygodne, najprzykrzejszém może było dla p. Lizy. Geniusz od niejakiemu czasu zaszczycał ją jawną swą adoracją. Nietajno było nikomu, iż się w nią zakochał, a że nie dla siebie za zbyt wysokie i niedostępne nie miał, łądził się nadzieją,

iż pozyszcze serce tego anioła-męczennicy. Być może iż po za tém marzeniem stała i perspektywa małżeństwa, a nawet wszystkie szczęśliwe następstwa zmiany towarzyskiego położenia.

Wistocie biedaczysko potrzebował bardzo, aby się w nim zakochała jaka bogata dziedziczka, nie miał bowiem nic a nic, oprócz geniuszu, a żył z téj mанны, którą mu zsyłała Opatrzność. Płacono mu za szkice, za obrazki, za różne robótki przez miłość raczej bliźniego, niż sztuki, i chowano potém starannie te twory, aby ich ludzkie nie oglądało oko. Były między niemi i udatne, i poczarne i tak zagadkowe, że nikt nie wiedział, jaką myśl niemi oplątał.

Miał Emil Maria szczęście raczej niż talent pozbывania się płodów swego ołówka, penzla i pióra duszom litościwym, umysłom ciekawym, choć nie napraszał się z niemi. Zbyt na to był dumny. Nadzwyczaj wielką przywiązując do nich wartość, ceniąc olbrzymio to co się w nim zrodziło, zdawał się czynić łaskę, gdy przyjaciółom te arcydzieła odstępował.

Umiał jakoś, gdy już blizkim był niedostatku, który znosił mężnie i stoicko, trafić zawsze na kogoś, co go z delikatnością wielką prosił o jedno z tych niejasnych, komentarza potrzebujących, ale genialnych płodów ducha.

I tak żył Emil Maria jak polne lilie, na łasce Tego, co żywi ptaszętą polne, a ostrzyżone owieczki od wiatru ochrania. Zdawało mu się, przez

tę wiarę jaką w posłannictwo geniuszu swego pokładał, iż Opatrzność winna mu była nietylko chleb, ale wkońcu jakąś świetną niespodziankę, premium, które gdzieś zaczajone na drodze żywota nań czekało.

Wyobrażał sobie, że tą niespodzianką powinna być miłość kobiety pięknej, wyegzaltowanej, a przytém należącój do śmietanki społecznej, wyposażonój tak, aby poe ta mógł u jój boku bez troski, swobodnie oddać się cały wyśpiéwaniu poematu swego ducha... wielkiój pieśni nieśmiertelnej.

Przyjścia tego Mesyasza niewieściego, który mu miał przynieść wyzwolenie, szczęście, oczekiwał Emil Maria oddawna. Szukał go we wszystkich paniach, do których się zbliżał, i znaleźć nie mógł. Żadna mu się oczarować nie dała, ani płótnem, ani papiérem, obrazem czy poematem. Zkolei poznawszy panią Lizę, grzeczną, bojaźliwą, chwilami egzaltowaną, choć niełatwo rozwiązującą usta i otwierającą serce, poeta powiedział sobie: „To ona być musi!”

Miała wszystkie warunki marzonój niewiasty-ideału, licząc w to i złożone ramy, w których każdy obraz lepiej się wydaje. Brakło tylko, ażeby raczyła spojrzeć na niego łaskawie. W początkach nawet widywała go z zajęciem, okazywała mu współczucie; lecz gdy się domyślać zaczęła, posądzać go oto co roił, przestraszona cofnęła się, otoczyła lodem i starała unikać spo-

tkania z poetą. Zawsze dla niego grzeczna bardzo, wyraziście dawała mu poznać, że znajomość ich pewnych granic nie przejdzie.

Emilowi zdawało się, że to ostygnięcie było naturalnym skutkiem obawy, jaką budził w niej potęgą swoją, urokiem geniuszu; tłumaczył to sobie oznaką walki w jej duszy. Któż się bez walki poddaje? Nie przestawał więc, ilekroć spotkał panią Lizę, grać dla niej na wszystkich złotych strunach swojej lutni.

Nie spodziewał się, że ten wieczór miał go pochwycić, unieść w stronę inną i uwolnić ideał od obłączenia.

Przechodząc do małego salonu, w którym miało zasiąść do herbaty, ostrożna p. Liza upatrywała już zawczasu takie miejsce, aby poety nie mieć ani obok, ani naprzeciw siebie.

Do charakterystyki pięknej wdowy należała słabość jedna: miała do przesady posunięte upodobanie nie w elegancyi, ale w czystości, a geniusz bywał często zaniedbany, tak iż na ręce jego spojrzeć było niebezpiecznie. Należało to do cech jego powołania. Pani Liza, zmuszona patrzeć na zabrukanego, często nie w usta wziąć nie mogła.

Księżna, dla której ona tajemnic nie miała, postarała się o to, aby odgadniętym życzeniom zadość się stało. Poeta, który się do stołu opóźnił, przytrzymany trochę rozmową z Wiktorem, znalazł dla siebie wskazane krzesło przy gospo-

dyni domu. Pani Liza siedziała w jednym z nią  
rzędzie, została więc ukrytą i bezpieczną.

W piérwszój chwili ogólniejsza rozmowa za-  
wiązać się nie mogła; szeptano tylko z sobą  
zblizka. Emil Maria zamyślił się głęboko, na-  
przód nad tém jak ma odżywić to uczucie, o któ-  
rego kiełkowaniu w sercu pani Lizy jeszcze nie  
zważył, powtóre jak się miał przedstawić nie-  
znanemu, aby go podbić i uczynić czcicielem; szło  
mu o Wiktora, aby został olśniony, aby uwierzył  
weń i upokorzył się przed majestatem geniuszu.

Dwa te wymagania chwili dawały się z sobą  
pogodzić; szło tylko o to, ażeby zagrać preludyum  
stosowne, któreby wielkiej symfonii mistrza ton  
dało.

Zasepiony, milczący, z głową spuszczoną nad  
filiżanką, siedział długo wgłębiony w siebie poeta.

Tymczasem hrabia Filip, zamiast żądanego  
preludyum, zaczynał pryskać ironicznie frazesami,  
wedle swego zwyczaju.

Swobodna dosyć wymiana myśli, która przed  
przyjściem Emila zapowiadała wieczór ożywiony,  
sparaliżowaną się zdawała zjawieniem się poety.

Z nim, jak z chorym, potrzeba się było mieć  
na ostrożności i wielu przedmiotów, nieszkodli-  
wych dla zdrowych, nie tykać. Nie cierpiał naj-  
mniejszego sprzeciwiania się sobie; głosił wyroki  
i słuchać go musiano. Rozprawiać z nim nie było  
podobna.



Księżna widziała już swój wieczór zepsutym bez ratunku, a pamiętała że Emil Marya zwykle siadywał długo i wychodził ostatni.

---

Z westchnieniem pochyliła się księżna do sąsiadki swój i szepnęła jój:

— Zawiedzione nadzieje!

Skąpa w słowa, piękna Liza podniosła oczy i wyrazem twarzy odpowiedziała: „Niestety!”

Hrabia Filip, korzystając z bardzo szczęśliwego dla siebie składu okoliczności, miał właśnie wystąpić na arenę z dowcipem, w który grał doskonale, jak młode panienki w wolanta—gdy z sąsiedniej sali dał się słyszeć szelest sukni kobiećej. Księżna podniosła głowę, trochę zdziwiona. Kamerdyner prowadził gościa nowego, wchodzącego bez ceremonii, żywo, napastliwie, jak ci, co wiedzą że pożądanymi i wdzięcznie przyjętymi być muszą wszędzie.

Z ruchów téj pani, nim światło na twarz jój padło, wnieśćby było można, iż była chyba wcale młodą, bo skakała, nie szła, poruszała rękami, a cała jój niewielka figurka drżała konwulsyjnie. Strój téż zapowiadał młodość zdaleka, barw był jasnych i sprzeczących się z sobą, zbyt pobawieszany ozdóbkami i gałgankami.

Gdy cała postać wyszła z mroków, pokazała się jeśli nie starą, to przynajmniej rozbrataną

nawet z resztkami drugiej młodości jesiennéj. Twarz, która nigdy pono piękną nie była, ale przed laty dwudziestą mogła być powabna świeżością i żywością wyrazu, składała się z regularnego koła, na którem, pod niskiem czołem, małe ciemne oczki przymrużone siedziały. Wśrodku był nosek kartofelkowaty, dawniej przyjemnie zadarty, a pod nim dosyć szerokie, z grubemi wargami usta. Razem było to niezmiernie ruchawe, zmieniające się, bo i brwi tańcowały, i policzki się cochwila to wydymały, to wpadały i usta zaciskały się lub rozszérzały do zbytku—wszystko zaś stanowiło maseczkę komiczną, której nie zbywało na ogniu i sprycie.

Znać było, że ta pani wiele żyła i próżnować nie lubiła.

Była to dziś dukessa di Valle Nero, z domu Zosińska, primo voto baronowa von Haeven, secundo hrabina de Pierrefide, naostatek małżonka duka, Włocha, który rzadko bardzo ukazywał się na jéj horyzoncie. Istniał jednak niewątpliwie.

Z poprzednich małżeństw pozostała jéj córka, oddawna za mąż wydana za Niemca, i... bardzo zřęcznie ocalony z katastrof wielu dosyć znaczny majątek.

Dowcip, żywość, wesołość, napastliwość i posag przywabiły do niéj ubogiego, średnich lat duka, który nie miał nic, oprócz zameczku w Valle-Nero w Lombardyi i dwóch gospodarstw chłopom oddanych na metę.

Rok podobno małżeństwo żyło z sobą razem i zgodnie; potem książę, lubiący polowanie i swój kąt, został w zameczku, dostawszy jakieś subsydyum, a pani rozpoczęła nanowo wieczną swą włóczęgę po świecie, bo nigdy długo na jednem miejscu usiedzieć nie mogła. Sama ona zwała się żartobliwie Ahaswera, a inni jęj także to imię dawali.

Czasem wciągu jednego roku widzieć ją było można w Paryżu, Ostendzie, Nizy, Monte Carlo, Florencyi, Rzymie, Lwowie i Odessie. Znane jęj były Konstantynopol i Jerozolima, raz znajdowała się na balu u khedywa.

Napół, albo raczej najzupełniej kosmopolitka, rozmaitemi stosunkami związana ze wszystkimi narodowościami całej Europy, księżna miała jednak słabość do swoich współziomków dawnych i szukała najchętniej ich towarzystwa. Wzdychała, mówiąc, że bez swoich długoby wyżyć nie potrafiła.

Ahaswera—gdy tém imieniem oryginalném pozwałała się zwać i pod niém najlepiej była znaną—żyła, jak motyle, niewiedzieć czém. Nie miała napozór żadnej panującej namiętności, ale zkolei poślubiła wszystkie, aby nie pozostać bezczynną. W wyborze wcale nie była trudną.

Zbliżało ją to do księżnej Teresy, która również szukała zajęcia, potrzebowała nowości; lecz ta była między niemi wielka różnica, że księżna znajdowała przyjemność w szlachetnych tylko

rozrywkach, w czémś mówiącém do duszy, podnoszącém, gdy Ahaswera zabawiała się równie dobrze w Monte Carlo, wśród najgorszego towarzystwa, jak w najlepszém. Mówiono sobie bardzo poeichu, że dawniej miéwała fantazyje nader kompromitujące, niewiele dbając o to, co o niej ludzie powiedzą.

Postępowanie jéj jednak, bardzo swobodne, nie przeszło pewnych granic i nie było tak cyniczném, aby jéj wstęp do lepszego towarzystwa zamykało. Choć wiele jéj zarzucano, o wielu awanturkach opowiadano, ona przynajmniej swych wybryków i kaprysów nie głosiła jawnie, nie chlubiła się niemi. Była przytém dobroczynną bardzo i litościwą dla drugih.

Księżna Teresa przyznawała, że Ahaswera bawiła ją; pani Liza unikała jéj trochę i chłodem grzecznym dawała poznać, iż spoufalać się zbyt nie była rada.

Oprócz Wiktora, znali ją tu wszyscy i spotykali się z nią często. Lubiła zapraszać na obiady, których dysponować nie umiała, choć jeść dobrze potrzebowała.

Emil Maria, którego naprzemiany drażniła żartami, a potém karmiła przesadnemi uwielbieniami, którego chętnie nabywała obrazy, słuchała improwizacyi, miał ją za ekscentryczną, ale niepospolitą kobietę. Gdyby była młodszą, lub gdyby choć okazała mu, iż chce w nim mieć czciiciela! Właśnie ten wieczór miał go wydobyć

z niepewności i wahania, w którym oddawna więdniał.

Poznaawszy Ahaswerę, księżna coprędzej wstała i wyszła naprzeciw niej.

— Przepraaa-szam! Pardon! Wpadam tu nieproszona, natrętna—zawołała, kręcąc się, szleszcząc suknią, mała księżna.—Ale przez litość, proszę mnie nie wypędząć! Stęskniona jestem za polską mową, za twarzami polskimi, za ludźmi naszymi—po parafiańsku wyrażając się: za ziomkami i rodakami. Nie wierzycie państwo?... cały tydzień spędziłam pomiędzy Anglikami, Szwedami, Włochami i Francuzami—a! w całej menażeryi kosmpolitycznej, bo był tam Bulgar i Turek nawet... Uwierzycie państwo, czy nie? pełno było ludzi rozumnych, rozumniejszych niż my zwykle bywamy, miłych, uczonych, dowcipnych, przyzwoitych—a mimo to czegoś, czegoś mi swojego brakło!... Niepojęta rzecz! Chciałabym znaleźć chemika, któryby mi powiedział, jaki to jest pierwistek nam właściwy, a którego wszystkim innym narodom braknie? Ja nie wiem, ale coś my mamy w sobie, czego nie mają drudzy. Czyśmy więcéj dziećmi? czy....

Rozśmiała się. Zrobiono jéj miejsce. Obejrzała się dokoła, jeszcze bardziéj oczki przymrużając, a witając po włosku rękami i głową.

— Widzę tu areopag cały—dodała.—Niechże panowie i panie wyrokują. Zadanie godne najwytrawniejszych umysłów.

Wszyscy milczeli, spoglądając po sobie.

Najśmielszy, hrabia Filip, wyrwał się pierwszy.

— Ale księżna, zadając pytanie, samaś je najlepiej rozwiązała. Tak mi się zdaje. Ja się piszę na hipotezę. Wistocie, my jesteśmy wiekście potrosze dziećmi, to stanowi urok nasz i słabość naszą.

Na poecie, który twarz miał zwróconą ku wdzięczącej się, a tém mniej teraz pięknej Ahaswerze, widać było, iż mocno pragnął wystąpić z czémś olśniewajacém szczytnością, oryginalnością, potęgą. Czoło mu się sfałdowało, jak fale morskie gdy skarb wyrzucić mają na brzegi, usta ścięły.

— Dziećmi?—zawołał. — Hrabia nam z tego czynisz wyrzut, co w moich oczach jest największą chwałą naszą! Tak, księżna wyrzekłaś żartem prawdę wielką: jesteśmy dziećmi w rozumieniu tém, jakie małuczkim nadały słowa Chrystusa, który je kazał przypuszczać do siebie. Dziećmi... o tak! bo nawet w grzechach naiwni jesteśmy—dziećmi, bo nami rządzi uczucie, a to uczucie, siebie niewiadome, płynie nie z maleńkiego źródła w piersi naszej, ale z wielkiego źródła, co żywi wiekuistego ducha ludzkości. Dziećmi jesteśmy... ach! i pozostanmy niemł!

— Trochę przytém rozumu i dojrzałości dzieciom tym jednakby nie zawadziło!—przebąknął Wiktor.

Ahaswera spojrzała na niego z ciekawością niezmierną i zwróciła się z szeptem do sąsiadki. Łatwo się w nim było domyślić pytania: — Któż to jest?

Hrabia August siedział, słuchając pilnie.

— A hrabia co na to?—zapytała go księżna Teresa.

— Nie mówię nic, bo właśnie nad problematem rzuconym rozmyślam—odparł hrabia powoli. — Myślę nad tém, czy to znamię rodzime, co nas od innych odróżnia narodów, jest tak wybitne, aby je można pochwycić i określić? Myślę czy to cecha wspólna wszystkim narodom słowiańskim, czy własna nasza, i czy następstwem tego czegoś, co nas wyszczególnia, nie było, że nas wyparto z Rugii, z Pomorza, z Łużyc, ze znacznej części Czech, z połowy Europy może; wszędzie, gdzie my walczyliśmy z Germanami, oni nas złamali, wypchnęli, podkopali, wydziedziczyli.... Wstępnym bojem zwyciężaliśmy ich niejednokrotnie; lecz ile razy walka się przeciągnęła, padaliśmy. My wyciągniętej ręki nie odepchnęliśmy nigdy, we wszelkiego sojuszu wierzyliśmy świętość, a wreszcie laniej nam było zawsze w nieprzyjacielu domyślać się cnoty, niż podejrzewać go o zdradę.

— Mój hrabio—krzykliwym głosikiem prze-rwała Ahaswera—alboż to nie są cechy naiwnego dzieciństwa?



— Nazwanie jest niezupełnie ściśle — rzekł hrabia. — Tak samo moglibyśmy się nazwać aniołami. Nie jesteśmy ani jednymi, ani drugimi, jesteśmy... — Tu chwilę pomilezał. — Któż wie? jesteśmy może ludźmi przyszłości — dodał. — Tak! gdy siła pięści, która dziś króluje światu, zostanie ostatecznie siłą ducha złamaną, gdy zwyciężą walka o byt, tocząca się lat tysiące, tryumfem ducha będzie rozstrzygnięta — naówczas my też zwycięsko wystąpimy na scenę świata, jako naród posłany dla stworzenia społeczeństwa nowego, wedle słowa Chrystusowego.

Hrabia Filip, któremu oczy coraz bardziej lśniły się, błyskały, żarzyły, ledwie już mogąc się powstrzymać, wybuchnął:

— Jeżeli z nas naówczas choć jeden pozostanie! Siła pięści nie jest przemijającą, jest wiekuistą, a że my negujemy jej prawa, więc wyduśi nas do ostatniego. Reprezentanci tej siły, maskujący się jako cywilizatorowie, w imię tej bogini cywilizacji wygniotą aniołów czy dzieci, którym wyrzucają zacołanie i barbarzyństwo.

— Gdyby przy stole herbacianym można formalną rozpocząć dysputę — odezwał się hrabia August — zacząłbym ją od zaprzeczenia temu, coś powiedział, że siła pięści jest wiekuista. Jest odwieczna, ale nie będzie nieśmiertelną. Cała historia ludzkości świadczy, że znaczenie siły tej nie rośnie, lecz się zmniejsza. Czuje to siła pięści i rozpaczliwie się broni; ale porównajcie

czém ona była w piérwszych epokach bytu ludzkiego, a czém jest dzisiaj. Człowiek rozpoczął zawód swój ludzki, potrzebując zwalczać potęgi fizyczne otaczającój go natury pierwotnej. Naówczas pięść była jego zbawieniem; dziś coraz bardziej potrzebuje ona głowy, a wkońcu stanie się jój sługą. Z téj epoki walk fizycznych pozostały nam w obyczajach, w pojęciach, w teoriach społecznych i państwowych mnogie skrupy i skorie, ale wszystko to powoli opadnie i zostanie zgruchotane.

Hrabia August mówił powolnie, nie deklamując, nie patrząc na słuchaczów, bawiąc się odniechcenia deserowym nożem, który trzymał w ręku.

Zakończył ciszej. Głos mu zamarł.

Poeta zdawał się nietylę go słuchać, ile zażdrościć mu uczynionego wrażenia, gdyż oczy wszystkich w mówcę były wlepione i nikt nie zdawał się mu śmieć zaprzeczyć.

— Co do mnie—rzekł hr. Filip—ja jestem tak nieszczęśliwy, że zapewne skutkiem niedołęztwa mego i ślepoty, nie widzę w dziejach ludzkich tego postępu, o którym mowa. Historia jest dosyć ładną plecionką, w której naprzemiany występują ciągle też same kolory: czarny, biały, siny, czerwony. Gdy jeden się wyczerpie, drugi powraca. Rzeczywistego postępu dopatrzyć mi się niepodobna. Mieniają się prądy, ale się nie różnią. Stare haśni po ostatnim akcie rozpoczynają się nanowo z tą samą muzyką. Asystuje-

my może setnej którejś reprezentacyi jednego wiekuistego dramatu. Ludzkość idzie do muru, uderza weń głową i, odskoczywszy, pędzi w drugą stronę, aby o przeciwną ścianę nabić sobie nowego guza.

Ahaswera uderzyła w małe, ale brzydkie rączki, z krótkimi nabrzękłemi palcami, i z kolei zdawała się radować nowemu zdaniu, jak się cieszyła z pierwszego.

— Ah! que c'est cela! Co za prawda!—zawołała.

— Może być—przerwał Wiktor, dotąd milczący—że się to tak wydaje komuś zdaleka patrzącemu na historią, widzącemu tylko płaszczyznę i cień; ale w głębinie dziejów jest więcej coś nad mechaniczny ruch wahadłowy. Ta formuła pochodni, jako formuła, niezupełnie jest fałszywą, ale ona nie nie tłumaczy. Jest to prawda namacana pociemku. Zamiast dwóch ścian, o których hrabia mówisz, trzeba by sobie wystawić wieżę wybiegłą wysoko, a w niej biednego ptaka, który, lecąc kugórze, bije się wprawdzie o ściany, lecz ciągle ku światłu podnosi!

Hrabia Filip, ironicznie uśmiechając się, ruszył ramionami.

— To coś straszliwie skomplikowanego!—dodał z pewnym lekceważeniem.—Prawo pochodni, jeżeli istnieje, musi być daleko prostsze.

Poeta, słuchając, marszczył się coraz bardziej. Zbiérało mu się na improwizacyą. Nareszcie

wybuchnął. Przybrał postawę natchnionego, podniósł głowę, włosy na tył jęj odrzucił, zadrgały mu ręce, oczy zabłysły.

— Ateizm postępu.... zbrodnia! — zawołał. — Więc człowiek byłby wibryonem, kręcącym się w brudnej wieków cieczy bez celu? a ludzkość jakąś rdzą, porosłą na stariej ziemskiej skorupie? Puść wzrok swój w głąb minionych wieków, których kości masz pod stopami. Czy od kamiennej siekiery do sprężyny twojego zegarka nie widzisz postępu? Toś ślepy... zasłaniasz oczy! Od Kafrów i Indyan do Anglika niema różnicy i wzrostu? Od prawa żelaza do Wielkiej karty niema zdobyczy? Idziemy, choćby cotysiąc lat pół kroku, a pochodu minuty liczą się pokoleniami. Idziemy, a kto nie czuje tego, ten duszy nie ma i jest ludzkości odpadkiem!

Hrabia Filip usta wydał i zarumienił się.

— Dziękuję! — rzekł, kłaniając się.

Ahaswera i inni uśmiechali się znowu.

— Przepraszam! — przebaknął poeta. — Bronię najdroższego skarbu, wiary w to, że człowiek zdał się na coś i coś znaczy.

Urażony hr. Filip rozparł się w krzesło, ręce powkładał w kieszenie i milczeniem swém znać dawał, że dalszego sporu prowadzić nie myśli.

Poeta był własném wystąpieniem poruszony mocno.

— Mnie się zdaje — szepnęła księżna Teresa, chcąc wystąpić pojednawczo — żeśmy bardzo od-

biegli od pierwszego założenia. Księżna przyniosła nam wcale inne zagadnienie do rozwiązania.

— Moglibyśmy—odezwał się hrabia August—wpaść z niego łatwo na niemniej drażliwą kwestyą narodowości. Miłość własna czyni ją niebezpieczną.

— Dajmy lepiej pokój téj kwestyi—odezwał się Wiktor.—Mówią powszechnie, iż wiek nasz cechuje się uznaniem równouprawnienia narodowości, zrozumieniem ich posłannictwa. Tymczasem i fakta, i głosy z trybuny parlamentu nad Sprawą i cała literatura niemiecka, nie mówiąc już o innych, świadczą iż niektóre uprzywilejowane narodowości, sobie samym przyznając misyą społeczną i cywilizacyjną, resztę mają za barbarzyńców, skazanych na wyćpienie.

— Mógłbym ja, na poparcie mojej teoryi repetycyi jednego dramatu ad infinitum—dodał kwaśno Filip—przypomnieć, że zupełnie tak samo Rzym, w imię cywilizacyi, chciał występować sam jeden. Nic się nie zmieniło, tylko Celsius rzymski zowie się dziś nie wiem jakim tam National-liberałem niemieckim.

— Jest wielka różnica—odparł Wiktor—bo dziś przeciwko takiemu Celsiusowi germańskiemu nie jeden Origenes wystąpi, ale głów tysiące.

— Które zagłuszą działa Kruppa.

— A potem?—zapytał Wiktor.

Wśród wszczynającego się nanowo sporu, który mógł się nazbyt długo dla milczących pań przeciągnąć, zmęczona już nim Ahaswera uderzyła nożem w filiżankę.

— Grace! grace! panowie — zawołała. — Prawda że ja jestem najwinniejszą, bom przyniosła niezgody nasienie. Lecz... basta! Przynoszę też z sobą cały worek wysmienitych plotek. Miałam listy z różnych stron świata.

— Wolnoż spytać—wtrącił Filip — w którą z tych stron księżna się wybiéra? bo nie wątpię iż wybiierać się musi.

— Hrabia mnie chcesz wypędzić? Bardzom ci się naprzykrzyła?—wesoło spytała Ahaswera.

— A! uchowaj Boże! Księżna życie nam przynosisz—zawołał Filip. — Jesteś tym proszkiem musującym, który wsypany do naszej wody....

Wszyscy, nie wyjmując i téj do której dziwny ten komplement się stosował, mocno się śmiać zaczęli, a hr. Filip dodał:

— Wiem że księżna długo w jednej atmosferze wytrwać nie może; chcę przeto wiedzieć w którą stronę mam posyłać westchnienia.

Nie urażając się, Ahaswera pogroziła mu tylko, pokręciła główką i wesoło odrzekła:

— Szczęście to twoje, hrabio, żeś tego nie powiedział przed.... kilka laty. Dziś trochę mi trudno byłoby cię zbałamucić, nie mam już ochoty ani energii. Inaczéj odpokutowałbyś u mych

kolan, prosząc o przebaczenie! Gonilibyś za mną, gdziebym chciała.

— Nie przeczę. Jeszcze dziś groźba przejmuje mnie strachem—odparł Filip. — Jestem najmocniej przekonany o wszechmocności córek Ewy.

— Otóż, bez żartów—ciągnęła księżna dalej—wistocie myślę o ucieczce z Rzymu, bo skwar jest nie do zniesienia i powietrze nie do oddychania. Przybyłam tu dla jakiegoś interesu mojego pana męża. Nie mogę się doczekać ani męża, ani interesu, więc posiedzę jeszcze trochę, a potem ruszę w świat.

— Dokądże? jeśli wolno—spytała gospodyni.

— A! nie wiem, nie wiem! Ostenda mnie już nudzi: elegancya bez oryginalności. Ludzie nadzwyczaj pospolici i zawsze ciż sami. Mam ochotę zobaczyć Biarritz. Może ztamtąd zrobię małą wycieczkę do Hiszpanii. Nie znam Grenady, nie widziałam Alhambry. Nie wiem... a państwo co robicie?

Księżna Teresa poruszyła ramionami.

— Mamy w tej chwili tak miłe towarzystwo w Rzymie—rzekła—że się nie chce go opuszczać.

— Czy ta odpowiedź jest wyrazem zbiorowego, zgodnego przekonania?—spytała ruchawo Ahaswera, spoglądając dokoła po obecnych.

Wszyscy zdawali się to potwierdzać, bo milczeli. Po chwilce tylko, lekko zarumieniwszy się, pani Liza niespodzianie odezwała się, iż lęka się, aby nie była zmuszoną zbliżyć się do kraju.



Musiałoby to być dla wszystkich niemiłą nowiną, bo wyraz twarzy świadczył o zdziwieniu i czoła się zachmurzyły.

— A ja mam nadzieję—rzekła księżna Teresa—że cię uprosimy i przytrzymamy.

Milczący pan Ferdynand, który słuchał rozmowy z roztargnieniem, nie mieszając się do niej, narówni z innymi zdawał się zdziwiony tém, z czém się siostra jego odezwała. Spojrzał na nią.

Sama pani Liza myśli téj, z którą się tak nagle oświadczyła, nie miała wcale. Złożyło się na nią pobudek wiele: trochę niepokój, jaki wzbudzały w pięknej wdowie napastliwe i przykre zaloty hrabiego Filipa, nudne wejrzenia strzeliste Emila Maryi, naostatek może i jawna, choć milcząca, rozpaczliwa jakaś, odwieczna miłość hr. Augusta, za którą tylko szacunkiem odpłacić mogła.

Nieszczęśliwa kobieta miała taki wstręt do małżeństwa, taką potrzebę swobody i spokoju, po straszném, męczeńskiém z mężem pożyciu—serce jój było jeszcze tak zbolale, że sama możliwość jakiegokolwiek związku przerażała ją.

Miała największy szacunek, gorącą przyjaźń braterską, największe zaufanie w hr. Augustcie; ale nie była to miłość. Chciała mu oszczędzić próżnych marzeń i złudzeń.

Naostatek... w głębi jój serca znękanego, tam gdzie własne jój oko z obawą spoglądało, rodzi-

ło się z pierwszego przestachu i trwogi, jakich doznawała na widok Wiktora — jakieś uczucie dziwne, gwałtowne, budzące większą jeszcze obawę. Wiktor ten, którego się tak ulęknęła przy pierwszym spotkaniu, nie schodził jęj z myśli. Oczy jęj i dziś mimowolnie zwracały się na niego. Czuła, że jakąś siłą fascynacyjną ciągnął ją ku sobie. Wolala uciec, niż poddać się i uznać zwyciężoną.

Przeszłe życie nauczyło ją wiele. Czytała w sobie budzącą się jakąś namiętność niezrozumiałą, której uledez nie mogła, nie chciała.

Człowiek mógł być niegodzien jęj serca; zresztą miała dotąd niewzruszone postanowienie złamanego życia nie rozpoczynać nanowo. Oświadczyła to głośno.... miałażby sama kłamać sobie?

Przerażało ją to, że tego wieczora, ile razy mimo swęj woli, ukradkiem zwracała oczy na Wiktora, spotykała ciągle zatopione w sobie jego wejrzenie, dreszczem ją przejmujące. Uczucie swe porównywała w duchu do wrażenia, jakiego nerwowi ludzie doświadcniają na wyżynach. Zawraca się im głowa — chcą paść.... a byssus vocat! Temu ciągnięciu do przepaści, które ją niepokoiło, zdawało się jęj że oprzeć się miała siłę.

Szybkość, z jaką w przeciągu niewielu dni, a szczególnie od ostatnich dwudziestu czterech godzin, rozwijało się w nięj to uczucie, w którego

możliwość niedawno jeszczeby była nie wierzyła —powiększyła trwogę. Uciekać, uciekać! mówiła w duchu.—Jeszcze dni kilka, a kto wie czy będę panią siebie!

Posuwając tę obawę do najwyższego stopnia, pani Liza zaczęła się wkrótce uskarżać na ból głowy i, parę razy spotkawszy się jeszcze z tym wzrokiem, który miał nad nią taką siłę, pożegnała księżnę, szybko wysuwając się z pałacu. Brat podał jej rękę i przeprowadzał na Via Sistina.

Zaledwie wyszli na ulicę, Ferdynando pośpieszył z zapytaniem, które mu paliło usta.

— Moja droga Lizo! Cóż to się stało? Nie wspomniałaś mi dotąd wcale o zamiarze opuszczenia Rzymu.

— A!—słabym głosem odparła siostra—bom wcale zamiaru tego nie miała. Lecz, koniec końcem, coraz się czuję słabszą, powietrze mi tu nie służy. Duszno mi, słabo, słabo... głowa cięży! Nie jest-to pora do pobytu w wieczném mieście. Muszę gdzieś wyjechać... odetchnąć.

— I to postanowienie zrobiłaś teraz dopiero?— spytał brat, który niebardzo chciał Rzym opuścić, a miał do tego powody, z których spowiadać się nie mógł.

Wdowa szła szybkim krokiem, oparta na rękę brata, nie odpowiadając na jego pytanie.

Po chwili Ferdynand powtórzył:

— Więc to już niezmiennie?

— Proszę cię, nie badaj mnie dziś tak natarczywie—odpowiedziała.—Jestem zmęczona, znużona; nie wiem sama, co mi jest. Ahaswera ma talent niecierpliwienia mnie.

— Ale ona wkrótce wyjeżdża, jak mówiła sama—dodał brat.

— Ona... Ona nigdy nie wie czego chce i co jutro pocznie — niecierpliwie rzekła Liza.—Jutro przyjdzie jój fantazyja nowa. Zrobi jaką znajomość, do której przyznać się będzie trudno, wpłaczę się w jakąś intrygę..

— Za jedną tę nieznośną księżnę płaci druga—odparł Ferdynand.—Milszój nad nią znaleźć trudno, lepszego serca, sympatyczniejszego charakteru...

— Szkoda że nie młodsza — uśmiechnęła się siostra—gotówbyś się w nią zakochać.

— Nawet tak jak dziś jest zakochałbym się w niej łatwo—odrzekł brat żywo.—Ale wiem że się to na nic nie zdało: wyśmiałyby mnie.

— Trzpiot z ciebie! — przebaknęła Liza i dodała żywo:—Ale proszę cię, nie miałam czasu cię wypytać o to, kto jest ten twój oryginalny pan Wiktor, który u nas wystąpił jak bandyta, a dziś się nam przedstawił w tak zmienionj postaci. Co to za nowa zagadka?

— Ja go mało co więcej znam od ciebie—począł Ferdynand lekceważąco.—At, dziwak jakiś; o sobie nie powiada nic, oprócz że jest zwicnię-

ty. Z całą swoją ekscentrycznością, trochę śmiesz-  
ną, gdy chce, człowiek to bardzo miły.

— A! a!—szepnęła Liza, jakby wyzywając do  
dalszych zwierzeń.

— Odbyliśmy z sobą parę przechadzek — mó-  
wił brat. — Zna doskonale wszystkie Rzymu za-  
kątki. Mówi po włosku, jakby się tu urodził; na-  
uki ma wiele, a nie pedant, dowcipu dużo...

— Ale któż to jest przecie?—wrzuciła siostra.

— Tego ci nie umiem powiedzieć—odezwał  
się Ferdynand.—Wyciągnąć z niego nie niepo-  
dobna. Cóż musi być w jego przeszłości do tego  
milczenia zmuszającego. Ze wszystkiego jednak  
wnosić można, iż nie jest takim demagogiem, na  
jakiego wygląda. Więcej lat musiał spędzić w sa-  
lonach, niż na ulicy.

Szli zwolna. Zadumana pani Liza pytań już  
więcej nie zadawała, a powróciwszy do domu,  
natychmiast, skarżąc się jeszcze na ból głowy,  
pobiegła zamknąć się w swoim pokoju. Pan Fer-  
dynand, spojrzawszy na zegarek, wymknął się  
pocichu na wieczorną przechadzkę.

Z osób pozostałych w salonie księżny Teresy,  
po wyjściu pani Lizy, pierwszy wysunął się z an-  
gielska bez pożegnania hrabia Filip. Nie mógł  
jeszcze strawić tego, że poeta, którego nie cier-  
piał, zaliczył go do odpadków ludzkości... jego,  
który sam się liczył do reprezentantów jój wyboru!

Jedynym urokiem, jakie towarzystwo to miało  
dla niego, była pani Liza; nie miał więc już tu

co robić po jój wyjściu, a choć chętnie dworował hrabiemu Augustowi, aby okazać w oczach ludzi, iż znakomity ten mąż jest z nim w poufalejch stosunkach, na ten raz, skwaszony, jego nawet porzucił.

Obrachował téż, że choćby najznakomitszego posagu być zawsze tylko cieniem, nie podnosi wielce człowieka.

Dał dowód samoistności, wychodząc bez zaczekania na towarzysza.

Księżna rozpoczęła żywą rozmowę z panem Wiktorem, a że potrafiła o stosunki kraju, swą rodzinę i znajomych, zdziwiła się mocno, postrzegłszy z kilku słów słuchacza, że człowiek ten, nieznany tu nikomu, zdawał się doskonale świadomym tego, co się jój rodziny i kółka w jakim się obracała tyczyło. Zdradził się z tą świadomością poniewolnie rzuconemi nazwiskami, których cofnąć było niepodobna.

Do nich dwojga przyłączył się wprędce, zapytaniem jakimś wciągnięty, hrabia August, a poetę rzucono na pastwę Ahaswerze. Byli z sobą oddawna dobrze znajomi, nigdy jednak na płochym ale wrażliwym umyśle księżny nie uczynił Emil takiego wrażenia, jak dnia tego.

Była tak jakoś usposobioną, znudzoną, spragnioną nowości, iż biedny geniusz znalazł w niej pełną zapалу czcicielkę. Zdawna już życzyła sobie być unieśmiertelnioną; zdało się jój, że lepszemu temu sposobności znaleźć nie może.

Przysunęła się do niego ciekawie.

Poeta, gdy mu brakło audytoryum i wielbicieli, gotów był najskromniejszą karmić się sympatyą. Lekceważony przez panią Lizę, rad był choć księżną mieć z sobą i za sobą, bo niewieściego współczucia potrzebował. Na skinienie więc przylgnął do Ahaswery.

Mieć geniusz we władaniu swém zdało się księżnie wielce zabawném, choćby dla spróbowania czy był twardousty. W Rzymie dosyć robiło się nudno; żadnej intrygi ani zawiązać, ani się w nią wplątać nie było podobna. Rozpatrywała się więc w poecie. Nie był zachwycającym, ale miał w sobie coś niepospolitego, umiał nosić się z sobą. Na pokaz, jako cavaliere servente z aureolą, mógł się przydać na czas jakiś. Ahaswera, zawsze się niedługo namyślająca, żywa do zbytku, posłuszna wrażeniom, zbliżyła się więc poufale do niego, zawiązując półgłosem rozmowę, której wyraz serdeczności nadać umiała.

— Stęskniłam się za wami, kochany poeto — rzekła — bo wieki już jakim was nie widziałam. Tysiąca rzeczy ciekawą jestem bardzo, bardzo! Co się dzieje z temi pięknymi jego zarysami poematów, obrazów, kreacyj wszelkiego rodzaju, które się domagały wcielenia? Co tworzysz? coś utworzył?

Emilowi zabłyśły oczy. Przybrał postawę zadumaną, opierając się na rękę, niby Zygmunt



w portrecie Ary Sheffera — bo rad był go naśladować... niestety!

— Ja!—zawołał z ciężkiem westchnieniem—ja skazany jestem na przejście po téj ziemi, nie zostawując trwałego śladu po sobie. Wina to mojego niedołęztwa, czy natury ducha tego, który żyje we mnie? ja nie wiem. Woli mojej nie umiem nagiąć do wymagań małych, pospolitych ludzi, a przez łaskę tłumu, którym pogardzam, dobijając się rozgłosu, sławy i uznania! Głoszą mnie dziwakiem. Jestem zrażony. Dla nędznej sławy pochlebcą płaskim być nie chcę... Nie pochlebiałbym monarchom, nie mogę gminowi. Usta się moje nie zmażą fałszem.

Księżna słuchała z rzeczywistém czy z udaném współczuciem, lecz okazywała zajęcie wielkie. Ciągnął więc dalej:

— Penzle połamałem i rzuciłem. Niech malują iluminatorowie cudzych, wyblakłych myśli. Wyrzekam się malarstwa, bo sztuka przeszła w rzemiosło. Skupiam wszechsiłę moję w poezyę, w słowo...

— Pisziesz pan poemat? O, mój Boże!—prze-rwała pani. — Co to za szkoda, że tego naszego języka nikt nie zna, że naszych wieszczów taka mała garstka słucha! Gdybyś pan pisał po francuzku, po włosku—po angielsku...

Emil Marya dziwnie wykrzywił usta i czoło sfałdował.

— Powinni tłumaczyć — zawołał dumnie. — Zniżyć się do trawestowania swych myśli nie godzi. Wprawdzie u nas dziś słuchaczów niema; jednym brzmi jak ostatnie poezyi słowo pieśń Adama, drugim migoczą brylanty Juliusza, innym proroczy głos Zygmunta wszystko zagłusza; a choćbym ja ich trzech zlał na bronz korynecki mojego posagu — dziś pozostałbym niezrozumianym, bo im serce drga do innych, przebrzmiałych dźwięków.

Księżna oka z niego nie spuszczała. Emil Marya czuł się tém odżywiony i coraz śmielszy. Ręką odrzucał włosy, czoło podniósł ku górze i wywracał oczy.

— Bardzobym była ciekawą — odezwiała się księżna — tego wielkiego dzieła, nad którym pan pracujesz dla potomności. Jestem pewna, że to będzie wielkie i piękne, nieśmiertelne dzieło. Nigdzie większego pan współczucia, szczerzego uwielbienia nie znajdziesz, jak u mnie.. Chcę korzystać z tych dni, które jeszcze w Rzymie przepędzę. A więc proszę bardzo mój dom za swój uważać.

To mówiąc, znacząco ścisnęła go za rękę. Była to zawsze rączka niewiescia, choć niemłódj, ale wielkiej pani. Poeta uczuł, że mu dawno dymisjonowane serce w piersiach zadrgało.

— Wiész co, kochany poeto — dodała żwawo, wstając i poprawując sukienkę — na początek ściślejszego między nami stosunku, dziś idziemy razem. Odprowadzisz mnie do domu. Mam po-

wóz, ale pójdziemy pieszo. Rzym nocą może cię natchnie i ja coś pięknego posłyszę.

Pan Emil wstał z twarzą rozjaśnioną, okazując nie tylko gotowość towarzyszenia, ale wielką skwapliwość. Księżna podeszła żywo ku gospodyni.

— Zabiéram księżnie naszego poetę, któremu sobie uprosiła za towarzysza, aby mi droga do domu przez puste ulice nie tak się smutną wydała. Poczciwy, dobry wieszcz nasz ofiaruje się chwilkę ponudzić ze mną.

— Proszę go tylko nie bałamucić! — żartobliwie odezwała się gospodyni.

— A! — odparła Ahaswera — gorzej być może. Lękam się, aby on mnie nie zbałamucił. Jestem wielką jego admiratorką.

Emil tak dobrze rozumiał swe obowiązki, iż tymczasem poszedł z rzadką, prawie niepraktykowaną u wieszczów pokorą, przynieść księżnie szal jej, chustkę i kapelusz.

Ahaswerę wprawiło to w humor jaknajlepszy.

— Któż wie? — myślała w duchu. — Człowiek ten, wistocie niepospolity, może się dorobić nieśmiertelności, a wszystkie przyjaciółki nieśmiertelnych idą za nimi do świątyni sławy. W ten sposób i ja bym się dostała tam. To coś warto!

Wszyscy goście pozostali, uważając pożegnanie Ahaswery za znak do odejścia, ruszyli się i Wiktor także. Księżna, która nie zatrzymywała nikogo, w chwili gdy się miał zegnać, rzekła do artysty półgłosem:

— Proszę pana, zostań jeszcze minutkę; mam mu zadać jedno niedyskretne, śmieszne może pytanie, które kobiécęj ciekawości zechcesz przebaczyć.

Hrabia August wyszedł natychmiast za Ahaswera, którą poeta, pochylony ku niéj, prowadził pod rękę z niemalym kłopotem, bo mu się, kręcąc ciągle i poruszając, wyrywała cochwila.

Wiktor, z kapeluszem w rękę, stał, oczekując.

Do stroju jego, na ten wieczór umyślnie dobytego, należał szczegół jeden, który oczy księżny Teresy ciągle ściągał na siebie. Miał czarną chustkę niedbale zawiązaną na szyi, Wiktor miał wpiętą szpilkę, z dosyć dużą, bardzo piękną kameą.

Wyobrażała ona temat dosyć zużyty w rzeźbach starożytnych: boginię zwycięstwa, wieńczącą popiersie stojące na monumentalnej podstawie. Przedmiot był pospolity; lecz niepospolite jego wykonanie mogło być tylko dziełem wielkiego artysty, jednego z tych greckich incisorów, rzeźbiarzy małych figurynek, w których czuć, że mistrze ci mogliby byli, gdyby chcieli, równie doskonale kować kolosy. Figura Wiktoryi, pomimo lekkiej draperyi, wychodziła z pod niéj tak przedziwnie pięknemi kształty, iż żadna Wenus otluczona z marmuru zrównałaby jéj nie mogła. Nie było szczegółu na téj prześlicznej miniaturce kamiennéj, któryby był zaniedbany.

Księżna nieśmiało, rumieniając się, drżąc niemal, wskazała na szpilkę i przemówiła głosem łagodnym, jakby o przebaczenie proszącym:

— Daruj pan! Jak, zkad dostała się panu ta kamea?

Wiktor drgnął cały, niby teraz dopiero przypominając sobie, że ta szpilka zdradzić go mogła. Machinalnie dotknął jej ręką i wnet odzyskawszy panowanie nad sobą, odrzekł głosem prawie spokojnym:

— Ta kamea, to pamiątka jedyna dni szczęśliwych. Księżna daruje mi, że pochodzenia jej, jak wogóle wszystkiego co się mojej przeszłości tyczy, wyjaśnić nie mogę. Są to rzeczy bolesne, rany ledwie przywrzałe. Nie mam w tych dniach ubiegłych nic, czego bym wstydzić się potrzebował, lecz o wszystkiém rad bym zapomnieć.

— Panie, błagam cię, pokaż mi bliżej tę szpilkę — przerwała księżna jakkolwiek to prośba śmieszna może, dziecinna i do zbytku natrętna!

Artysta szybko odpiął kameę i położył przed księżną, która pochwyciła ją żywo, zbliżyła do lampy i przypatrywać się zaczęła pilnie. Odwróciła ją na drugą stronę i lekki wykrzyk wyrwał się z ust jej mimowolnie.

Siadła zadumana.

— Rzecz zadziwiająca — rzekła po namyśle. — Podobne rzeźby na kameach powtarzają się często, chociaż tło i barwy rzadko bywają jedne. Tu wszystko mi znane dawno przypomina aż do

najmniejszych drobnostek. Oprawa jest jakby  
taż sama...

Wiktor, któremu gospodyni oddała kameę, po-  
woli schował ją do kieszeni.

— Zupełnie podobną kameę — mówiła dalej  
księżna—widywałam w moich młodszych latach  
i pamiętam jak mnie uderzała pięknnością swoją.  
Należała do jednéj z osób rodziny meża mojego.

— Niéma w tém nic niepodobnego—przerwał  
Wiktor—by dwie zupełnie jednakowe na tym sa-  
mym kamieniu wykonał artysta i żeby je złotnik  
potém w ten sam sposób obie oprawił. Dla mnie  
kamea ta jest bardzo drogą pamiątką.

To mówiąc, westchnął.

— Gdyby nie była prawie jedyną — dodał—  
rozstałbym się z nią, chętnie z niéj czyniąc ofiarę...

Księżna zakrzyknęła, protestując.

— Pan mnie nie zrozumiałeś — zawołała. —  
Nie mam najmniejszój chęci, nie miałam myśli  
starać się o posiadanie téj ślicznój rzeczy. Szło mi  
o to tylko, jaką drogą mógł ten klejnocik, do  
którego przywiązywano wysoką cenę, uważając  
go jakby za amulet, zachowując z zabobonną  
troskliwością, przejść w ręce obce...

Artysta, słuchając z głową spuszczoną, smutny,  
zafrasowany, myślą zdawał się być gdzieindziej.

— Losów kamei wytłumaczyć nie umiem —  
rzekł stłumionym głosem. — Do mnie dostała  
się ona także z rąk drugich, jako amulet i pa-  
miątka.

— Rzecz niepojęta! — szepnęła księżna, ręce składając. — Przebac mi pan, przepraszam go! Nie byłam panią siebie. Prawda że mi pan nie-dorzecznój ciekawości mojej za złe nie weźmiesz?

I podała rękę stojącemu w zadumie Wiktorowi, który zwolna zbliżył do niej usta, pocałował ją z uszanowaniem, skłonił się i wyszedł.

Księżna została w miejscu zmieszana, nierada z siebie, zasmucona. Zdawała się wyrzucać sobie niepotrzebną tę ciekawość. Rysy jej, zwykle wypogodzone, powlokły się wyrazem wewnętrznej jakiegś bólesci.

Rzuciła się na fotel i zadumała, tak że wchodząca wierna jej Kunusia, trochę przelekła, musiała ją z tego stanu niezwykłego wywołać pochwyleniem za rękę i wykrzykiem:

— Co pani jest?

Księżna, uśmiechając się, podniosła ku niej oczy i szepnęła cicho:

— Nic, nic, Kunusiu kochana. Ot tak... trochę jestem zmęczona.

Przyjaciółka, powiernica, sługa, kuzynka, Kunusia była nieco starszą od księżny, a, jak to się zwykle składa, gdy dwie osoby długo z sobą żyją razem — przybrała w obcowaniu z nią coś z jej rachów i wyrazu twarzy. Niepiękna, miała oblicze spokojne i uśmiechnięte, oczy rozumne... Dosyć słusznego wzrostu, silna, zdrowa, ubrana starannie, ale bez żadnej pretensyi, skromna i naturalna, była sympatyczną bardzo i widząc ją,



łatwo się to tłumaczyło, że księżna kochała ją jak siostrę, a żyć bez niej nie mogła.

Po namyśle, księżna odezwała się do stojącej i oczekującej jaśniejszego tłumaczenia Kunusi:

— Co to mnie dziś spotkało, Kunusiu kochana! Rumienię się za dzieciństwo moje. Pamiętasz pewnie tę szpilkę z kameą, którą nosił zawsze stary ojciec męża mojego? Wystaw sobie, spostrzegam ją dziś u zupełnie nieznanego człowieka. Nie mogłam wytrzymać: spytałam, prosiłam o jej pokazanie. Przysięgłabym że też sama! Lecz jakże się ona do niego dostała? Stary miał ją za talizman szczęścia...

Kunusia słuchała z uwagą wielką, myślała długo i z wyrazu jej twarzy dorozumiewać się było można, iż ona może tłumaczyła sobie przejście tego kamienia w obce ręce, ale zamilczeć o tém musiała.

— Proszę księżny, ale któż to taki, co ma teraz tę szpilkę? Jak się zowie? — spytała.

— A! ten nieznanomy, artysta czy nie wiem kto, o którym ci mówiłam. Po!ak i zdaje mi się z naszych stron, bo zna osób wiele...

Panna Kunegunda, wysłuchawszy odpowiedzi, jakiś czas stała milcząca; potem, chcąc zatrzeć wrażenie przypomnień niewesołe, odezwała się do księżny:

— A! mało to podobnych szpilek na świecie być może? Zresztą mógł ją sobie kto przywła-

szczyć i sprzedać. Niéma nad czém medytować...  
Księżnieby spocząć należało.

Posłuszna pani podniosła się z krzesła powoli  
i razem poszły do sypialni, zadumane obie.

---

Na Babuinie, jak mówił, pan Wiktor miał  
mieszkanie na trzecim piętrze. Niegdyś przez  
długie lata zajmował je znakomity niemiecki arty-  
sta, który raz sercem przyrósłszy do Rzymu, nie  
mogąc się już rozstać z wieczném miastem, osie-  
dlił się tu i zaprzyjaźniwszy z właścicielem domu,  
rodzaj pracowni sobie, kosztem własnym, obok  
mieszkania wyposażył.

Po śmierci jego dość długo studia niebardzo  
wygodne i połączone z niém nierozdzielnie izdeb-  
ki pozostały bez lokatora. Affitarsi próżno  
napisane było na bramie.

Ażeby się do tego mieszkania dostać, potrzeba  
było przechodzić podwórko dość zabrukane, dra-  
pać się po bocznych schodach niewygodnych,  
a choć pracownia miała piękne zgóry światło pół-  
nocne, żadnym refleksem niepopsute, z izdebek  
zato okna wychodziły na brudny i ciasny zaułek,  
tak że przez nie wyjrzyć trudno było bez wstępu.

Trafem jakimś Wiktor dowiedział się o tém  
studio malarskiém do najęcia, a dziwactwem ja-  
kiémś znalazł je dla siebie nietylko dogodném, ale  
jakknajmilszém. O widok z mieszkania nie cho-  
dziło mu wcale, bo do niego najczęściej tylko na

noc, i to niezawsze, przychodził. We dnie, jeżeli mu fantazyja przyszła pracować, siedział w swém studio, do którego nigdy nie wpuszczał nikogo.

Mało kto téż go tu odwiedzał. Nie zapraszał do siebie, a nowe znajomości niechętnie robił. Lubił być z samym sobą.

Czasem godzinę jaką spędzał w Cafe Greco wśród artystów, jadał z nimi u Leprego, zawiązywały się rozmowy często żywe bardzo; ale dziki trochę Wiktor nie narzucał się nikomu i niełacno dał spoufalać.

Z rozmów o sztuce brano go powszechnie za artystę, miał téż, jakeśmy mówili, fizyognomią artystyczną. Na zapytania jednak, czynione przez konfratrów tego cechu, jakiemu się rodzajowi malarstwa poświęca, odpowiadał ruszeniem ramion, zapierając się honoru noszenia tytułu artysty.

— Jestem pogardzenia godną istotą—mówił—niczém więcej, tylko nieszczęsnym dyletantem.

Nie wyglądał jednak wcale na tego hybryda, co, wedle wyrażenia Niemców, w tém znajduje przyjemność, iż pragnie robić czego nie umie.

Z mowy jego odgadywano głębsze daleko studia, niżeli je dyletanci miéwać zwykli. Podpatrzono w sekrecie wykradzioną mu z kieszeni książkę szkiców, a choć one wszystkie były bardzo pobieżnie rzucane, zbyt wprawną zdradzały rękę na prostego miłośnika sztuki.

Natręci ciekawi a podejrzliwi chcieli go podejść zdradą i wtargnąć do pracowni; ale ta była

zawsze hermetycznie zamknięta, a w niebytności artysty, stara gospodyni Anuncyata nie dawała się niczém skorumpować, aby wpuścić do przybytku. Trzęsła głową posiwiałą, wywijala rękami, czarnemi i powtarzała uparcie:

— No — no — no! e chiuso! chiuso!

W mieszkalnych izdebkach Wiktora, oprócz wielkiej ilości najrozmaitszych książek podartych nieposzanowanych, porozrzucanych, leżących pod kanapami, na kominach, na szafach, na stołach, a nawet na podłodze, nie yło bnie więcej, mogącego zajęcie jego lub powołanie oznaczać.

Wielkiej dbałości o porządek wcale tu widać nie było; że Anuncyacie zakazano tykać książg i papierów i z miejsca je poruszać — obchodziła je z poszanowaniem, dając się na nich i koło nich gromadzić pyłom i śmieciom.

Z mieszkania niełacno się téż było domyślać stanu kieszeni gospodarza. Płacił on bardzo regularnie, nie targował się zbytnio, ale dla siebie był oszczędnym i życie prowadził skromne, jak gdyby tym artystą wistocie był, którego się imienia wypierał.

Stara gospodyni narzekała na fantastyczność człowieka, który nigdy prawie nie powracał w pewnych i oznaczonych godzinach, absentował się, nie opowiedziawszy, tygodniami, a czasem znowu w domu siadywał zamknięty, żywiąc się najdziwaczniej niewiedzieć czém, jak anachoreta.

Równie niepojętém wydawało się starój słu-  
dze domu, iż przyjaciół i znajomych miał tak  
mało, do siebie niechętnie wpuszczał, i ludzi wca-  
le nie zdawał się pożądać.

Trzeciego dnia po wieczorze u księżny Teresy,  
poeta, którego chwilowo opanowała była na swój  
wyłączy użytek Ahaswera, w dosyć ożywionym  
humorze wychodząc od niej z hotelu, trafem się  
zetknął z Wiktorem, który z pledem przewiesz-  
onym przez plecy, z kijem, w sławnym swym ka-  
peluszu kalabryjskim, zdawał się znużony powra-  
cać z jakiegś wycieczki.

Od poznania się z nim u księżny, zaniepokoj-  
ny tém co słyszał o zagadkowym człowieku, Emil  
Marya pragnął koniecznie dotrzeć do głębi jego.

Miał jakieś przeczucie, że w nim powinien się  
był lękać rywala-malarza, a nawet może poety.  
Chciał wiedzieć z kim ma do czynienia... niepo-  
koił go.

Pomimo więc że Wiktor, dojrzawszy Emila,  
pomknął dosyć żwawo, jakby go chciał uniknąć,  
przyśpieszywszy kroku, poeta powitał go poufale  
i serdecznie, zmuszając do rozmowy.

— Nie godzi się tak uciekać od kolegów—za-  
wołał—boć kolegami jesteśmy. Próżno się tego  
zapiérać. Wprawdzie ja czasowo niewdzięcznego  
wyrzekłem się malarstwa, ale w duszy artystą  
być nie przestałem. Nie chcę tylko mieszać się  
z tym tłumem bazgraczy, co smaruje dla Angli-  
ków błazeństwa.

— Miłémby mi było i zaszczytném — odezwał się nieco ceremonialnie Wiktor — nosić nazwisko kolegi szanownego pana, ale, niestety, artystą nie jestem, poetą mnie Bóg nie stworzył, a... poetæ nascuntur.

— No! no! — wpół żartobliwie podchwycił Emil, pod bok mu się cisnąc. — Mów sobie co chcesz. Dosyć na was spojrzeć, aby poznać urodzonego z Bożej łaski artystę i męczennika, boć to u nas jedno wychodzi. A toż — dodał, wskazując na album w oprawie z szarego płótna, wystające z kieszeni — przecież corpus delicti!

— Szanowny wieszczu! — przerwał nieco szydersko Wiktor — widzisz codzień po ulicach Rzymu Anielki obarczone podobnemi albumami, a — do kaduka! jeżeli je wszystkie masz za artystki...

— Ba, ba! — nie odstając od Wiktora i ciągnąc z nim dalej uparcie — rzekł Emil. — Mów co chcesz. Siam o fratelli! to się czuje przez skórę, zgaduje; przeciwko temu nie pomoże wypieranie się i przesadzona skromność.

Wiktor rozśmiał się obojętnie, z rezygnacją.

— Dokąd idziesz? — zapytał poufale poeta.

— Powracam do domu — rzekł Wiktor; — ale w trattoryi na przedmieściu rano zjadłszy tylko kawałek zółtałego salami, popitego kwaśném winem, potrzebuję zejść gdzie, choćby na jakie pozostałe od obiadu brodo, aby z głodu nie umrzeć.

— Ja wprawdzie jadłem obiad u tej wyśmienitej Ahaswery i syt jestem, a wino było doskonałe; pozwolicie mi jednak towarzyszyć sobie, abyśmy się bliżej poznali. Czuję w was duszę bratnią.

Wiktor, z uśmieżkiem na ustach, dziękować musiał. Szli więc razem.

— Człowiek — począł zaraz Emil, nachylając się ku milczącemu Wiktorowi — człowiek, zmuszony przebyć jakiś czas w zgniłej atmosferze tego świata, co to się niby wielkim nazywa, nasłuchawszy się jego paplaniny, tego brzęku grzechotników—bo czémże są ich rozmowy?... potrzebuje się orzeźwić słowem jednego z tych ludzi, co zdrową w sobie duszę zachowali.

Poécie zdawało się czy ze stroju, czy z miny, że w Wiktorze znajdzie sympatyczne echo tego tonu demokratycznego.

— Widzę że nie lubicie panów i ich salonów—odezwał się Wiktor.

Emil Marya, w potrzebie zmieniający często przekonania, co mu przychodziło z łatwością, gdyż stałych w sobie nie miał, a wrażeniom ulegał—nie wiedząc w którą stronę może się puścić bezpiecznie, zasepił się i zadumał.

— A wy?—zapytał — a wy?

— Ja? Lubię rozmaitość! — odparł Wiktor wesolo.—Bawi mnie z kolei lud prosty, cygańska fantazyja artystów i przyzwoity, wonny szczebiot salonów. Wszędzie są ciż sami ludzie, w różnych tylko strojach, wszędzie typy ciekawe.



— Ale tak, masz słuszość! stokroć masz słuszość! złote słowa! — pochwycił z zapalem poeta, porywając za rękę towarzysza. — Jest to dowodem prawdziwej wyższości, gdy człowiek ze wszystkimi żywiołami życia umie być w zgodzie, gdy wszystkie pojmuje i rozumie. *Tout comprendre, cest tout pardonner!* Zresztą dla nas obowiązkiem jest badać człowieka we wszystkich jego objawach najrozmaitszych, aby umieć go malować jakim jest.

Gdy to mówili, Wiktor znalazł się u drzwi małej trattorii, w której jadał czasami, dla widywania pięknej Pepity. Zawrócił więc do wnętrza.

Emil zdawał się zdziwiony nieco, iż do tak lichego kąta wszedł człowiek, którego o wykwiutniejsze gusta posądzał, pociągnął jednak za nim.

Z drugiego pokoju, zobaczywszy dobrego swego przyjaciela, panna Peppita, nie wytworniej ubrana jak owego wieczora, poprawiwszy chustynkę na piersiach, wybiegła doń uśmiechnięta. Była cadnie piękną, jak zawsze, ale brudniejszą niż kiedykolwiek. Czarne jej, bujne włosy polyskiwały od jakiegś tłustości, którą dnia tego świeżo mnsiały być namaszczone; prześliczne rączki trochę zapracowane, brunatne były opaleniem i robotą koło kuchni; ale oczy ognia pełne, ząbki perłowe i te linie klasyczne, których jeszcze praca i wiek nie miały czasu wyszczerbić, czyniły ją dziwnie piękną.

Poeta wpatrzył się w nią długo, z milczącym uwielbieniem i zachwytem artysty, gdy Wiktor tymczasem wesoło z nią rozmawiał, usiłując coś znośnego utargować do jedzenia.

Fiaskon z winem, chléb i sér tarty zjawily się naprzód na grubéj, szaréj serwetce. Dzięwcze więcéj miało ochoty do rozmowy, niż do posługi.

— Teraz — odezwał się, zasiadając u stołu, Emil — rozumiem dlaczego wybraliście sobie tę tratoryjkę. Najgorszy obiad może smakować, przyprawny takiemi oczami.

— A! a! — odparł Wiktor, chléb łamiąc. — Wierzcie mi, że te śliczne oczy w inny sposób mnie nie ciągną, tylko jako model, jak obrazek! Wiek w którym pierwsza lepsza twarzyczka, namaszczo-na młodością, obudza szale i namiętności, dla mnie już przeszedł.

Kończył te słowa, gdy w progu, szybkim nadbiegający krokiem, ukazał się pan Ferdynand. Obejrzał się, zobaczył siedzących, skrzywił się i prawie chciał cofnąć; ale go już widziano, uciec nie wypadało.

Wiktor, poznawszy go, rozśmiał się z politowaniem.

Milczący w większym towarzystwie, szczególniej przy kobietach, Fernando w męzkim kółku poufałym mówił chętnie i był wesołym kolegą.

— A! panowie tu? — zapytał zmieszany nieco, jakby nie wiedział co powiedzieć.

— Że my tu jesteśmy — odezwał się Wiktor szydersko — to się łatwo tłumaczyć daje, bo ja się najczęściej truję u pięknej Pepity. Ale pan co tu robisz?

Zarumienił się trochę młodzieniec, lecz natychmiast śmiałość zwykłą odzyskał.

— A gdybym ja, choć wcale nie artysta, chciał także studyować poswojemu piękne rysy panny Pepity?

— Tobys pan sobie zgóry powinien powiedzieć, że go to studyum tylko do desperacyi doprowadzić może — rzekł Wiktor. — Z ubogiemi dziewczętami tego rodzaju gra bardzo niebezpieczna. Rodzice mają je na oku, one same też wymagają nie zalotów i prezentów, ale miłości w całym znaczeniu tego wyrazu, i to na wieki wieków.

Pan Ferdynand, słuchając jedném uchem, oczywiście biegł po kątach, czy gdzie Pepity nie zobaczy.

— Ale dlaczegóż mi pan zbójeckie jakieś zamiary przypisujesz względem Pepity? — zapytał.

— Ja tylko ostrzegam z dobrego serca — odparł artysta.

Pepita wchodziła właśnie, niosąc jakąś smażeninę, i zobaczywszy pana Ferdynanda, zarumieniła się, namarszczyła, przybrała minę dumną i zagniewaną. Można było z tego posądzać młodzieńca, że już uczynił krok jakiś fałszywy, którym piękne dziewczę obraził.

Unikając jego wzroku, Pepita postawiła na stole przyniesioną potrawę, przemówiła do Wiktora i natychmiast zabrała się odchodzić.

Pan Ferdynand, naprzekór téj obojętności, pozdrowił ją. Odpowiedziała mu jak królowa dworzaninowi, który popadł w niełaske, i natychmiast śpiesznie wyszła do drugiej izby.

— Wiész pan—odezwał się, jedząc, Wiktor.—Widzę z obejścia się z nim Pepity, iż między państwem coś zajść musiało.

Fernando zarumienił się. Dobywał właśnie cygara i jedno z nich podawał poecie, co mu dozwoliło namyśleć się nad odpowiedzią.

— Cóż miało i mogło zajść?—rozśmiał się.—Nie taję się, żem chciał do pięknego dziewczęcia się poumizgać, ale Pepita dzika...

— A! a!—zawołał Wiktor.—We Włoszech, choćby z pastuszką, trzeba umieć *far l'amor*, inaczej tylko się na nieprzyjemności narazić można. Płochą zalotność rozumieją tu tylko zalotnice, dla których ona jest rzemiosłem... a Pepita... ho! ho! Toć przecie córka Rzymianina, mieszczanina wiecznego grodu i właściciela domku; ma pewnie odłożone posagowe *scudi*, które jęj na gospodarstwo towarzyszyć będą. W lada miłości się nie wda i prędzejby posłuchała prostego parobczaka, który się z nią ożenić może, niż panicza, o którym wie że chce tylko zabawić się i bałamucić.

— Z tego wszystkiego ciągnę wniosek — zawołał Ferdynand—żeś pan o nią zazdrosny.

Wiktor, śmiejąc się dobrodusznie, zwrócił się ku niemu. Poeta uważał za właściwe potwierdzić prawdy wyrzeczone przez kolegę i zapewnił młodzieńca, że o takich Pepitach, choć na dni powszednie chodzą w starych trzewikach, ani nawet myśleć było można.

— Jeśli jój pan wyznasz, że mu się podobała— dodał—odpowieć ażebyś się z nią żenił, i to jeżeli się jój podobasz.

Pan Ferdynand zmilczał, nadąsany trochę.

— A dlaczegoż Popita—odparł, zwracając się do Wiktora—nie obraża się tём, że pan tu, jeżeli się nie mylę, przychodzisz codzień, pewno nie dla kuchni, która jest okropną, ale dla oczów jój, które są cudowne?

— Bo ja jestem przyjacielem domu, starym znajomym, który jój nigdy żadnego dwuznacznego nie powiedział słowa.

Fernando rozśmiał się kwaśno.

— No—zawołał—to w Rzymie niema co robić i bardzo się cieszę, że siostra moja, której ja jestem nieodstępnym towarzyszem, dłużej tu bawić nie myśli.

— Jakto? jakto?—przerwał Wiktor żywo bardzo — państwo myślicie Rzym opuścić, gdyście zaledwie cząsteczkę jego widzieli? Ale to się nie godzi!

— Niech mnie Bóg broni — rzekł pan Ferdynand, puszczając dym cygara z melancholicznym jakimś wyrazem — abym ja siostrę moję, najpo-

ważniej myślącą i postępującą, o jakąś płochość śmiał posądzać; ale i najpoważniejsza z kobiet ma fantazyę. Zdawało mi się, że chce tu zabić dłużej, znajdowała że jój tu było dobrze; tymczasem teraz przebąkując, że powietrze jój nie służy, że się czuje niezdrową, że musi zmienić atmosferę...

Zawahał się nieco pan Ferdynand w tój obmowie rodzonej swój i ukochanej siostry, zmiarkowawszy, że obcy go słuchali. Ale jemu, pomimo surowości Pepity, nie chciało się opuszczać Rzymu.

Począł się cofać.

— Zresztą nie wiem jeszcze nic stanowczego — rzekł. — *Le donne son mobile*. Wczoraj wieczorem zdawała się chcieć koniecznie Rzym opuścić; dziś spytałem rano, chcąc się przygotować do spełnienia rozkazów, nie odpowiedziała mi nic. Wątpię jednak, by znowu tak prędko zdanie zmieniła.

Wmieszał się poeta, który zawsze stękał i za chorego się podawał.

— Powietrze jak powietrze — odezwał się — nie jest ono dobre w tój porze w Rzymie, czuję to na sobie; ale gdzież pani Liza znajdzie lepsze i miłsze towarzystwo? Dwie księżne, hr. August...

Spojrzał na Wiktora znacząco.

— Nie licząc hr. Filipa — szepnął wkońcu.

— A! wistocie, liczyć go nie należy — zawołał Ferdynand — bo nie wiem czy jest kto, coby się w nim kochał, albo choć go znosił.

— Tak — podszepnął poeta, minę robiąc dowcipną — ale kontrast bywa czasem potrzebny. Pieprz jest gorzki, przecież jako przyprawa doskonały.

— Ba! ba! nie jest pieprzem pierwszy lepszy liść bobkowy — zamruczał Wiktor z uśmiechem złośliwym. — Być pieprzem społeczeństwa równie trudno, jak solą.

W czasie téj rozmowy Wiktor dokończył swą bardzo skromną przekąskę, którą winem popijał.

Pepita zjawiła się z talérzykiem owoców, ale znowu tak szła i stanęła, ażeby natrętnego wzroku Ferdynanda uniknąć.

Młodzieniec, obrażony, nie mógł doznanej wzgardy przenieść, nie okazując tego po sobie. Zaczął nadto wesoło nastrajać rozmowę z poetą i starał się śmiechem głośnym dowieść dziewczynie, że się nie gryzł i do serca nie brał wcale jéj obojętności.

Była to stara sztuka.

Przybycie niewczesne pana Ferdynanda nie dozwoliło poecie zbliżyć się, jak chciał, do Wiktora, a że już dnia tego nie spodziewał się z nim pozostać samnasam, pożegnał towarzystwo i powrócił na służbę do Ahaswery. Stanowczo bowiem zaczynał się do niéj przywiązywać, znajdując w niéj coraz więcej stron sympatycznych i pewne odbłyски młodości.

Ahaswera téż wmówiła w siebie, że Emil Marya jest prawdziwym, niefabrykowanym geniu-



szem i że trochę się dla niego skompromitować badaj, mogło pójść na rachunek miłości poezyi...

Po wyjściu Emila, dokończywszy prędko niewyśmienitego desern, bo u v a wczesna była kwaśna, a figi nieświeże — Wiktor także spojrział na zegarek. Pan Ferdynand, chociaż rad się był z wyjściem ociągnąć, obrachował że zły humor Pepity nie dozwoli mu korzystać z tego, a narazi go na szyderstwo Wiktora. I on więc, radnie-  
rad, zabiérał się do wyjścia.

Rozstali się we drzwiach tratoryi i młodzieniec wolnym krokiem pociągnął na Via Sistina.

Z krótkiej jego rozmowy z Wiktorem, którąśmy powtórzyli, z zalotów płochych do pięknej Pepity, można już powziąć pojęcie jakiegoś o charakterze brata pani Elizy.

Nigdy może rodzeństwo napozór mniej do siebie nie było podobne, a jednak węzeł krwi, który łączył bardzo lekkomyślnego kawalera z kobietą smutną, poważną, zasługującą na współczucie i szacunek doświadczonemi i zniesionemi mężnie zawodów—węzeł ten krwi, w dwu niby bardzo różnych postaciach, dawał się dojrzyć w pewnych wspólnych obu cechach, przy bliższem badaniu.

Idealna, poetyczna Eliza, zbrojąca się chłodem i obojętnością od posadzenia o serce gorące i temperament żywy, miała takie jak brat porywy ku życiu, ku jego słodyczom nieznanym.

Nie kosztowała nigdy szczęścia, bo mąż, z którym los ją związał, był brutalem i słynał jako

najzepsutszy z ludzi, jako cynik obrzydły. Rozpustnik zmierził jój rozpustę. Mimo-to zetknięcie z nim nie pozostało bez wrażenia, bez skutku: nabawiło ciekawością tego wszystkiego, co widziała ohydnie sprofanowaném.

Słysnęła młoda wdowa z chłodu i surowości, ale życie, którego niesmaki tylko spiła zamłodu, dopominało się u niój praw swoich. Nie wierzyła w miłość, a pragnęła gorąco kochać i być kochaną.

Zimna dotąd, gdy widokiem Wiktora została w niepojęty sposób rozbudzoną, przekonawszy się że człowiek ten czynił na niój wrażenie, któremu oprzeć się nie mogła—w pierwszej chwili zapragnęła uciekać. Trwoga opanowała ją niezmierna, jakby nowego nieszczęścia przeczucie.

Po wieczorze u księżny, gdy jeszcze mocniej przekonała się, że ten człowiek zagadkowy ma nad nią jakąś władzę — nagle, jakby sama potrzebowała się tém związać, zmusić do odjazdu, powiedziała bratu, iż postanowiła Rzym opuścić.

Nazajutrz jednak, gdy Ferdynand oczekiwał już na stanowcze rozkazy, mowy o tém nie było.

Zupełnie czém inném zajęta, zdawała się unikać w rozmowie konieczności potwierdzenia wczorajszego postanowienia. Brat, z bardzo wielu względów, wcale się też nie kwapił z przypominaniem wczorajszej rozmowy.

Dziwiło go tylko, że może poraz pierwszy w życiu znalazł siostrę jak gdyby w sprzeczności sa-

mę z sobą. Przy obiedzie była roztargniona, nie-swoja.

Po powrocie z niefortunnej wyprawy do tratoryi pięknej Pepity, wieczorem znalazł Ferdynand siostrę siedzącą z książką przy balkonie, bladą i zamyśloną. Ferdynanda uderzyła zmiana, jaka się dawała widzieć dobitnie w usposobieniu Elizy. Zwykle nieporuszająca się niczem, obojętna, milcząca, cierpliwa, niedozwalająca po sobie poznać wewnętrznych wrażeń — była teraz rozgorączkowana, niecierpliwa, rozdrażniona, a siła się napróżno to utaić.

Zobaczywszy wchodzącego brata, rzuciła zaraz książkę i zaczęła się przechadzać po pokoju.

— Widziałeś kogo? — zapytała, witając go i badając oczami. — Spotkałeś się z kim? nie wiesz czy będzie u nas kto dziś wieczorem?

Pytania to były niezwykle, nigdy bowiem wprzód pani Eliza nie pożądała gości; wolala samotność, często się nawet na natrętów skarżyła.

— Z naszego towarzystwa nie spotkałem nikogo — odparł brat, poziwając. — Z jednym tylko tym dziwakiem Wiktorem widziałem się, no, i z poetą, który mu towarzyszył.

— Al — podchwyciła, żywo zwracając się ku bratu pani Eliza. — Gdzież spotkałeś tych panów?

— Przypadkiem; przechodząc około lichéj gar-kuchni, w której niespodzianie ich spostrzegłem — dodał z uśmiechem pan Ferdynand. — Ten artysta czy nie artysta upatrzył tam sobie bardzo ładną

dzieweczkę, którą pewnie za model sobie wybrać musiał.

Uśmiechnął się złośliwie, dwuznacznie i w tej chwili, spojrzawszy na siostrę, dostrzegł płomień na jej twarzy, który przypisał niewłaściwemu swemu wspomnieniu o dziewczynie.

Siostra zwykle za najmniejszą nieprzyzwoitość mocno go karciła. Teraz jednak przystąpiła do niego z ciekawością.

— Miałam się ciebie spytać — rzekła. — Ten dziwak, ta zagadka, ten ktoś niby artysta, jak ci się zdaje, kto to może być? Wszystkich nas intryguje, a ty go bliżej znasz... Wczoraj u księżny...

— Wczoraj był jakby zamaskowany — dokończył Ferdynand. — Takim go jeszcze nie widziałem.

— Przepraszam cię — przerwała mu bardzo gorąco i tonem niezwykłym siostra. — Pierwszą razą, gdy tu do nas wszedł w tym stroju dziwacznym, wydał mi się jakby zamaskowany; ale wczoraj był właśnie jakby w swoim naturalnym stanie. Co ty o nim sądzisz? mów! To nie jest artysta, nie, to człowiek z naszego świata i z naszych stron. Przewał się... w tém jest jakaś tajemnica.

— Ale cóż to cię ma tak żywo obchodzić? — rzekł Ferdynand, śmiejąc się. — Pierwszy raz widzę cię tak zajętą, zaciekawioną.

Siostra, nanowo się zarumieniwszy, ale tym razem z niecierpliwości i trochę gniewu na brata,

który sobie nadto pozwolił, zawróciła się milcząca, dumna i poszła ku balkonowi, nie dając mu odpowiedzi.

— Przepraszam cię! — pośpieszył dodać Ferdynand, goniąc za nią, bo siostry bał się i szanował ją — przepraszam! nie gniewaj-że się!

Pani Eliza sparła się na balkonie i nie raczyła przemówić. Ferdynand musiał pokornie pójść za nią i, zdobywszy rączkę opierającą mu się, pocałował ją.

— Moja droga! — rzekł błagająco — ale cóżem ja tak złego powiedział? Przecież grzechem nie jest ciekawość, a księżna Teresa pierwsza dała dowód, że ten oryginał może obudzić zajęcie.

— Wiesz że ja tych twoich płochych żarcików z kobiet nie lubię, a z siebie ich nie dozwalam — surowo odparła wdowa.

To mówiąc, zwróciła się ku niemu z twarzą zasepioną, ręce, wedle swego zwyczaju, założyła na piersiach i poczęła się znowu przechadzać po saloniku.

— Ażeby ci jednak dowieść — że twojego żartu nie wzięłam naseryo i że się żadnych posądzeń nie lękam, bo się nad nie wyższą czuję — powiem ci, Fernando, iż pierwszy raz, gdy będziemy mieli towarzystwo u siebie, chcę abyś go zaprosił.

— Najchętniej! — odparł Ferdynand. — Zatem więc idzie, że my tak prędko nie wyjeżdżamy. Przyznaję się, że toby mnie cieszyło bardzo.

Eliza spuściła oczy.

— Wiész — rzekła — rozmyślałam się trochę. Boję się, aby mnie nie pomówiono o jakieś dziwactwo; nie chcę ażeby nieznośny ten hrabia Filip mógł sądzić, iż mu ten honor czynię i uciekam od jego natręctwa. Trzeba wprzód znaleźć jakiś powód seryo do wyjazdu z Rzymu. Pomyślimy o tém.

— Jak zawsze, masz najzupełniejszą słuszność — odparł brat, wielce rad temu nowemu postanowieniu. — Tak jest niezawodnie, pomówionoby cię o dziwactwo, a nieznośny Filip z konopi powłókłby się za nami. — Zatrzymał się nieco.

— Powiedz mi — dokończył — kiedy zechcesz prosić na herbatę tych panów, a ja ci pana Wiktora przystawię.

Zawahawszy się trochę, pani Liza, gryząc koniec chusteczki, poczęła pocichu:

— Czekaj-że! Księżna będzie jutro... dla niej naturalnie muszę już prosić hrabiego Augusta, a z Augustem nieodstępny cień jego, Filipa. Więc... więc możesz swego artystę zaprosić na jutro.

— A księżnę Ahaswerę?

— Ta się zaprosi sama — ruszając ramionami, szepnęła Liza, minkę robiąc wzgardliwą. — Z nią przyjdzie nieodstępny już poeta, bo szczęściem przywłaszczyła go sobie. To biedny prawdziwie człowiek! — zakończyła, uśmiechając się z przymusem.

— Wistocie, być zmuszonym posługiwać kaprysom wiecznego tułacza—rzekł Ferdynand—wielkie to utrapienie; ale biédny wieszcz nie miał żadnego zajęcia, a może i obiadu...

Liza uznała właściwém ująć się za potępionym.

— Człowiek-to nie bez talentu, szkoda go!—rzekła.—Cóż, kiedy niepospolity talent ten zabija zarozumiałość olbrzymia. Od najslawniejszych wieszczów zapożyczył wszystkie zewnętrzne cechy, które są geniuszu słabostkami, i niemi chce świat przekonać, że podlegając tym samym słabościom, musi téż mieć wszystkie geniuszów przymioty.

Chwilkę pomilczawszy, wdowa dodała:

— A zatém, mój Ferdynando, na jutro proś kogo chcesz. Ponieważ zmuszoną jestem w Rzymie pozostać, nie chcę się zamykać i dzieć. Poety radabym unikać; żal mi go i niecierpliwi mnie; ale zdaje się być un mal nécessaire, a jako antydot służyć będzie hrabia Filip, z którym się uciérać lubią. Więc niech sobie będą wszyscy, ilu ich jest.

Ferdynand, rad ze zmienionego siostry postanowienia, tegoż wieczora poszedł wkrąg zapraszać na jutrzejszą herbatę.

---

Nad wieczorem, właśnie o godzinie, gdy się na Via Sistina zbierać miano, nadciągnęła burza gwałtowna i dészcz uléwny. Był on bardzo po-



żądany, bo na chwilę przynajmniej miał odświeżyć powietrze; ale goście się dla niego opóźnić musieli.

Księżna Teresa tylko i hr. August przybyli nieco wcześniej i zabawiali gospodynię; reszty zaproszonych nie można się było spodziewać, chyba gdy nawałnica ustanie.

Przez otwarte drzwi na balkon wchodziło powietrze, już ochłodzone nieco, przejęte dészczu zapachem, gdy przed kilku godzinami nie było czém oddychać.

Pomimo wpływu, jaki ta atmosferyczna zmiana powinna była wyrzucić na usposobienia osób znajdujących się w saloniku, wszyscy dnia tego jakoś byli smutni i jakby pomęczeni.

Księżna, zazwyczaj swobodnego umysłu, mówiąca chętnie, ożywiona, zamyśloną była i posępna. Hr. August więcej na gospodynię patrzył, niż ją zabawiał. Ona zaś nerwową była, podrażnioną już od dni kilku, co Ferdynand postrzegł pierwszy, nie umiając sobie tego wytłumaczyć. Każdy szelest w przedpokoju nabawiał ją trwogą; spoglądała ku drzwiom, jakby się lękała, aby niemi nie weszła jakaś katastrofa.

Księżna postrzegła to i przypisywała burzy a elektryczności, bo pioruny i błyskawice różnobarwne dotąd nie ustawały. Dészcz jednak zmniejszał się powoli, nawałnica szła ku morzu wichrem pędzona. Część nieba, z po za chmur porozdziéranych, czystym już, pięknym, jakby

obmytym jaśniała błękitem, przy którym obłoki tém brudniejsze się wydawały. Przybięrały one barwy osobliwe, złocąc się, czerwieniąc, stając brunatne, szare, sine i liliowe. Tak jaskrawo zachodu słońca po burzy żadenby się nie ważył malować pejzaryzsta—jednemu to Bogu wolno.

Dzwonek w przedpokoju, który wywołał Ferdynanda, stojącego na straży, na pani Lizie zrobił znowu wrażenie przykre; drgnęła i rzuciła się.

Oko jój, niespokojnie ku drzwiom skierowane, nie przysłoniło się powieką, aż dojrzała wpadającą pośpiesznie Ahaswerę, którą złała zdradzał śmiech suchy. Ciągnęła za sobą—niestety—swą ofiarę, nieszczęsnego wieszczą.

— Chwałaż Bogu, że burza tak prędko przeszła—zawołała, śmiejąc się i witając.—Ale co za wspaniała burza! jakie królewskie pioruny! co za przepyszna uléwa! Myślałam, admirując, że mnie nie dopuści do ciebie, najkochańsza Lizo. Szczęściem wieszcz zaklął ją słowem i ucieka posłuszna. Byłabym musiała brawować pioruny, których... które mnie trochę straszą.

Poeta z obowiązku unosił się nad tym szaleństwem natury, nad namiętym uściskiem ziemi z obłokami, znajdując że obraz był niezrównanej potęgi i piękności.

— Natura-bo—mówić począł—jest zwykle liryczną i bywa przez to nudną, ale w takich chwilach staje się dramatyczną, piękność jój potęguje się, życie ognistemi tryska strugami.... Ale cóż

ta burza, przesuwająca się nad Rzymem, którą ciągnie morze jak kochanek—co znaczy taka burza przelotna, w porównaniu do zajadłych burz w Apeninach, których ja nieraz osłupiałym bywałem świadkiem?... Tam natura odegrywa sceny, jakich w żadnej tragedyi nie znaleźć. Ryk jój zdaje się chwilami przybierać nawet dla ludzkiego ucha zrozumiałą mowę; jęczą w nim głosy pokoleń pomordowanych, krzyki bóleści lat tysięcy w jeden zlane, wrzawa bojów, co kładły trupem miliony—wrzaski matek bezdzietnych i dzieci osieroconych, konających w téj zawierusze śmierci, ponad którą rozlega się śmiech szatana....

Emil Marya, uniósłszy się, byłby dalej opowiadał o walce żywiołów i dramacie elektryczności, gdyby dzwonek nowego nie oznajmił gościa. Wdowa z tąż samą co i przedtém trwogą wlepiła we drzwi oczy, pobladła i nie ochłonęła, aż zobaczywszy hrabiego Filipa, który włókł się posępniejszy, poważniejszy, mniej ruchawy niż zwykle.

I na nim burza uczyniła wrażenie przygniatające.

Przywitawszy panie, zbliżył się do hr. Augusta, który pozdrowił go poufale, ale dość chłodno.

— Czy pan to czujesz, co ja?—zapytała go księżna Teresa.—Mnie burza siły odbiera i czyni ociężałą, prawie senną.

— A, burza!—odparł hrabia Filip—burza na mnie nie robi najmniejszego wrażenia. Nie uwa-

żałem nawet czyśmy ją przebyli; wiem tylko, że ze wszystkich dachów i rynien strumienie lecą, ulice potokami płyną. W Rzymie dészcz nawalny, to urzędnik pożądaný, oczyszczający ulice.

Poruszył ramionami, księżna zaś dodała, wpatrując się w niego:

— A jednak hrabia nam dziś nie przyniosłes tak wesołej jak zwykle twarzy, do której myśmy przywykli?

Uśmiechnął się na to ironicznie hrabia.

— Gdzież i zkąd czerpać wkońcu wesołość, nam nieszczęśliwym, wydziedziczonym?—bąknął zeicha.—Prawdę rzekłszy, zasepiły mi humor dwie rzeczy: trochę listy z domu, a potém para książek, która mi w ręce wpadła.

Szanując listów tajemnicę, księżna byłaby zapewne spytała o książki, które mu humor zmieniły, lecz właśnie nadchodził gość ostatni, na którego widok pani Liza, jakby naumyślnie, rozpoczęła niezmiernie żywą, cichą rozmowę z Ahaswerą, tak że Wiktor musiał podejść bardzo blisko, nim mu odpowiedziała na powitanie.

Artysta był, jak się spodziéwać należało, ubrany starannie; nie miał już tylko owój kamei w chustce, co księżna zaraz spostrzegła. Miejsce jój zajmował piękny skarabeusz szmaragdowy, który niemniej zwrócić mógł oczy.

Gospodyni skłoniła mu się bardzo poważnie, ceremonialnie, a zamieniając z nim spojrzenie, nadała swojemu wzrokowi wyraz surowy razem

i wyzywający, mówiący więcej niż chciała. Musiała to uczuć, bo się natychmiast znowu zwróciła do swjej sąsiadki.

Księżna Teresa podała przybyłemu rękę z uprzejmością, którą i za siebie i za gospodynię może wypłacić się chciała. Hrabia August zbliżył się pierwszy i również życzliwie przywitał Wiktora.

Nie mógł się on skarżyć na przyjęcie, gdyż jedna tylko gospodyni znalazła się chłodno i na-  
zbyt milcząco, w czém ją trochę naśladowała Ahaswera. Hrabia Filip, mimo wstępu jaki miał do człowieka, naśladowując pilnie hr. Augusta, pośpieszył z wesołym pozdrowieniem. Ponieważ rozmowa zdawała się przerwana wejściem artysty, księżna Teresa, chcąc ją zawiązać nanowo, zwróciła się do Filipa, o którym wiedziała że rad był zawsze występować na scenę i głos zabierać.

— Wspomniałeś, hrabio, o książkach, które ci humor popsuły—rzekła.—Powiedz że nam co o nich, jeśli to nie jest tajemnicą. Przyznam się że wogóle książek, czyniących jakiegolwiek, złe czy dobre wrażenie, ciekawa. Od bardzo dawna mam szczęście spotykać się tylko z takimi, które wywołują spazmatyczne ziewanie, nic więcej.

Hrabia Filip, powołany, wystąpił kilka kroków naprzód.

— Żlem się wyraził—rzekł.—Książki te, które mi z kraju nadesłano, dlatego tylko może chwilowo mnie zasepiły, poruszyły, że nielitościwie amputują organiczne części przekonań, z którymi urosłem, które sobie przyswoilem. Przy każdej takiej amputacji cierpi pacjent, ale często ona mu życie ocala.

— Bądź że łaskaw, mów jaśniej, o co to idzie?  
—zapytał, przysuwając się, hrabia August.

Filip ogładał się, uśmiechnięty tryumfująco.

— Nadeszła nareszcie chwila opamiętania—odezwał się;—zaczynamy leczyć się z naszych przestarzałych wyobrażeń o sobie samych. Dotąd widzieliśmy w przeszłości własnej same tylko strony jasne, pisywaliśmy sobie apologie, pochlebające narodowej dumie; historia nasza zbyt wielu miała bohaterów. Nareszcie skalpel krytyki zaczyna te chorobliwe narośle miłości własnej ekstyrpować.

Namarszczył się, słuchając, hrabia August.

— Co? co?—podchwycił, spoglądając na Filipa.—Niedobrze rozumiem.

— Odebrałem kilka książek nowych—odparł trochę niecierpliwie zagadnięty.—Widzę w nich postęp, krok naprzód. Nowsi pisarze starają się nam pokazać nagą prawdę. Jest ona przykra i gorzką, nie przeczę, ale hędzie zbawienną. Mieliśmy już dosyć tych ideałów szlacheckich, wąsatych, butnych, zarozumiałych, krzykliwych, szablistych, z Panem Bogiem zapanbrat. Czas



dojrzyć, że to były karykatury—ciągnął Filip—żeśmy je niesłusznie uposagowali. Jam się zawsze tego domyślał, więc cieszę się ze śmiałego wystąpienia przeciw nim. Fiat lux, choćbyśmy wszystkie te słomiane ideały stracić mieli.

Hrabia August dał mu dokończyć cierpliwie i gdy wyzywająco spoglądał na niego, rzekł chłodno:

— Ten punkt, niby nowy, zapatrywania się na przeszłość naszą, przepraszam cię, kochany hrabio, nie zdaje mi się nowym wcale. Od bardzo dawna literatury sąsiednich, a nam nieprzyjaznych narodów, obracały w śmiech, karykutowały te mniemane ideały nasze. Przypomnijcie sobie cały szereg raportów rezydenta saskiego Essena; macie tam rozczarowania do sytości, ulicznych plotek i potwarzy. Komu historia domorosła przeszłości naszej była zanadto ocukrowaną i zasłodką, mógł zawsze napewno iść do źródeł niemieckich, a octu i żółci znalazł w nich podostatkiem. Niektórym z pisarzy nam niechętnych nie zbywało ani na nauce, ani na talentach, ani na zręczności w poszukiwaniu i wyświetlaniu stron słabych—wszyscy jednak błędzili tępem, że widzieli umyślnie tylko stronę czarną, że jej szukali, gdy u nas, jak wszędzie, było zło i dobro, a co przeważało, o tęp dziś rozgorączkowanym apologetom i nieprzyjaciółom wyrokować nie pora. Sąd historyi dopiero zdala jest



zupełnie beznamiętny i sprawiedliwy. My jeszcze drżymy od bólu, a drudzy nienawiścią buchają.

— Musiało zło przeważać, kiedyśmy upadli—odezwał się hr. Filip.

— Argument to dla mnie wcale nieprzekonywający — rzekł August poważnie. — Widziemy w życiu pojedynczych ludzi, iż nie wszyscy cnotliwi i rozumni stoją górami; tak samo bywa i z narodami. Pomimo wielkich zasobów siły i przymiotów, mogą one upadać, skutkiem warunków, których przewyciężyć nie miały siły, przewidzieć nie mogły wczas. Powiem ci więc: narody mogą być równie narażone na upadek przez cnoty swe, jak przez błędy.

— Sofizmata! — odparł hr. Filip pogardliwie. — Gdybyśmy mieli wielkich mężów stanu, bohaterów, geniusze, bylibyśmy się ocalili. Nie mieliśmy nic, oprócz wrzaskliwych warcholów...

Księżna Teresa rozpaczliwie uderzyła w ręce.

— Hrabio Filipie — wykrzyknęła — co za herezje prawisz!

August dorzucił zwolna.

— Po apologiach bezwzględnych, a niesmacznych, muszą nastąpić, jest to w porządku, potępienia na głowę i dyatryby. Niech to księżny nie porusza zbyt cicho. Mieliliśmy rozmarzonych apologów, może zawielu; przyszła teraz godzina na krytykę zajadłą. Z dwojga tych prądów fałszywych, wyłącznych, namiętnych, powoli przyjdziemy do znalezienia drogi średniej i prawdy.

Poeta, który słuchał, usta wydawszy, brwi marszcząc, ściśniętymi pięściami bijąc się po kolanach, wybuchnął gwałtownie:

— Każdy sobie szuka, co mu do smaku, żywiołu w którym mu najlepiej. Są istoty, co tylko w błocie żyć mogą; te i w dziejach szukają kałuży. Są inni, co potrzebują wyżyn dla piersi, niebios dla oka—te wzlatują w obłoki i zgóry patrzą na dziejów pasma, które dla nich lśnią barwami tęczy. Gdzie prawda? Prawdą jest kałuża dla tego, co w niej się urodził i grzebał, bo dlań nie istnieje nic więcej, a dla orłów prawdą niebiosa.

Hrabia Filip śmiać się zaczął, lecz gniewnie.

— Wyjątek z sonetu, czy z poematu?—zawołał.—Za tém idzie, że prawd jest conajmniej dwie.

— Prawdek są tysiące—przerwał hrabia August—a z nich tylko umysł wyższy prawdę sobie potrafi wytopić. To nie każdemu dano.

— A tak!—zaśmiał się hrabia Filip—ja do tego nie jestem zdolny! Mam ten brzydki nałóg, że szukam prawdy w cieniach, nie w światłach. Nato potrzeba kocich oczu, ale widzi się, nie będąc olśnionym.

— Tak, widzi się bezbarwne mroki—dodał August.

Chwileczkę trwało milczenie; zbliżył się do Filipa i ujął go za rękę.

— Kochany hrabio — rzekł z uśmiechem. — Mnie się zdaje, że gdybyśmy zgodzili się wszyscy na smutną barwę przeszłości, tybyś pierwszy na stronę białą zaczął przechodzić.

Ahaswera parsknęła pocichu i zatuliła sobie usta.

— Jestem więc tylko prostą przekorą? — zapytał urażony Filip, wyrrywając rękę.

— Nie, kochany hrabio — mówił August łagodnie — jesteś wprost tylko umysłem żywym, który szuka dróg nowych i czuje to instynktowo, że idąc wciąż w jednym kierunku, najłatwiej się ośląkać.

Księżna Teresa przyklasnęła temu rozwiązaniu; Filip z dumą pewną, wesóło zbliżył się i uściśnął rękę przyjaciela. Z przestanku tego korzystając, poeta głos zabrał.

— Choćbym był w błędzie — mówił, zwrócony ku Ahaswerze, ale dość głośno, by go wszyscy słyszeli — choćby mi dowiedziono, że zamiast bóstwom, kłaniał się martwym głazu bryłom, pokłękę przed temi bożyszcami, u których stóp klęczyli ojcowie moi — nie stanę się im niewiernym.

Gdy ta rozmowa toczyła się w pośrodku salonu, Wiktor, który wszedłszy, czuł się zimno przyjętym i zajął pierwsze lepsze miejsce, znalazł się nieopodal od gospodyni. Siedział niemy, patrząc na dno kapelusza, jak gdyby go pytał: pociśmy tu przybyli oba?

Liza kilka razy ukradkiem zmierzyła go niecierpliwém, niespokojném wejrzeniem. Zdawała się walczyć z sobą, czy się do niego odezwać. Z obowiązku gospodyni należało jój choć parę słów przemówić do gościa. Zwróciła się w końcu ku niemu i spotkała oczy wlepione w siebie, z wyrazem łagodnym, spokojnym, miłosiernym, pełnym współczucia, a nienarzucającym się o nic.

To ją ośmieliło. Pocichu i dość niewyraźnie przemówiła, schylając się nieco:

— A pan co trzymasz o tém?

Można było przysiądz że pytanie to zadała, myśląc zupełnie o czém inném.

— Słucham rozpraw z zajęciem wielkiém— równie cicho rzekł Wiktor.—Ale przeżywszy już entuzjazm, i zachwyty, i odczarowania a pesymizmy, usprawiedliwiam oboje, choć ani jednych, ani drugich dzielić nie mogę.

— Więc obojętnym pan jesteś na wszystko? —z dziwnym akcentem spytała, wpatrując się w niego, ciekawa gospodyni.

— Nie, pani!—począł Wiktor, spoglądając na nią.—Do takiego trupiego zobojętnienia nie doszedłem jeszcze; tylko tłumaczę sobie i usprawiedliwiam obie te władze ducha, naprzemiany widzącego czarno i biało...

— I jesteś pan tak szczęśliwym, że stoisz wyżej nad te poglądy?—z trochę ironii dodała piękna gospodyni, jakby drażniąc, coś więcej dobyć z niego chciała, nad tę tolerancją zimną.

— Nie jestem tyle zarozumiałym, abym sobie stanowisko tak wysokie przyznawał—rzekł cierpliwie i nie poruszając się Wiktor.—Być może owszem, iż spadłem niżej, niż ci co wielbić i nie-nawidzić umieją.

Po chwili milczenia, Liza dodała:

— Wiele pan doświadczyć musiałeś....

Pytanie zadane było głosem drżącym. Wiktor wzrokiem naprzód odpowiedział na nie; wejrzenie to zamykało już w sobie wszystko, ale dodał pocichu:

— Nie mylisz się pani; przeżyłem wiele. Pozostały mi tylko resztki życia, a dogryzam je mężnie i z rezygnacją.

Niewiele tych słów, zamienionych pocichu wśród gwaru ogólnej rozmowy, która nie ustawała, daleko więcej, niżby się spodziewać było można, zbliżyły panią Lizę do Wiktora.

Trwoga którą ją nabawiał ustąpiła: wcale już nie wydawał się jęć strasznym. Dziwnym fenomenem, którego nigdy dotąd nie doświadczyła na sobie, człowiek ten obcy robił teraz na niej wrażenie, jakgdyby dawno, poufale znajomego. Nawiązywała do niego zaufania.

Korzystając z tego, że poeta, Ahaswera, hrabia Filip i księżna poczęli spór o szczegół jakiś historyczny, pani Eliza obróciła się daleko poufalej, śmiejąc się, niż przed chwilą do Wiktora.

— Pan wśród tych Włochów, z którymi podobno długo obcować byłeś zmuszony, musiałeś się czuć bardzo osamotnionym?

— O tak, chwilami — rzekł Wiktor równie śmiało i z wielką prostotą. — Lecz ja z tą samotnością wśród tłumów, z konieczności oddawna oswoilem się i przejednałem. Nie przykrzejszego, nad narzucanie się ludziom, nad wciskanie się natrętne i proszenie choćby o jałmużnę słowa. W niedostatku ludzi żyje się z książkami, z naturą i ze sztuką, kłóci się z niemi, godzi, jak z ludźmi — zrywa i powraca, a tymczasem życie upływa.

— Starczyż to do życia? — zapytała ciekawie pani Eliza. — Jabym się bardzo tego kunsztu wystarczania sobie w samotności nauczyć chciała. Często także jestem skazaną na pustynię, bo wolę ją niż tłum uliczny, a czasem niż salonową wrzawę. Próbowалам żyć z książkami, umiłować sztukę; ale wszystko to nie zapełnia życia...

— W pierwszych chwilach — przerwał Wiktor, z wyrazem jakby macierzyńskiej troskliwości. — Tak jest. Wszelka klauzura wymaga nowicyatu. I takie życie odosobnione musi się zdobyć przygotowaniem do niego, przełamaniem nawyków. Naostatek i to trzeba dodać, że je wielce ułatwia albo utrudnia przeszłość. Wspomnienia są niepozbytém brzemieniem: latają koło nas i brzęczą, jak muchy natrętne.

Słyszając to, wdowa zarumieniła się i poruszyła żywo; oczy jój błysnęły i pokryły się szybko powiekami. Westchnęła.

— Tak, masz pan słuszość—zawołała.—Kto chce przywdziać tę sukienkę mniszą, musi wprzód zrzucić znoszoną i zdartą na świecie.

Szepty te, które się przeciągnęły dłużej niż pani Eliza w początku zamierzała, zwracały już uwagę księżny Teresy i hrabiego Augusta. Gospodyni uczuła to, rzuciła jeszcze jakby pożegnalne spojrzenie na Wiktora i zwróciła się do księżny.

Właśnie Emil Marya, w chwili rzeczywistego natchnienia, poczynił w obronie przeszłości mówić do hrabiego Filipa.

— Utrzymujesz pan, żeśmy byli zgnilizną samą, zepsuciem, ruiną, żeśmy nie mieli życia w sobie, wprzód nawet niż śmierć nastąpiła; żeśmy trzymali się na nogach jak trupy, ściśnięte wśród boju, którym skupione szeregi upaść nie pozwalają... powiedz-że mi, zkąd się wzięło to życie tak potężne ducha, które się objawiło na gruzowiskach i ruinach? Zkąd czerpali siły wielcy wieszczowie, kunsztmistrze, myśliciele, pracownicy, których potęgi nie zaprzeczysz? Tę siłę nie mogło im dać nic innego tylko przeszłość, a zkądżeby ją wzięła, gdyby jój w sobie nie miała? W tę więc czarną, zbrukaną przeszłość, w której wszystko widzicie tak nikczemnem, kryły się gdzieś życiodajne źródła, które z niej na nas się wylały. Dzieci miały ojców i matki, natchnienie



miało źródło, geniusz miał gniazdo swe, na którym porósł w pióra, i macierzyńską opiekę, co go wykarmiła.

Hrabia Filip stał przez czas jakiś zaniemiały.

— Wielkie pieśni, wielkie dzieła kunsztu — rzekł wkońcu — rodzą się z boleści wielkich.

— Tak — zawołał poeta — lecz i boleści wielkie potrzebują piersi szerokich, aby się w nich zrodziły i mieszkaly.

— Wiész co — podchwycił hrabia August, biorąc za rękę milczącego towarzysza — uznaj się zwyciężonym. Nie możesz zaprzeczyć geniuszu naszym wieszczom pogrobowym, Adamowi, Zygmunтови, Juliuszowi. Uznał ich nawet ten świat, co nam nie przyznawać nie chciał. Nie zaprzeczysz uroku i polotu pieśniarzom naszym, ani genialności mistrzom penzla i ołówka, a wszyscy oni przecie czerpali z téj skarbnicy, w której ty nie widzisz nic, nad próchno, brud i zgniliznę. Były więc niespożyte zasoby, niezamulone i niezatrute źródła, nieprzegniłe organa żywota.

— Resztki! Spięwy łabędzie! — odrzucił hrabia Filip krótko, jak gdyby chciał zapobiedz dalszym rozprawom, do których brakło mu już argumentów.

Nie uznawał się zwyciężonym, ale czuł że go pokonano.

Hrabia August rośmiał się wesoło.

— Proszę panów na herbatę! — odezwala się, wstając i podając jedną rękę księżnie Teresie,

a drugą Ahaswerze, gospodyni. — Pogódźcie się panowie i mówmy o czémś dostępniejszém dla nas, co myślami nie nawykliśmy wzlatywać tak wysoko.

Ruszyli się wszyscy.

Z twarzy dysputujących widać było, że pomimo rozejmu ogłoszonego przez gospodynię, podrażnienie trwało. Języki gotowe były do boju; każdy miał coś jeszcze na poparcie i obronę przekonań swych do powiedzenia.

Tymczasem Ahaswera unosiła się pocichu nad wymowném, genialném wystąpieniem swojego protegowanego, pani Eliza zaś szeptała księżnie, iż hrabia Filip we wszystkiém zawsze jest pesymistą i oprócz tego sprzeką. Wiktora wziął pod rękę pan Ferdynand, dostrzegłszy że siostra okazywała mu niezwykłą uprzejmość i sympatyą. Rad był go sobie zaskarbić na wszelki wypadek, choć jeszcze do téj fantazyi nie przywiązywał zbytniego znaczenia.

Zaczynało jednak zastanawiać go to, że kazano mu zaprosić Wiktora, że Eliza ciągle była w usposobieniu niezwykłym, podrażniona, i w poufalej rozmowie zbyt często wspominała artystę, jakby mimowolnie.

Miał więc domysły, przeczucia; chciał, zaprzyjaźniając się lepiej, wybadać tego człowieka, do tąd osłaniającego się tajemnicą.

Zabawiał więc go jak umiał, trochę mu dworując i usiłując postawić się na stopie poufalszej.

Tymczasem księżna Teresa, która także oka z Wiktora nie spuszczała, badając go zdała, gdy siadały do herbaty, miała czas i sposobność szepnąć Elizie:

— Od ostatniej bytności u mnie, wasz tajemniczy artysta, czy nie wiem kto, stał się dla mnie jeszcze bardziej drażniącą zagadką, bom jaki, rożek zasłony co go okrywa odsłoniła przypadkiem. Przynajmniej tak mi się zdaje.

Zarumieniona Liza spojrzała ku niej ciekawie.

Księżna na ucho poczęła opowiadać niefortunne swe pokuszenie dopytania się znaczenia kamei, której była pewną niemal, że inną być nie mogła, nad dawno jej znaną.

— Mam najmocniejsze przekonanie — dokończyła — że ten Wiktor Gorajski musiał się nazywać imieniem jakimś nam nieobcym, że niegdyś obracał się w kołach naszych, w świecie nam znanym. Co go zmusiło do takiego zamaskowania się, czy kryje nieszczęście, czy ruinę... czy...

— W tém wszystkiém nieby nie było ani niepodobnego, ani dziwnego — odpowiedziała Eliza. — Cóż u nas pospolitszego nad ruinę? Winny czy nie, któż się nie sroma upadku?... ktoby nie chciał o nim zapomnieć? Może to być jakaś nieszczęśliwa ofiara.

Księżna potwierdziła domysł ten głowy skinieniem.

Zasiadano do herbaty. Ahaswera pocie zrobiła miejsce przy sobie, co go rozpromieniło.

Ukradkiem pocałował ją w rękę, co dawno niewidziany na bladój, zwiędłej twarzyczce wywalało rumieniec.

Z rozmowy o siłach, które pozostały z przeszłości, hrabia Filip złośliwie przeszedł do dziwacznych napaści i zarzutów przeciw pojedynczym popularnym postaciom. Potém ubolewać zaczął nad zboczeniami ducha tego, którego sławiono potęgę, i jako przykład przywiódł Towiańskiego, z którego się wyśmiewał dowcipnie, bo mu to z wielką łatwością przychodziło.

Jak gdyby dotknął rany, wszyscy zamilkli, posmutnieli.

— Takie wyboczenia siły — odezwał się, cierpliwie dłużej wysłuchawszy chryi, hr. August — przepraszam cię, dowodzą właśnie jój istnienia. W tym obłędzie były strony piękne i obudzające poszanowanie, jeśli nie współczucie. Kto zna tajemnice ducha ludzkiego i niepewność tych granic, które dzielą świadomość swego stanu od bezwiednego obłądu umysłowego, z dobrą wiarą, nie będzie nigdy śmiał rzucić wyroku potępiającego i obelgi szalbierstwa na człowieka, co ludziom poważnym, wielkiego charakteru umiał rozkazywać i nawracać ich. W tym szale, który się zrodził z boleści, były momenta rzewne i piękne, a z całego ruchu, rozgorzenia tego pozostał w spuściznie nastrój wysoki, prąd unoszący ku górze.

— To właśnie źle — zawołał uparty Filip — bomy wiekuiście błędziłiśmy tém, żeśmy chodzili

po obłokach, nie po ziemi. Nas potrzeba studzić, nie ogrzewać.

— A gdy zupełnie, da Bóg, wystygniemy, spowinać w całun i położyć w grób—dodał szczerze tego wieczora usposobiony poeta.

— Jest prawem ogólném — odparł niedający się zbić hr. Filip — iż co się poczęło, musi się skończyć, aby przerodziło się w formę inną. Znajduję więc naturalném, że zmartwychwstaniemy.

— Pod nową formą pruskich kaprałów — dodał Wiktor półgłosem.

— A no, bylebyśmy żyli — rzekł Filip z rezygnacją.

— Niestety, to już nie byłoby życie—ośmielając się, począł Wiktor.—Ciąg życia w człowieku pojedynczym zależy od pamięci jego przeszłości, w narodach od tradycyi. Tam gdzie nie ich się zrywa, kończy się rzeczywiste istnienie, zaczyna proces rozkładu, z którego już tylko pozostają pierwiastki, mogące się weelić zarówno w kaprała pruskiego, jak w austriackiego hofrata, lub... w co sobie chcecie.

— Za pozwoleniem!—wykrzyknął hr. Filip — nie możesz pan zaprzeczyć, że przy całej miłości dla ideału, z rzeczywistością jednak rachować się potrzeba. Przedzierzgnięcie się w kaprała lub hofrata może być warunkiem bytu.

— Zaczepiłeś pan kwestyą nader drażliwą — odparł spokojnie Wiktor—która, chcąc rozwiązywać, zastrzedz się naprzód potrzeba od wniosków,

jakie z poruszenia jój wyciągnąć można. Pozwól więc, abym zaręczył przedewszystkiém, że na wallenrodym nie choruję, że uważam go za ideę fałszywą, szkodliwą, uwłaczającą charakterowi człowieka i narodu. Śmielój teraz powiedzieć mogę, że przyobleczenia sukni kaprała i pełnienia służby jego, a choćby i hofrata, nie uważam za potępienia godne, byle pod suknią tą było serce stare, trwała pamięć przeszłości i związek z nią. Nie jestem téż wcale rewolucyonistą — dodał, uprzedzając zarzut, którego się spodziewał — owszem, w zasadzie potępiam wszelkie przewroty gwałtowne; przyznaję konieczność rachowania się z rzeczywistością; ale nie powinno to przeszkadzać pozostać wiernym sobie, przeszłości i tradycyi. Przyszłość zależy od zbiegu tysiąca okoliczności; przeszłość jest w rękach naszych i stanowi zasób, z którego się siły do życia czerpać powinno. Nie myślę nikomu stawiać za przykład rozproszonego Izraela, a jednak niepodobna z jego trwania w najniekorzystniejszych warunkach nie wyciągnąć téj prawdy, że strzegąc tradycyi, zachowuje się skarbnicę żywota...

— Tak — przerwał Filip — ale to, co pan zowiesz warunkami najniekorzystniejszymi, ja uważam za środki pomocnicze. Nie pożądanego dla narodu nad prześladowanie, jakiego Żydzi doznawali. Chrześcijaństwo byłoby się téż bez męczenników nie rozkrzewiło tak bujnie. Żydzi zahartowali się, będąc ścigani; wyłączenie ze spo-



leczeństwa zmusiło ich skupić się w sobie. Prawo ciśnienia, wywołujące oddziaływanie na ciałach sprężystych, sprawdza się i na duchu człowieka. Grecy téż, prześladowani przez Turków, zdobyli się na bohatérskiego ducha; ale dość potém było postawić ich w powszednich życia warunkach, aby zeszli na bardzo pospolitych i bezsilnych.

— Wiele w tém prawdy co mówisz — zauważył hrabia August. — Lecz idąc w głąb tego twierdzenia, wieleby objaśnień należało do niego dołączyć. Wróćmy — dodał, zwracając się do Filipa — do założenia pierwszego rozmowy, do książek, które wywołały rozprawę. Widzę żeś hrabia jakąś historią nową, całą czy ułamkową, musiał otrzymać.

— Kilka rozpraw i artykułów — odpowiedział Filip. — Z nich wszystkich wieje zbawczy duch krytyki. Pod naciskiem jój walą się jedne po drugich woskowe lalki naszej przeszłości. Tój wyprawie orężnej przeciwko fałszom, któremiśmy się długo karmili, przyklaskuję.

August po swojemu powitał to uśmieżkiem łagodnym.

— Widzę że się spodziewasz, w miejscu tych lalek woskowych i fałszów, czegoś żywszego i prawdziwszego. Naiwny jesteś, kochany hrabio! Z historią dzieją się rzeczy dziwne. Każdy wiek nową tworzy ad usum delphini, dla wychowania na niój pokoleń przyszłych. Każdy wiek zaprzysięga się, że miłuje prawdę, że tylko jój



szuka, a operacya kończy się na tém, iż lalki woskowe się topią, wosk oczyszcza nieco, doléwa się farb nowych i lepią się... ideały nowe, do miary swych twórców przykrojone. A wszystko to pod hasłem prawdy i w jój imię! Kilka imion, dat kilka służy za wątek, a każde pokolenie snuje na nim wzory, wedle smaku swego.

— Ale, na Bogal—zawołał gwałtownie hrabia Filip—pełno fałszów jawnych było na kartach; potrzeba z nich dzieje oczyścić!

— Byle nowych w ich miejscu nie stawić — odezwał się Wiktor.—Trafia się bowiem, że pracownik młody wistocie okazuje jak na dłoni, iż król jaki nie urodził się dnia 14-go, ale we dwa dni później, iż bitwa sławna odbyła się wcześniej o tydzień, niż dotąd sądzono, a żato postać historyczną, choćby Nerona lub Tyberyusza, dla oryginalności zmienia w bohatera jasnego i Tacyta czyni umyślnym kłamcą.

— Tak—potwierdził hrabia August—postacie historyczne dziwnym ulegają losom. Niéma kogoby nie oskarżano i nie broniono, czegoby nie uniewinniano i niepotępiano zkolei. Inkwizycya znalazła apologetów, świętych poczytywano za szalbierzy. Historia nie obroni się pono nigdy temu ciąglemu odświeżaniu i przetwarzaniu, pod pozorem szukania prawdy, wistocie zaś dla celów ubocznych, dla potrzeb chwilowych, a bardzo często przez miłość własną, która nicować każe, aby się ze sztuką popisać.

— Przecież ja wolę to, niżeli bałwochwalcze, nieruchome uwielbienie widm, które potworzyła na tle dziejowém imaginacya wieków, o krytyce niemających pojęcia — rzekł Filip.

— Pozwól jednak — dodał August — abyśmy my, biędni, zaślepieni, wsteczni, *laudatores temporis acti*, tym poobalany idealom przeszłości lżę uronili na pożegnanie. Zgoda na to, że one były utworami wyobraźni ojców, lecz to mi je czyni drogiemi. Naród każdy w historiją swoją wprowadzał klejnoty, ideały, nadając im kształty, jakie w duszy piastował; malował swych bohaterów może nie takimi, jakimi byli, ale jakimi ich pragnął mieć i widzieć. Toć przecie stanowi świadectwo postulatów ducha narodowego, może dla nas droższych, niż prostowanie dat fałszywych i odgrzebywanie jakichś prawd maluczkich, z których nie wycisnąć niepodobna. Gdy wieki pracują na wyrzeźbienie posągu, gdy kują taką świątynię w skale i głazom nadają formy, które się w ich myślach zrodziły — mam za świętokradztwo niszczenie takiego dzieła, choćby dziś z niego szopy na siano zrobić nie można.

— Kochany hrabio — przerwał Filip szydersko — puściłeś się tak daleko, iż mi cię żal, bo zabłądzisz. Musielibyśmy więc siedzieć z założonymi rękami około przeszłości, dać jęj porastać mechami i nie śmielibyśmy jęj dotknąć? Taby nas doprowadziło do chińskiego zastoju.

— Czy wolisz, abyśmy burząc, doszli do egip-

skiego zapomnienia, które na ruinach pradziadowskich dzieł nie wie o nich i przypisuje je duchom?—rzekł August.—We wszystkiem potrzeba miary; ani chińskiego bałwochwalstwa, ani egipskiej ślepoty... Czyściec posagi, ociérajcie mechy, nie burcie tylko ich i nie wywracajcie... Szanujcie choć dzieła sztuki.

— A jeśli to są potworne bałwany? — spytał Filip.

— I w takim razie nawet należą, jako pomniki historyczne, do materiałów rozwoju pojęć narodu.

Mówiąc to, hr. August spojrzał na Wiktora, jak gdyby wyzwał go na pomoc sobie, a ten dodał natychmiast:

— We wszystkiem potrzeba miary, jak hrabia powiedział. To co za prawdę służyło obalić, nie będąc pewnym iż się w miejscu ruiny znajdzie co postawić, może doprowadzić do zniszczenia wszystkiego, do wygaszenia życia.

— Mówcie panowie co chcecie — rozśmiał się hrabia Filip.—Ja krytykę we wszystkiem, a w dziełach najwyżej cenię. Ona trzebi i wymiata.

— Niszczy skutecznie—przerwał August—jest też potrzebną w chwilach, gdy rozrost bywa zbyt bujny. Nie przeczę. Natura także płodzi krytyków, w postaci niedojrzanych grzybków i pleśni, napadających zawsze na zbytecznie, kosztem innych tworców, rozpladzające się istoty. Mamy tego przykład na *Oidium Tuckeri*, na chorobie kartofli. Prawa świata duchowego idą równole-

gle i anologicznie z prawami bytu materyalnego. Mówmy sobie na pociechę, że co jest konieczném, musi być na coś potrzebném.

Księżna zlekka зіéwnęła. Postrzegłszy to, hrabia August się uśmiał.

— Nie moja wina—rzekł półgłosem—iż księżna się nudzi. Hrabia Filip przyniósł dziś zarodek nudów tych z sobą.

Obwiniiony, nie gniéwając się iż go oskarżono, skłonił głowę, jakby się przyznawał do grzechu.

— Przepraszam, jeżeli mimowolnie zatrąłem rozmowę — odezwał się. — Proszę mi naznaczyć pokutę; będę się starał ją spełnić.

— A, dobrze—wyrwała się Ahaswera—za pokutę powiedz nam pan jaką plotkę, któraby wszystkich zaciekawila, poruszyła, a choćby rozśmieszyla.

— O! wszystkich to trudno—wtrąciła księżna Teresa. — Ja za siebie i za gospodynię ręczę, że nas dwóch plotka nie zabawi.

— Zatem—poprawila się Ahaswera—skomponuj nam, hrabio, coś takiego, coby choć kilka osób odżywiło, bośmy skostnieli od waszych mądrych rozpraw o duchu, materyi i krytyce.

Hrabia Filip udał zamyślenie głębokie, chociaż mu się usta nałogowo śmiały.

— Boję się—rzekł.—Gdybym zaczął komponować, a puścił cugle wyobraźni, mógłbym nie zachować téj miary, którą panowie zalecają.

— No, to ja pana hrabiego wyręcę plotką — odezwał się poeta.

Zdziwieni spojrzeli nań wszyscy, gdyż plotki nie wchodziły w atrybucyę Emila Maryi.

— Przypadek zrządził — ciągnął dalej — żem dziś poszedł studyować obraz — rozumié się oczyma tylko — u Doriów. Tu mnie spotkała niespodzianka. Znalazłem artystkę, Polkę, nieznaną i niezmiernie... zajmującą. Cóż tragicznego nosi wypiętnowaném na sobie...

— Zdaje mi się że wiem o kim chcesz pan mówić — przerwał Wiktor. — Jeśli to jest osoba, której się domyślam, wistocie niepodobna na nią spojrzeć bez obawy o jój losy.

Hrabia Filip zmarszczył się, słuchając, i zwrócił do poety.

— Opisz-że nam pan tę tragiczną niewiastę.

Chciał to powiedzieć szydersko, lecz głos go zdradził; był zaniepokojony.

— Któż to jest? jak wygląda? — zaczęły śpiesznie dopytywać się księżna i Ahaswera. — Prosimy o szczegóły!

Wiktor zamilkł i wskazał na poetę, który rad z tego, mówił, głos podnosząc:

— Mogę państwu zdać tylko sprawę z własnego wrażenia. Jest to kobiéta, mogąca mieć lat powiedziałbym około trzydziestu, gdyby lata czytać się dawały tam, gdzie cierpienie je podwajało. Z twarzy jój, z ruchów, z postawy widać że ciężkie musiała przejść koleje i zawody. Nie

brzydka, niepiękna, nie wiem... Twarz ma pełną charakteru, nachmurzoną, jak powiedziałem, tragiczną. Z ust jęj, przysięgłbym, niejedną jęk musiał wylecieć, niejedno przekleństwo. Słusznego wzrostu, brunetka, oczy czarne, piorunujące. Cóż niezwykle oryginalnego i coś straszliwie zbolalego.

— Jest to — dodał Wiktor — ktoś, co tu przybył dla studyów, zmuszony może im się poświęcić. Smutna jakaś historia! Odgadnąć można, iż sztuka dla niej niedawno jeszcze musiała być zabawką, a dziś stała się powołaniem, w braku innego.

— Mówiłeś pan z nią? — zapytała księżna Wiktora.

— Kilka słów za ledwie — odpowiedział zapytany. — Byłem zmuszony przyjść jęj w pomoc, widząc że jest obcą i sama nie potrafi dać sobie rady. Nie zabiérałem właściwie znajomości, bo oddawszy posługę nie znaczącą, nie chciałem się narzucać, zwłaszcza gdy postrzegł, że jest drażliwa i nierada, aby się do niej zbliżano.

— Bardzo słusznie, bardzo rozumnie — odezwała się śmiejąc Ahaswera — iż nie ufa ludziom, a szczególnie ję artystom. A pan zupełnie na artystę wyglądasz.

— Na Cygana, niech księżna powie — rzekł, śmiejąc się, Wiktor. — Niestety! Proszę mi wierzyć, żem sobie nie nadał tęj fizyognomii. Boleję

nad tém, że mi ją narzuciła natura, i radbym zerzść to fałszywe piętno.

— Dlaczegoż fałszywe?—zawołała Ahaswera.

— Bo do imienia artysty nie mam prawa — rzekł Wiktor — a w charakterze jedną tylko niezmierną miłością niezależności zbliżam się do Cyganów.

Wczasie tego krótkiego epizodu, hrabia Filip, którego twarz nagle się zmieniła, pociągnął za rękaw poetę, dał mu znak i uprowadził do kąta, chociaż nie byli nigdy z sobą w bliższych stosunkach.

— Kochany poeto—odezwał się cicho — mam ważny powód, dla którego chciałbym wiedzieć koniecznie, jak wygląda ta niby artystka tragiczna. Nie chcę się o to dopytywać tego pana, którego znam mało... może będziesz łaskaw...

Emil Marya musiał być rad z tego, że hr. Filip go zapotrzebował, i rozpoczął opis twarzy, ubioru, wyrazu nicznajomój—jaknajbardziej szczegółowy. Filip, zmarszczony, słuchał z zajęciem wielkiem.

— Chcę być dokładnym—dokończył poeta. — Przypatrzyłem się téj twarzy, chcąc ją sobie narysować w albumie, mogę więc, jak w pasporcie, na końcu znak szczególny dodać, że na lewym policzku ma czarną plamkę.

Spojrzał na Filipa: stał niemy i jak osłupiały; dopiero po chwili, wracając do przytomności, podziękował zimno i poszedł zająć swe miejsce



u stołu, nie mieszając się już wcale do rozmowy.

— Mów że nam pan co więcej o téj artystce— wyzywała księżna Teresa Wiktora.— Jestem ciekawa, gdzie ją spotkać można.

— Sądzę że w galeryi, w której kopiuje — rzekł Wiktor zimno.

— Jest-że piękna wistocie?—dodała gospodyni.

Wiktor poruszył ramionami, a poeta pośpieszył z odpowiedzią:

— Piękną, w zwykłym znaczeniu tego wyrazu, nie jest wcale. Twarz niepospolita, rysy regularne, ale zmęczone i zwiędłe. Wypiętnowało się na nich cierpienie, a jednak czuć, że tam pozostała niewykwitła młodość, któraby za pierwszym słońca promieniem odżyła.

Ahaswera uderzyła poetę po ramieniu.

— Z wielkim zapalem mówisz pan o niej i odczuwasz cudownie jej dzieje. Miałabyś być zakochanym?

— Niestety! — zawołał poeta — chociażbym chciał, nie mogę się zakochać.

— Dlaczego? — spytała księżna Teresa.

— Może dlatego, iż na dwie miłości jedno serce nie starczy!

Półzartem powiedział to Emil, a wyrazem twarzy zakłopotanym pobudził wszystkich do śmiechu, nawet Ahaswerę. Tylko hr. Filip, oparty o poręcz jego krzesła, pozostał z twarzą znudzoną i kwaśną.

— Teorya fałszywa!—odezwał się hrabia August.—Wprawdzie powszechnie jest przyjętą, lecz warto żeby ją krytyka obaliła. Hrabio Filipie! Zagadnięty tak, nie raczył odpowiedzieć; patrzył w ziemię.

Wszyscy uważali, iż nagle zaszła w nim jakaś zmiana, którą nie wiedzano czemu przypisać.

— Herezye!—zawołała Ahaswera — a głosi je, kto?... hrabia August! Ledwie uszom wierzę!

— Tak jest, śmiem twierdzić—dodał hrabia — że miłość czysta, niecielesna, duchowa, może się na kilka ideałów podzielić.

Ahaswera gorąco wystąpiła do walki.

— Dziękuję panu za taką miłość — poczęła — która w jednej uwielbianej istocie nie znajduje wszystkich możliwych doskonałości. To co hrabia tak niewłaściwie miłością nazywasz, już nią być nie może, bo ma w sobie robaka analizy: rozbięra, sądzi, a miłość powinna być ślepą—szaloną, bezgraniczną! Pfe! pfe!—dokończyła—miłość pokrajana na kawałki...

— Les morceaux en sont bons! — Szepnął francuzkiem wyrażeniem Wiktor pocichu.

— Ja zaraz jutro — zwracając rozmowę, odezwała się księżna Ahaswera — lecę do Doriów i muszę widzieć tę... Nie wiesz pan jak się zowie? — spytała Wiktora.

— Nie mogłem, anim chciał jój pytać o to — rzekł zimno Wiktor.

— Ani czy jest panną, wdową, lub mężatką?

Wiktor odpowiedział milczeniem.

— Sądę z tragicznego wyrazu twarzy—dodał Emil — iż wdową, alho... istotą opuszczoną być musi.

— Ale żeby się téż można nagle tak zająć niewiedzieć kim—z przekąsem rzekł hr. Filip.— Może jakaś awanturnica.

Surowy ten sąd zahuczano protestacyami; hrabia umilkł.

— Hrabia—śmiejąc się i zwracając ku niemu, dorzuciła Ahaswera—zamiast tak okrutnym być dla téj nieznajomój, powinienbyś owszem starać się do niej zbliżyć i bodaj zakochać. Nie takbyś się nudził w Rzymie.

— Księżnęby to bawiło, gdybym ja, zamiast czasem się nudzić trochę, męczył się i trapił?—odparł Filip.

— Nie wiem co hrabia woli.

— Ja bo nie nudzę się nigdy — rzekł kwaśno hrabia. — Niecierpliwie się tylko czasami, a to wcale co innego.

— I tém niema się co chwalić — szepnął August.

— Aby się nie nudzić, na to jest jeden sposób — odezwała się księżna Teresa. — Potrzeba koniecznie mieć cel jakiś w życiu. Jeżeli losy go nie nastrecają, człowiek sam stworzyć go sobie powinien.

— Tak jest—rzekł Wiktor.—Ażeby zaś oszczędzić sobie trudu nieustannego tworzenia małych

celików, odrazu sobie założyć musi niedościgniony.

— Otóż to najtrudniejsze! — odparła księżna Teresa.—Czasem jednak małemi rzeczami bardzo szczęśliwym być można. Znałam biednego starego kawalera, który był póty najnudniejszym i najbardziej znudzonym z ludzi, póki nie zaczął zbierać stariej porcelany. Filiżanki i talérzyki zapelniły mu pustkę życia.

— Słowo daję — wyrwał się hrabia Filip — jeżeli tak, to gotów jestem jutro rozpocząć kolekcya korków od butelek.

— Wierz mi, hrabio, i korkiby cię uszczęśliwić mogły, gdybyś miał tylko cierpliwość i wytrwałość.

Śmiano się trochę z korków, a Filip zamilkł posępny. Hrabia August począł opowiadać historijkę jakąś, na poparcie teoryi księżny.

Niektóre osoby wstawały od stołu; towarzystwo rozpraszać się zaczęło. Ahaswera słuchała swojego poety, który żywo, z zapalem prawil jęj coś, widocznie rozgorączkowany i natchniony.

Liza, wstając z innymi razem, znalazła się wypadkiem niedaleko Wiktora, w chwili gdy ten zapytywał pana Ferdynanda o freski, znajdujące się w drugim pokoju, bo nie widział ich jeszcze.

Mowa była o tych sławnych obrazach z historyi Józefa, które Overbeck, Schnorr, Veit, w pierwszych chwilach narodzin szkoły katolickiej malarstwa, czerpać mającój natchnienie w chrze-

ściańskich tradycjach sztuki pierwotnej, nakręślił na ścianach tego właśnie domu, naówczas zajmowanego przez p. Bartholdy.

— Jakto?—wmieszała się gospodyni, podchodząc ku nim — pan nie oglądałeś jeszcze tych pięknych obrazów, dla których tu ciągle, codzień przychodzą mnie nudzić Anglicy? Pójdź-że pan, ja mu je pokażę sama.

Złożyło się właśnie w téj samej chwili tak szczęśliwie, czy tak niefortunnie, że pana Ferdynanda księżna do siebie zawołała, a pani Liza sama już musiała gościowi towarzyszyć do drugiego pokoju, co ją troszeczkę zmieszało.

Zatrzymała się, zamyśliła.

— Wiész pan co?—rzekła, gdy już miała się ku drzwiom skierować.—Oglądać te freski po nocy, przy świetle niedostateczném, to znaczy pozabawiać się dobrowolnie całego wrażenia, jakie one uczynić mogą. Piérwsze wejrzzenie na dzieło sztuki powinno być obrachowaném, bo ono często szkodzi i zostawia po sobie w umyśle wrażenie niezatarte. Wprawdzie mógłbyś je pan potem widzieć we dnie, ale toby już nie było toż samo...

Wiktor wstrzymał się i cofnął od progu.

— Masz pani wielką słuszość—rzekł—uwaga jest niezmiernie trafna. Piérwsze wrażenie pozostaje niezatartém. Nie chcę dziś widzieć fresków, a poproszę p. Ferdynanda, aby mi je którego innego dnia, nie trudząc pani, pokazał.

Pani Liza teraz osobliwszym sposobem usposobioną była dla człowieka, który niedawno taką w niej obudzał trwogę.

— Przyjdź pan jutro na obiad do nas—odezwiała się śmiało.—Jadamy wcześnie, o trzeciej, a freski o téj porze najlepiej oglądać.

Wiktor, tą uprzejmością zdziwiony, nie umiając nawet dziękować, skłonił się tylko.

Zaproszenie wyrzeczone było półgłosem, nieśmiało, pocichu, jak gdyby pani Liza nie życzyła sobie, by je reszta gości słyszała.

Wrócono natychmiast do towarzystwa.

Hrabia Filip, zawsze zapamiętałe zakochany w gospodyni, dojrzał zdaleka tę króciuchną poufną rozmowę i jeszcze się okrutnieję zasepił.

Wiktor, idąc obok niej, miał czas, nim się połączyli z resztą gości, dodać jeszcze:

— Mimowolnie to, co pani tak trafnie powiedziałś o obrazach, zastosowuję w myśli do ludzi, i przypominam sobie, jak pierwsze wrażenie, które musiałem zrobić w domu pani, mogło mi wiele zaszkodzić.

Liza uśmiechnęła się.

— Z ludźmi—rzekła—dzieje się wcale inaczej; pierwsze wrażenia zaciérają się łatwiej, a często wywołują nawet zupełnie przeciwne. Człowiek jest w sobie tak rozmaity, iż w różnych chwilach bywa do siebie niepodobny.

Hrabia Filip zbliżył się właśnie do powracają-

cój pani; Wiktora zagadnęła księżna i odciągnęła ku sobie.

— Artysta czy dyletant, Cygan czy baron incognito—odezwał się Filip z przekąsem do gospodyni—ten pan Wiktor ma osobliwe szczęście. Piérwszego dnia, gdy się tu ukazał, zrobił wrażenie przerażające; a dziś zdaje się en train zostania ulubieńcem księżny Teresy i pani.

Liza ruszyła ramionami.

— Czy hrabia znajdujesz, żeśmy dla niego niedosyć niegrzeczne?—spytała.

— Notuję fakt, iż ma szczęście obie panie zajmować—tłumaczył się hrabia. — Niewszystkich jest to udziałem. Ja mu zazdroszczę!

Śmiałem wesołym, choć nieco przymuszonym, odpowiedziała mu gospodyni. Musiał on na nim przykre uczynić wrażenie, bo zaciął usta i ustąpił.

Nie mając na kim pomścić się za własny zły humor, Filip, dostrzegłszy że Ahaswera zajęta była bardzo żywą rozmową ze swoim poetą, umyślnie zbliżył się ku osamotnionej parze, aby przerwać *tête à tête*, i przemówił szydersko:

— Nie przeszkadzam?

— Przyznaj się—zawołała, podnosząc się księżna—że radbyś przeszkodzić. Miałbyś w tém prawdziwą przyjemność. Nieprawdaż? Otóż na nieszczęście nie przeszkodziłeś, bośmy grzésie obmową i wyratowałeś nas od potępienia.

— A kogożście państwo obmawiali?—zapytał hrabia.



— Pewnego nieszczęśliwego człowieka, który nadaremnie wzdycha do bóstwa, a ono nie chce go ani słyszeć, ani rozumieć.

Hrabia Filip próbował się uśmiechać.

— Gdyby zakochani rad słuchali—dokończyła Ahaswera—powiedziałabym mu, ażeby gdzieś indziej zaniósł westchnienia swoje... bo szkoda szafować nimi nadaremnie. Są to przecie drogie wyziewy duszy!

— Westchnienia, które księżna tak poetycznie nazwałaś—odparł hrabia poważniej niż zwykle—rodzą się w pewnych dobach życia, czy jest czego wzdychać, czy nie. Cóż zrobić z nimi? trzeba je wyszafować bez skutku, aby piersiom ulżyć!

Rozmiała się z tój teoryi księżna i zaczęła wybierać do domu; poeta *servente* szukał już chustki i kapelusza swój pani, kazała mu bowiem odprowadzić się, co Emila widocznie wprawiało w dumę.

— Patrzaj-że—szepnął na ucho hr. Augustowi Filip—Ahaswera nie na żarty przywłaszczyła sobie wieszczka i geniusz wprzęgła do swego rydwanu. Gotowa go pociągnąć do Biarritz. Żalby mi było biedaka, bo choćby zawiozła z sobą, któż ręczy, czy go gdzie na drodze, znudziwszy się pieśnią, nie porzuci.

Hr. August pośpieszał, pożegnawszy się, ku drzwiom, aby się pozbyć towarzysza, który go jednak dogonił na schodach i razem z nim, ba-

wiać go rozmową, mniej jednak zabawną niż zwykle, powrócił do hotelu.

Gdy się znalazł sam w swém mieszkaniu, hr. Filip rzucił kapelusz w ką i krzyknął:

— Tego mi tylko brakło!

Padł w fotel, spartł się na rękę i, zadumany, przetrwał tak do późnej nocy.

---

Stara Anunziata, przygarbiona, pomarszczona, łysa, siwa, kaszląca, ale zawsze uśmiechnięta, tego dnia przeszła już razy kilka z miotłką i szczotką w rękach po pokojach, zajmowanych przez Wiktora.

Za każdym razem spoglądała zukosa na stojącego przed oknem, przez które nic widać nie było, lokatora swojego i zdawała się zaciekawiona nim jak zagadką, chociaż znała go już oddawna. Wiktor stał tak jakoś zadumany i zatopiony w sobie, iż nawet szłapania staruszki nie słyszał.

Był nawpół ubrany, a rozłożone przed nim suknie okazywały, że miał wkrótce dokończyć tego rozpoczętego dzieła, które mu myśli natrętne przerwały.

Z oczyma wlepionemi w odrapany mur przeciwległy, na którym z okien drugiego piętra wywieszona drapowała się świeżo uprana bielizna ledwie majacząca przez zabrukane szyby, z brwią ściągniętą, z ustami zakąszonemi, stał już tak do-

bry kwadrans, a Anunziata, do której nie przemówił nawet, ani się ku niej odwrócił, dreptała niespokojnie, widząc go tak zamyślonym.

To mu się rzadko trafiało.

Włoskie sługi, choć jak wszyscy śmiertelni, lubią denari, mają to do siebie, że się jakoś, w stosunkowo nawet krótkim czasie, przywiązują do swych panów. Przetrwało to snadź tradycyjnie z tych czasów, gdy rzymscy patrycyusze domową swą czeladź zwali familią i gdy niewolnicy nawet i wyzwolenicy, w dobrych i złych losach rodzin do których należeli, mieli udział wielki. Włoski sługa niema zbytnej uniżoności dla pana, ale z nim wchodzi prędko w rodzaj poufności, która przybiera formy serdeczne.

Taką była i stara Anunziata, prosta babusia, którą Wiktor tak obchodził, jakgdyby był synem jej, lub wnukiem. Widziała go w jakimś nadzwyczajnem usposobieniu, smutniejszym niż zwykle, pogrążonym w sobie—niepokoilo ją to i budziło obawę.

Potrzebowała odkryć tę tajemnicę. Zwykle widywała swojego lokatora tak zawsze jednakim i spokojnym, iż stan ten wyjątkowy dla niej zwiastował jakiś wypadek, o którym dowiedzieć się chciała.

— Co to mu jest?—szeptała, przechadzając się z narzędziami do oczyszczania, których jej właśnie w tym pokoju używać nie było wolno... Czyby się czuł chory?

Staruszka odchrząknęła raz i drugi, ale Wiktor nie spojrzał na nią. Nareszcie zniecierpliwiona przyszła doń powoli i zlekka pociągnęła go za rękaw, twarz nastroiwszy do zwykłego dobrodusznego uśmiechu.

Wiktor z wolna odwrócił się ku niej.

— Czego chcesz, moja stara?—spytał łagodnie, jakby przebudzony ze snu.

— E! e! nie nie chcę!—rzekła z cicha—tylko radabym wiedzieć, co wam jest? Stoicie już może z pół godziny, patrząc na ten mur brzydki. Cóżście tam zobaczyli?

— Muru nawet nie widziałem—odparł Wiktor, siadając w krzesło.

— A o czémżeście myśleli?

— O czém człowiek myśleć może, starzejąc?—zapytał Wiktor.

Stara, niezwykłym pytaniem zagadnięta, twarz oparła na rękę i poczęła także rozmyślać nad odpowiedzią. Milczała chwilę, westchnęła i ręką rzuciwszy, dała znak, że nie wie co ma odpowiedzieć na to.

Wiktor siedział znów zadumany. Staruszka nie odchodziła.

— Powiedz ty mi—odezwał się po długim przestanku—gdyby ci nanowo życie kazano i rozpocząć coś już przebyła, czybyś życie ofiarowane przyjęła?

Anunziata wsłuchiwała się i mruknęła, aby jój powtórzył pytanie, którego dobrze nie zrozumia-

ła. Zmarszczyła siwe brwi gęste. Nierychło się mogła zebrać na słowa; badała duszę własną. Zwolna zaczęła potrząsać głową; widać było niepewność i walkę; wostatku rękę odjęła od twarzy i zawołała krzykliwie:

— No! no! Grazie tante! (Nie! nie! Bardzo dziękuję). Jednego życia dosyć. Basta!

Wiktor się uśmiechnął.

— Otóż wiesz już—odezwał się—nad czém ja dumalem, stojąc tak długo; nad tém, że życia skończonego drugi raz rozpoczynać niewarto, kiedy się wie że, bądźcobądź, ono się łzami skończyć musi.

Anunziata ciekawie popatrzyła na mówiącego, postąła jeszcze chwilę nad nim, spoglądając z politowaniem, i powlokła się nazad, niby pyły zmiotając po drodze.

Do drzwi dzwoniono właśnie, a na progu ukazał się pełen życia, wesóły, rozpromieniony pan Ferdynand. Ten był jeszcze w owym okresie młodości, w którym przy jego temperamentcie ciężaru życia wcale się nie czuje. Uśmiecha się wszystko, a jedna pogardliwie odpychająca Pepita łatwo nazajutrz inną uśmiechającą się twarzyczką zastąpioną być może.

Ferdynand wchodził z piosenką na ustach, pozdrawiając uprzejmie staruszkę, która pięknej jego młodości rada była i witała go wesoło.

Był on jednym z tych ludzi, nawykłych spijać z życia śmietankę, broniących się mężnie wszyst-

kiemu, co zaćmić może jasne słońce dni wesołych. Potrzebował być szczęśliwym koniecznie, bo nie-szczęścia znieść nie miał siły. Zagrożony wyjazdem z Rzymu, gdzie sobie różne piękne pozasnuwał marzenia, na tle włoskiego krajobrazu, pan Ferdynand lżej teraz oddychał, bo pani Liza myśl swą zmieniła, lub odkładała przynajmniej. Zdawało mu się iż to winien był jój fantazyi (tak ją nazywał) dla Wiktora; zatém chciał ją bardzo zbliżyć do niego.

— Niechby się sobie biédna kobiécina rozewrała—mówił w duchu.—Jest tak stąteczna, poważna, surowa, że się o nią wcale obawiać nie potrzebuje, a radbym żeby ją co zabawić i zająć trochę mogło. Wiktor zdaje mi się téż bardzo przyzwoitym i niepłochym człowiekiem. Liza powtarza ciągle że za mąż iść nie myśli; lecz żeby dlatego miała się stosunków z ludźmi wyrzekać....

Domyślając się i utwierdzając coraz w tém przekonaniu, że Wiktor siostrę zajmował, że obudzał w niej ciekawość, Ferdynand, przez miłość dla niej, chciał pośrednictwem swém bliższe stosunki ułatwić. Trochę się więc natrętnie narzucał Wiktorowi.

Wczorajsze zaproszenie na obiad ostatecznie rozwiązywało wątpliwości. Pani Liza wyrwała się z niem pod wpływem jakiegoś chwilowego natchnienia, któremu się oprzeć nie umiała.

Wkrótce potem pożałowała tego, gryzła się,

wyrzucała to sobie, czuła się skompromitowaną; niepokój nią owładnął. Brat wszystko to ukradkiem zauważył i mężkie wnioski robił z tego stanu duszy.

— Fantazyja kobięca — mówił sobie — przejdzie to. A czemużby sobie nie miała jój pozwolić?

Obawiając się, aby Wiktor albo się nie spóźnił, lub nie wymówił, bo wiedział jak był dziki, Ferdynand postanowił sam zajść po niego i dla większej pewności zabrać go z sobą.

Serdecznie rad był siostrze służyć.

Biédna pani Liza, popelnivszy to zaproszenie, którego się później zawstydzila, była zmuszoną poniekąd brata wciągnąć w swą sprawę i poczęści wtajemniczyć. Obawiając się, aby o tym obiedzie nie wygadał się przed kim, przyznała mu się, że była zmuszoną zaprosić, że to ją kłopotalo bardzo, bo ludzie gotowi to byli po swojemu zaraz niegodziwie tłumaczyć. Prosiła go, aby na siebie wziął całą winę, a najlepiej nikomu o tém nie wspominał.

Ferdynand, zaszczycony tém zaufaniem, które go rzadko spotykało, bo siostra słabość jego znała, bardzo był z całego obrotu sprawy i składu tych okoliczności szczęśliwy. Przecież mógł się jój przydać na coś. W takiem usposobieniu różowém zjawił się w progu, poczynając bardzo złą, forestyerską włoszczyzną, pocieszną rozmowę ze starą Anunziatą.



Usłyszawszy głos jego, znajomy dobrze, Wiktor conajprędzej dokończył ubrania.

Gdy Ferdynand wszedł do pokoju, znalazł go już prawie do wyjścia gotowym.

— Ponieważ mi bardzo szło o to, abyś szanowny pan nam nie skrewił, a lękałem się roztargnienia, zapomnienia, przeszkody jakiegś, stawiam się więc sam, żeby go zabrać z sobą. Będziemy mieli czas przed obiadem dobrze się freskom przypatrzeć. Mówią że są tego warte. Ja, przyznaję się, nie w nich tak osobliwego nie widzę; kolory mi się wydają szare, wszystko jakieś smutne; lecz inni się nad niemi unoszą.

Wiktor prosił się i spocząć trochę, dzień bowiem, choć po burzy, znowu był parny, a przechadzka w tej godzinie nużąca.

— Ja już dziś zbiegałem się dobrze — wesoło odezwał się młodzieniec. — Ale, ale: wiesz pan że i ja zostałem zaintrygowany tą artystką, o której wczoraj mówiono. Poleciałem jej szukać do Doriów.

Wiktor się uśmiechnął.

— I cóż? — zapytał.

— A, widziałem ją — rzekł Ferdynand obojętnie. — Ale z nią to tak, jak z temi freskami. Nie wiem, może jest piękną, tylko nie dla mnie. Słyszałem że hr. August, bo i on i nasze panie (oprócz siostry mojej) wszystkie się tam znalazły — hr. August powiadał, iż w tej piękności jest wiele stylu i wyrazu. Ja znalazłem ją żółtą,

zwiedła, kwaśną a tak zatopioną w sobie, w swój pracy, iż ledwie ukradkiem w oczy jój zajrzeć było można. Zresztą — ciągnął dalej Ferdynand — powagi ma wistocie wiele; przypomina czy wielką damę, czy doskonałą aktorkę. Mnie się nie podobala. Wszyscy nasi znajomi, oprócz hr. Filipa, zaintrygowani nią wielce. Księżna Teresa zbliżyła się do niej, pod pozorem zapytania, czy rozpoczęta kopia jest do nabycia. Odpowiedziała jój, zdziwiona nieco, że nie sądzi aby nabywania była warta, gdyż nie ma jeszcze dosyć wprawy w tój pracy. Księżna usiłowała przeciągnąć rozmowę, lecz nieznajoma widocznie sobie nie życzyła ani zbliżenia, ani zajmowania sobą. Odpowiadała półsłowami, nie patrząc, i grzecznym ukłonem pożegnawszy tę dobrą księżną Teresę, wróciła bardzo pilno do roboty. Innym się całkiem nie powiodło — dokończył Ferdynand.

To mówiąc, spojrział na zegarek; czas już iść było. Pod pozorem szukania cieniu w małych uliczkach, miał w myśli przeprowadzić Wiktora tak, aby wszelkiemu możliwemu zapobiedz spotkaniu ze znajomymi.

Wyszli wreszcie i dostali się szczęśliwie, niepostrzeżeni, jak się im zdawało, na Via Sistina. Gdy weszli, pani Lizy nie było w salonie i brat sam wprowadził zaraz milczącego Wiktora do fresków.

Gospodyni wprowadzie oddawna była ubraną

i do przyjęcia gotową, siedziała nawet w salce; ale dzwonek posłyszawszy, zlekła się sama nie wiedziała czego i zbiegła do swojego pokoju. Tu, przed zwierciadłem stanawszy, postrzegła, że na rzesach jój szklily się dwie łzy—łzy których zjawienia się nie czuła! Otarła je coperędzėj, ale smutku i trwogi odpędzić nie mogła. Wstydziła się sama siebie, tak była wzburzoną.

Wszystko, co się z nią od tych kilku dni działo, prawie mimo jój woli, dręczyło ją tém właśnie, że nawykła despotycznie panować nad sobą; teraz czuła się niewolnicą wrażeń, popędów, które brały nad wolą i rozumem górę.

Nie umiała ani się pokonać, ani sobie stanu tego wytłumaczyć.

Zabawiwszy chwilę w swoim pokoju i przejrawszy się w zwierciadle, powolnym krokiem, drżąc, poszła do gościa swojego. Na dzień ten umyślnie ubrała się nadzwyczaj skromnie. Miała na sobie lekką suknię czarną, bez żadnych ozdób i niczego, coby jój żałobę odżywić mogło. Prosty, biały kołnierzyk i rękawki czyniły ją podobną do starego portretu flamandzkiego Rembrandta; ale w stroju tym była tak cudnie piękną, tak odmłodzoną, tak jaśniejącą, iż sama, w zwierciadło spojrzawszy, zarumieniła się, jakby się pochwyciła na bezwiednéj kokieteryi. Ach! wiedziała o tém, że jój w téj skromnej sukni czarnej najpiękniej jój było. Spadała w szerokich, bogatych

fałdach dokoła, nadając ślicznój jój figurze wdzięk posagu starożytnego.

Nie czas już było zmieniać tego ubrania, w którym brat ją widział zrana; musiała wyjść jak stała. Kilkanaście kroków dzieliło ją od pokoju fresków. Nawykła do światła Liza wprędce odzyskała całą swą swobodę i przytomność.

Wsunęła się tak cicho, że brat nie posłyszał gdy weszła; ale Wiktor drgnął... poczuł ją przybywającą i zwrócił się ku niej z powitaniem. Oboje widocznie silili się na to, aby wzajem okazać się jaknajchłodniejszymi.

Niewielki znawca ludzi, Ferdynand jednak w téj ceremonialności, w téj ostrożności w obejściu się obojga, uczuł że fantazyja siostry nie była próżnym domysłem. Zupełnie obojętni ludzie nie spotykają się z tak obrachowanym chłodem.

Zaczęto mówić o freskach; Wiktor bardzo je pięknemi znajdował.

— Malarze — rzekł do pani Lizy—co się tu poraz pierwszy ośmielili próbować sił młodzieńczych na historyczno-religijnym przedmiocie, nigdy może nie stworzyli nic bardziej natchnionego nad cykl ten obrazów, zrodzony pod wrażeniem sztuki chrześcijańskiej, naiwnej, namaszczonej wielką wiarą. Żaden z nich później nie poszedł jnż dalej, choć Schnorr wyśpiewał Biblią całą. Z tym wdziękiem, zapożyczonym od Anioła z Fiesoli, od Luinich i mistrzów XV wieku, pozostali życie całe, powtarzając się, bo rozwinać dalej téj

melodyi niebieskiej, przerwanój wpływem pogańskim odrodzenia, nie zdołali, a rozstać się z marzeniem młodości serce nie pozwoliło. W historii sztuki ta szkoła katolicka Overbecka, potrosze i Schnorra, jest wysiłkiem rozrzewniającym, a próżnym niestety! Nie kończą się poemata, bo na ustach wieszczów, co je nucić zaczęli, śmierć swą pieczęć położyła. Prawnukom trudno uchwycić wątek ducha, który uleciał ku niebiosom. Więc martwe biorą fermy i cisną je do piersi gorącój, aby odżyły. I cienie te odradzają się na chwilę, ale mgliste i bezciclesne. Wyrosły z grobów i do nich wracają bezdzietne. Aby szkoła katolicka w, witnąć mogła, nie uwielbienia dla jój mistrzów potrzebą było, ale zbndzenia tego gorącego katolicyzmu, który ją zrodził. Niestety, ten już, jakim był wówczas, powrócić nie może. Wieki po nim przepłynęły, rozszarpały i podarły ziemię na której wyrósł. Na nowy posiów ona czeka.

Wiktor mówił, zapominając się, jakby sam do siebie. Widać było, że obrazy te zajmowały go mocno. Wyobraźnia przedstawiała mu tych młodych, pełnych zapału artystów, którzy tu na kradzionym ścianym kawałku, ożywieni ogniem świętym, szczęśliwi, patrzyli na wcielenie się długóżywionych myśli.

Dziś mało kto mógł i chciał uczcić ten plac zapasów, tak jak on na to zasługiwał.

Ciekawi patrzyli nań chłodnemi oczyma, pyta-

jąc się w duchu, co tu było tak znakomitego, by uwielbiać aż potrzeba?

Dla Wiktora widok to był rozrzewniający i podbudzający razem. Pod wpływem tych fresków stał się innym. Zapomniał na chwilę o téj pięknej jak anioł istocie, która słuchała go drżąca i przejęta. Natura artysty zbudziła się w nim i zadrgała na widok dzieł, które były więcej niż utworami sztuki, bo pomnikiem chwili niepowrotnéj w artystyczném życiu naszego świata.

Przebrzmiały te piękne dźwięki, ale echu ich dusza pobożna artysty z rozrzewnieniem cześć złożyć musiała. Chwilę Wiktor żył jakby w tych, co tu z trwogą i nadzieją kręślił pierwsze karty księgi, która nigdy dokończoną być nie miała.

— Nie umiałam nigdy wypowiedzieć tak dobrze com czuła, patrząc na te obrazy — odezwała się Liza, gdy umilkł. — Historya ich nie jest mi obcą. Obudzały one we mnie tęskn uczucia. Siaduję godzinami, patrząc na nie. Wy brażałam sobie nieraz, z jaką gorączką i trwogą przystępowali młodzieńcy do téj walki z zadaniem, którego czuli zuchwałość. Freski zestarzałe zdają się jeszcze niedawne i świeże, choć ci, co je tu w dniach swéj młodości rzucili, dawno leżą w grobach ostygli. Więcej niż pół wieku minęło może i cicho tu jak w grobie. Żyją tylko widma te, wywołane miłością wielką.

Słowo to wyrwało się pani Lizie mimowoli i rumieniec z niém na twarz wystąpił.



— Nie umarli oni — przerwał Wiktor z zapamiętem. — Zeszli, znikli, ale myśl ich pozostała żywa, mówi do nas. Wszystko co ją zrodziło, co towarzyszyło kolébce, co ją cierniem oplatało, poszło w proch, lecz dzieło ducha stoi niewzruszone. Może, jak Wieczernik Leonarda, poszarpane rozsypać się w kawałki, a jednak ze szczątków ich jeszcze myśl strzeli młodą i gorącą. A ileż to z tych obrazów zrodziło się potomstwa myśli, słów, uczuć i dzieł sztuki!

Razem z gospodynią począł się i Wiktor wpatrywać z kolei w pojedyncze sceny historyi Józefa, w towarzyszące im emblematyczne postacie ugary, uśmiechając się z dosyć nieforemnego żółtkowania ścian, z których każdego kawałka chciano korzystać.

Na rozmowie o sztuce zszedł czas do obiadu. Wiktor, zapierający się imienia artysty, dał dowód, mówiąc z takim przejęciem o tych freskach, iż nic go tak do życia przywrócić nie zdołało, jak sztuka.

— Pan-bo jesteś, pan musisz być artystą! — odezwała się, do stołu siadając, gospodyni.

Wiktor tak był ożywiony i widokiem obrazów i może cudną twarzą a głosem téj idealnej istoty, do której dziś zbliżyć mu się swobodniej było wolno, iż o zwykłej swój małomówności i trzymaniu się na wodzy zapomniał.

— Być może, iż stworzony zostałem na artystę — odparł. — Czuję to, ilekroć się zbliżam do



dział wielkich mistrzów, bo dla nich zapominam o świecie całym. Ale jakże mało jest ludzi, którychby kolébka tam stała, gdzie była powinna! Młodość moja zeszła w świecie, w stosunkach, w zajęciach, które mogły tylko rozbudzić artystyczne żądze, nie dając środków do ich zaspokojenia. Niedosyć mieć poczucie piękna, miłość jego, nosić w duszy ideał, dopominający się wcielenia — potrzeba jeszcze uczynić rękę myśli posłuszną, uzbroić się w siłę fizyczną wykonawcy. Na to ja ani czasu, ani sposobności nie miałem. Przyszedł potem przełom, katastrofa, która mnie rzuciła rozbitkiem na cudzą ziemię. Złamany człowiek, zapóźno chciałem nowe rozpocząć życie. Młodość nie powraca; tylko w tych latach, gdy i umysł i ręka są giętkie, uczyć się można. Później myśl i serce łamią ołówki i penzle kruszą. Chwytnie się namiętne sztuki rodzi rozpacz, bo w duszy dojrzały obrazy, a bezsilne palce już ich odtworzyć nie umieją.

— Ja jednak wyobrażam sobie — przerwała Liza — że choćby się arcydzieł tworzyć nie mogło, przecież to wcielenie myśli musi na chwilę czynić bardzo szczęśliwym i pochłaniać człowieka.

— Pochłania... tak jest — rzekł Wiktor — serce porusza, dozwala zapomnieć nawet o tych cierpieniach, które nigdy nie ustają; lecz szczęście to trwa, jak pani powiedziałaś, jedną króciuchną chwilę. Zaledwie myśl wzięła na siebie ciało, gdy wyobraźnia porównywa je do tego, co nosiła

w sobie, w złotych snach wypieściła. Niedoleżtwo tego co przyszło na świat przywodzi do rozpacz. Szczęście krótkie zmienia się w zgryzotę. Następuje zniechęcenie, gorycz, zwątpienie o sobie, tém boleśnniejsze, że przychodzi niespodzianie i rozpromienioną duszę ciemnościami zaléwa.

— Rozumiem tę boleść — odpowiedziała Liza — ale z twórczością w sztuce nie dzieje się to samo, co z nadziejami i ideałami całego życia naszego? Wierzmy w nie, chwytamy widma zwo-dnicze i szczęściem jest jeszcze, jeśli się w nicosć rozwieją, szlamu i kałów nie zostawiając po sobie.

— W życiu — dodał Wiktor ze smutnym pół-uśmiechem — największym szczęściem są nadzieje i pragnienia; o nie się modlić potrzeba.

— Dopóki się niemi ludzić można — dodała Liza. — Po smutném doświadczeniu źródło ich wysycha.

— Naówczas — rzekł Wiktor wesoło — trzeba z czynnego aktora na scenie stać się widzom zrezyguowanym i chłodnym; wybrać sobie fotel wygodny, sąsiedztwo niezbyt uprzykrzone i... dosiedzieć do zapuszczenia kurtyny spokojnie.

Pani domu potwierdziła to smutném uśmiechnięciem się.

— Pan jednak jesteś zamlody do zajęcia tego fotelu — szepnęła.

— A! pani, ja jestem niezmiernie stary — od-

parł Wiktor—nie tak latami, jak doświadczenia—mi wszelkiego rodzaju, które się w nich skupiły. Widzem tym już jestem od dość dawna i nie życzę sobie powracać na scenę.

Spojrzeniem zdawał się pytać Wiktor: A pani? Liza spuściła oczy i nie dała odpowiedzi.

Wśród téj rozmowy, trochę zapowaźnej dla Ferdynanda, młodzieniec, czując iż lepiej się było nie mieszać do niéj, czynnie się zajmował gospodarowaniem koło stołu. Rozporządzał służbą, dawał rozkazy, wysyłał ludzi, udając że mu na nic więcej nie stawało czasu.

Parę razy zwróciła się ku niemu siostra; odpowiadał jéj półsłowami i wracał do tego krztałania się, trochę nienaturalnego, za które jednak i ona i pan Wiktor wdzięczni mu być musieli.

Gospodyni, nie dając tego poznać po sobie, rzucałemi od niechcenia pytaniami starała się z gościa coś o jego przeszłości wyciągnąć.

Zaczęła kilka razy mówić o różnych kraju prowincyach, wspomniała o Wołyniu i z trwogą nową a niesmakiem przekonała się, że człowiek ten, którego ona nie знаła wcale, stosunki niegdyś ją otaczające, osoby najbliższe jéj znał bardzo dobrze. Nic mu tam obcém nie było... mówił o ludziach, miejscach, o wypadkach przeszłości, jak gdyby niegdyś był ich blizkim.

Na wzmiankę o nieboszczyku mężu pani Lizy, którą nieostrożne pytanie wywołało, rumieniec oblał ją; zamilkła, okazując tak wyraźnie pomie-

szanie, iż Wiktor, dostrzegłszy to, bardzo zręcznie zmienił przedmiot rozmowy, poczynając rzecz o Włoszech i Rzymie.

Chcąc czémś weselszém zabawić, żartował z towarzystwa, które tak chciwie zbiegło się oglądać nieznajomą artystkę, o czém mu pan Ferdynand powiedział.

— Księżna, wracając, wstępowała do mnie — dodała Liza, ochłonawszy z pierwszego wrażenia. — Ona jest wistocie zajęta mocno nieznajomą, ale u niej nie jest to prosta ciekawość. Złote serce ma w tém udział wielki; wyobraźnia tworzy już sobie na tém tle cały dramat, aby w nim odegrać mogła rolę anioła-stróża.

— Nie wiem co się stało hr. Filipowi — przerwał Ferdynand, rad łatkę mu przypiąć, bo wiedział że siostra go nie lubiła. — On, zwykle tak skory do szukania znajomości, do zawiązywania stosunków, w celu zupełnie przeciwnym niż księżna, na ten raz okazuje nietylko obojętność, ale wstręt prawie; on jeden nie poszedł nowozjawionej oglądać.

— Ty go zawsze sądzisz zasuwowo — stając w obronie, odezwała się Liza. — To biedny, także życiem zmęczony człowiek... wiele mu przebaczyć potrzeba.

— Ja też nie potępiam go, ale się nad nim lituję — odparł Fernando. — Nie ma jakoś szczęścia do nikogo. Powtarza ciągle, iż radby skończyć

życia włóczęgę, ożenić się i sięść u domowego ogniska, ale nikt go nie chce za towarzysza.

— Widać że na owę żonę przeznaczoną, jak mówi nasze przysłowie, nie trafił jeszcze—dodała.—Pan mówiłeś—zwróciła się do Wiktora—iż nie każdy, co jest zrodzony na artystę, zostać nim może. Tak samo są i upośledzone istoty, co na bratnie dusze, z któremiby szczęśliwe być mogły, nie umieją trafić. To jest podobno losem hrabiego Filipa.

— Zdarza się gorzej jeszcze—dodał Wiktor.—Czasem się przychodzi zawczasie, gdy istoty przeznaczone nie rozbudziły się jeszcze do życia; niekiedy zapóźno... a wówczas trzeba błądzić samemu.

— Życie wogóle zabawném nie jest—wyrwało się, jakby mimowolnie, pięknej wdowie.

Wstawali od stołu. Ferdynand znowu tak się zajął służbą, pilnemi sprawami kawy czarnej i likworu, że Lizę, niespokojnie się za nim oglądającą, samę z gościem zostawił.

We dwoje przeszli do salonu. Milczenie, przykre dla obojga, trwało dość długo. Gospodyni spoglądała na niego, on patrzył na nią chciwie. Mieniały się te wejrzenia, mówiące więcej niż słowa, niepokojące, zdające się jak błyskawice zapowiadać pioruny.

Lecz w momencie, gdy się groźny jakiś wybuch gotował, Wiktor, usiadłszy nieco opodał, spokojnie począł mówić o mieszkaniu pani Lizy, o fre-

skach, o uliczce, przechadzkach na Monte Pincio i okolicach, które znał doskonale. Gospodyni musiała mu być niewymownie wdzięczną, z oczu jego bowiem czytała, że wcale co innego miał na myśli i mogło mu się łatwo wyrwać coś drażliwego.

Wśród tego paplania o niczem, oboje ochłonęli. Popłynęły pytania i odpowiedzi tak znowu swobodnie, iż wchodzący i wychodzący ciągle Ferdynand, słysząc śmiechy i ożywione opowiadania, nie czuł potrzeby na pomoc siostrze przybywać.

Tak przesiedzieli dosyć długo. Zaczynało się mieć ku wieczorowi.

Przekonawszy się, że artysta nie był ani napaśtliwym do zbytku, ani nieostrożnym, że można go było, pomimo wejrzeń zdradliwych, utrzymać w pewnych granicach, nie obawiając się już wybuchu — pani Liza stała się z nim poufalszą i śmielszą.

Pod koniec rozmowy o Rzymie, wyraziła się nieśmiało że raz będąc tutaj, radaby skorzystać z pobytu, nauczyć się czegoś więcej, oswoić ze sztuką i jej arcydziełami. Dała nawet do zrozumienia, iż Wiktor mógłby jej być w tém pomocą, dodając zaraz:

— Wprawdzie małe kółko nasze z każdą poufalszej znajomości, z przyjacielskich stosunków, lubi zaraz złośliwe wyciągać wnioski, i to może odstręczać od obcowania z tymi, z którymi żyćby

najmiléj było. Ja jednak wcale na to zważać nie myślę.

I ta chęć uczenia się, i ta przestroga, oznaczały już pewne zaufanie, a śmielsze były, niż się po wdowie spodziewać było można. Sama ona czuła, że może posunęła się zadaleko, że była niezręczną; lecz w stosunku do Wiktora nie poznawała siebie.

Na wezwanie o pomoc w studyowaniu dzieł sztuki, Wiktor odpowiedział nieco zdziwiony:

— Jestem cały na usługi pani, choć nie wiem czy się na co przydać potrafię. Złośliwość ludzi, gdyby spróbowała swych zębów, to chyba na mnie, a ja mam skórę hypopotama. Wątpię jednak, aby mi ten zaszczyt uczynić chciano...

W śmiech to obróciła dość niezręcznie gospodyni i zagadano o czém inném; wejrzenia jednak krzyżowały się, daleko od słów wymowniejsze.

Przesiedziawszy tak zadługo, Wiktor wziął wreszcie za kapelusz, gdy Ferdynanda właśnie w pokoju nie było. Pani Liza spojrzała ku niemu z wyrazem życzliwości wielkiej, a gdy się zbliżył do niej, podała mu rękę i odezwała się przy pożegnaniu:

— Rachuję więc na to, że w panu mieć będę nauczyciela.

Tu zatrzymała się chwilkę i prawie niedosłyszalnych głosem dodała:

— I przyjaciela...

Wiktor nie umiał nic odrzec. Spojrzał na nią



blagajaco, jakby chciał powiedzieć: O pani! nie  
każ mi nanowo rozpoczynać życia!

Jakby zrozumiała to wejrzenie wymowne, Liza  
dorzuciła jeszcze:

— Pan doświadczyłeś wiele i chcesz być już  
tylko widzem życia; ja także oddawna uczyniłam  
to postanowienie. Możemy więc chwilę razem  
popatrzeć na scenę...

Wyszedł Wiktor tak wzburzony uczuciami ja-  
kiemiś, tak roztargniony dziwnie, że gdyby Fer-  
dynand mu się sam nie nastreczył, byłby go mo-  
że zapomniał pożegnać. Liza natychmiast pobie-  
gła skryć się w swoim pokoju i siadła rozmyślać  
nad tém, czy nie powiedziała zawiele, czy się za-  
nadto nie zdradziła. Serce jój biło mocno.

Kto znał jój przeszłość nieszczęśliwą, nie dzi-  
wowałby się, że za stracone, zmarnowane dni  
serce się dopominało nagrody; że przy spotkaniu  
z istotą sympatyczną, wybuch musiał nastąpić  
tém gwałtowniejszy, im bardziej był spóźniony  
i mniej spodziewany.

Wieczorem Eliza nie wiedziała, czy się ma ko-  
go spodziewać u siebie. Księżna wprowadzie  
przychodziła prawie codzień na herbatę, ale już  
raz była rano. Nie robiła ona ceremonij, lecz  
rachować na nią nie mogła. Z resztą dnia nie  
wiedziała co zrobić; ciążyła jój nagromadzonemi  
myślami. Sama pozostać z niemi nie chciała...  
Już miała posłać służącą po Ferdynanda, aby

Jój towarzyszył na Monte Pincio, gdy dano znać, że księżna Teresa jest w salonie.

Niezmiernie rada jój, wybiegła naprzeciw, układając twarz do swobody i wesela.

— Zameczam cię — poczęła księżna — ale się czułam smutna, nie wiedziałam co zrobić z sobą. Kunusia mnie wyprawiła do ciebie. Bądź miłosierną!

Liza białe rączki załamała.

— Ale ja nie wiem — zawołała — czym kiedy księżnie tak była wdzięczną za jój przybycie, jak dzisiaj, bo i mnie było duszno, smutno i tęskno.

— Są takie ciężkie, ołowiane w życiu chwile — poczęła, siadając, księżna Teresa. — Nie wiem co wywołało we mnie dziś ten ucisk duszy: czy widok téj biédnej a mężnej kobiety, która się na artystkę kształci z taką potęgą woli, a tak widocznym bólem w duszy — czy może ten zagadkowy Wiktor, który mi chodzi ciągle po myśli.

Posłyszawszy to imię, drgnęła pani Liza, ale natychmiast wróciła do pozornéj obojętności.

— Nie jestem z natury tak dziecinnie ciekawą — ciągnęła dalej księżna. — Moje wścibstwo i krzatanie się jest skutkiem próżniactwa i potrzebą zajęcia. Ten Wiktor pseudonimski nie byłby mnie może tak zaintrygował, gdyby nie a kamea, o której ci wspominałam.

Milcząc, skinęła Liza, iż wie już o niej.

— Do historyi téj szpilki — dodał

jąc, księżna — przybyło jeszcze jedno postrzeżenie, które najdziwniejsze domysły rozbudza. Pierwszy raz widząc tego Wiktora, sądziłam że go gdzieś widziałam, znałam... Łamałam nad tém głowę. Ruchy, ton mowy, wyraz twarzy przypominały mi kogoś niezmiernie znajomego... Męczyłam się tém długo, gdy Kunusia, która widziała u mnie w czasie herbaty tego nieznajomego, otworzyła mi oczy, a raczej nabawiła gorszego niepokoju.

Mówiąc to, księżna chwyciła rękę Lizy i, oglądając się niespokojnie, szeptała:

— Coś się zgadzało o tém, że nowy gość był u mnie. Wtém Kunusia powiada: „Czy téż to księżny nie uderzyło, jak ten pan nadzwyczajnie do nieboszczyka starego księcia-ojca podobny?” Zamilkłam, bo dopiero teraz uderzyły mnie te rysy, jakby familijne. Może to być przypadkowe, ale trzeba wiedzieć, że owa kamea, którą u niego spostrzegłam, była własnością starego księcia. Złóż-że to razem, moja droga, i powiedz mi, czy nie mam prawa niepokoić się i łamać sobie głowy?

Liza słuchała blada, równie jak księżna poruszona.

— Stary książę — mówiła dalej przybyła — był najprzykładniejszego życia. Nikt nigdy go nie mógł posądzić o żadne tajemne stosunki. Owdo- wiał wcześniej, a żenić się nie chciał powtórnie; żył bardzo samotny na wsi, nie wychylając się z domu prawie.

Po krótkim milczeniu, księżnie wyrwało się znowu:

— To podobieństwo i ta kamea, jak to sobie wytłumaczyć?

— Tak, wistocie—przebaknęła gospodyni nieśmiało — dziwne to bardzo; ale bywają czasem takie trafy, takie pozory łudzące...

— Nazywa się Gorajski—ciągnęła dalej księżna Teresa — ale to nie jest prawdziwe jego nazwisko. Rodzina tego imienia była w kraju, to wiem, ale nie w naszych stronach, nie na Wołyniu, z kąd pan Wiktor zdaje się pochodzić, bo zna tam wszystkich.

— Przekonałam się i ja o tém z rozmowy—dodała Liza, rumieniając się.—Stosunki nasze wcale mu nie są obce.

— Bądźcobądź — zakończyła księżna—muszę to rozjaśnić. Nie mogę pozostać z tém brzemieniem na piersi. Któż wie, to może nieszczęśliwy jaki człowiek rodziny mojego nieboszczyka, odrzucony, sam... siérola!

Dwie panie, szepcząc tak, przeniosły się ku balkonowi, chcąc świeższym odetchnąć powietrzem wieczoru, gdy drugi codzienny gość, hrabia August, wszedł pocichu.

Truło mu miłe towarzystwo pani Lizy nieodstępne ściganie Filipa, a tego wieczoru miał nadzieję, że go nie zastanie.

Odetchnął swobodniej, widząc iż wistocie nie było go w salonie. Gościa pożądanego księżna

szczególniej powitała z wielką uprzejmością. Był-to dawny przyjaciel domu, któremu się zwierzyć mogła. Zaraz też po przywitaniu wzięła go na stronę, żywo zaczynając się spowiadać ze swęj trwogi i domysłów, z historyi kamei i rysów familijnych Wiktora.

Hrabia August znał dobrze rodzinę całą książąt, mógł więc najlepiej osądzić, czy postrzeżenie panny Kunegundy trafne było, czy fałszywe. Wczasie opowiadania z twarzy słuchacza, zawsze jakby zastyglęj i mało się z łradzającęj, księżna nie wyczytać nie potrafiła. Słuchał z uwagą, długo ani przerywając, ani odpowiadając. Zdawał się jednak mocno uderzony historyą kamei.

— Podobieństwa pewnego fizyognomii, ruchów, tonu mowy nie mogę zaprzeczyć—odezwał się wreszcie.— Jednakże toby jeszcze niczego nie dowodziło. Trafiają się najdziwaczniejsze atawizmy w rodzinach szlacheckich, bardzo dalekie z sobą mających pokrewieństwa. Co do kamei zaś, dziś się ich tyle fabrykuje nawzór dawnych, fałszuje tyle...

— Ale ta-bo jest stara, nadzwyczaj piękna i wcale nie fabrykowana—przerwała księżna.— On sam powiada, że to pamiątka familijna.

Hrabia stał zamyślony.

— Nazywa się Gorajskim—dodała księżna— ale to jest un nome di combattimento... to nie prawdziwe jego nazwisko.

— Być może—przebąknął hr. August. — Dla mnie człowiek to sympatyczny! Hr. Filip chce w nim widzieć awanturnika, podejrzanego kome-dyanta; ale ja, com się rzadko zawiódł na pierw-szém wrażeniu, znajduję go bardzo przyzwoitym, choć nieco oryginalnym.

— Dlaczegoż się osłania jakąś tajemnicą, ukrywa?—zawołała księżna.—Mnie to niepokoi:

Hrabia August przebąknął coś niewyraźnego, jak gdyby dalszej o nim rozmowy chciał uniknąć. Uczuwszy to, księżna nie nalegała i ustąpiła po-woli zachmurzona i smutna.

Powrócili oboje do pani domu, także zamyślo-nój i pogrążonej w jakichś dumaniach, z których odezwanie się przyjaciółki dopiero ją przebudzi-ło. Wieczór obiecywał się smutnym, gdyż jeden Ferdynand, który wesół był zawsze, nie starczył na żywienie towarzystwa, a dobry humor jego łatwo w wielką wpadał trywialność. W podo-bnych wypadkach hr. August, zwłaszcza gdy mu Filip nie przeszkadzał, dawał dowody wielkiego mistrzostwa w naprowadzaniu i prowadzeniu rozmowy. Potrafił więc, usiadłszy przy gospody-ni, wywołać uśmiech na jej usta, a księżnę zmu-sić do zapomnienia trosk o kamei i zagadkowém podobieństwie...

---

Wiktor, powróciwszy do domu, zrzucił natych-miast ubranie dla salonu włożone, które zdawało

się ciężyc mu mocno. Namyslał się czy pójść orzeźwić się dziecinną rozmową z Pepitą, czy użyć przechadzki, a nareszcie wyszedł na Monte Pincio.

Po każdym zbliżeniu się do wielkiego świata, zdziały ten człowiek potrzebował zawsze swobodnego ruchu, towarzystwa, w którémby go nie nie krępowało, powietrza dla piersi samotnej włóczegi, do której nawykł, sam jeden długo błądząc po Rzymie.

W cieniu drzew na Monte Pincio znaleźć można zawsze gdzieś ławkę pustą, i popatrzeć na Rzym, usypiający w mrokach wieczoru, mrugający światelkami, jakby oczyma drzemiącemi.

Przesuwający się przechodnie ożywiają ten plan pierwszy pięknego obrazu, nie psując wrażenia całości. Z cygarem w ustach, Wiktor zasiadł wygodnie i oparł się o pień kasztana, gdy w dali spostrzegł kobietę, całą obwiniętą wielką chustką czarną, przechadzającą się zwolna, z głową spuszczoną.

Niekiedy stawiała, rzucając okiem na obraz, który dla niej zapewne był nowym; potem, jak gdyby inni przechodnie przypominali jej obowiązek poruszania się, szła znowu krokiem opieszalym.

Wiktor poznał w niej łatwo ową artystkę, tak mocno zajmującą całą kolonią polską.

Nie miał zamiaru zbliżać się do niej, ale mimowolnie oczyma ją śledził, starając się odgadnąć myśli biędnej samotnicy. Postać jej, ru-



chy, chód, zwieszona głowa, jakby ciężarem jakimś przygnieciona, dawały odgadnąć łatwo istotę znekana, z nowém swém położeniem nieoswojoną.

Wiktor starał się odgadnąć przeszłość téj wygnanki, zmuszonéj chwycić dla życia za penzle, dawniej służące jój tylko za zabawkę. W ciągu bardzo krótkiej z nią rozmowy dostrzegł, że nie musiała być oswojoną z niedostatkiem i artystyczną oszczędnością. Ubiór jój, nadzwyczaj prosty i niewykwintny, ułożony był jednak z pewnem staraniem nałogowém o wdzięki; ręce były delikatne, białe, arystokratyczne, niezapracowane, a wyraz twarzy nienawykły do pokory ubogich. Coś dumnego, gniwnego niemal, energicznego patrzyło z oczu wpadłych głęboko, ciemnymi śladami łez obramowanych.

Przypatrywał się jój Wiktor, znajdując także coś tragicznego w téj postaci błakającej się samotnie wśród tłumu, z myślami i troskami—gdy przechadzająca się, potrącaną będąc przez wesołych a nieuważnych przechodniów, usunęła się trochę w głąb ku drzewom i zbliżyła ku ławce, na której siedział Wiktor w cieniu. Nie widziała go zrazu i rozpoczęła swą przechadzkę nawo, tu, gdzie mniej było ludzi, a miejsca więcej.

Przeszła tak parę razy około niego, nie postrzegłszy, i dopiero po kilku zwrotach, rzuciwszy na ławkę okiem, zdawała się go poznawać. Ciekawemi oczu zmierzyła go, dla sprawdzenia czy

się nie myli; wstrzymała się nieco, zawahała i przystąpiła bliżej.

Wiktor zmuszony był się uklonić, na co odpowiedziała mu skinieniem głowy i siadła dalej trochę na téj saméj ławce.

— Korzystam ze sposobności, aby panu podziękować—odezwała się głosem, w którym mniej było energii, niż gdy ją spotkał pierwszą razą.— Wymknęłeś mi się pan tak, żem mu nawet polskiego Bóg zapłać powiedzieć nie mogła.

— Bo nie było za co—odrzekł, śmiejąc się, Wiktor.

— Pan jesteś artystą?—zapytała.

— Nie, pani, jestem próżniakiem, miłującym sztukę i czasem trwoniącym czas na nią niepotrzebnie.

Z głową zwróconą ku niemu słuchała kobieta.

— Cieszę się, że pan nie jesteś artystą i że ja go nie zastraszę przybyciem mojem tu, gdzie artystów jest tylu, a miłośników podobno tak mało.

Pomyślała trochę i ciągnęła z coraz wzrastającą energią:

— Niech to pana nie dziwi, że nie mając kogo pytać, będę niedyskretną. Szczérze mi pan powiedz: czy z małym talentem a wielką pracą można wyżyć z tego penzla nieszczęśliwego?

Wiktor słuchał cierpliwie.

— Z wielkim nawet talentem i niemniejszą pracowitością sztuką żyć bardzo trudno—odparł, nie obwijając w bawełnę surowego wyroku.—

Do pozyskania imienia dobić się niełatwo, a bez niego jest się na łasce przekupniów. Ci zaś mają tyle do wyboru, a tak są nawykli do nabywania prawie darmo, że rachując na nich, można umrzeć z głodu. Ludzie co kupują, wolą tanio nabyć u handlarza brzydkość, niż coś dobrego u artysty. Nie znają się powiększej części, idzie im tylko o pamiątkę z podróży.

— A jeżeli do życia potrzebuje się mało, bardzo mało?—przerwała kobieta.

— Nie wiem doprawdy, co mam pani odpowiedzieć, abym jęj nie uczynił zawodu — rzekł Wiktor.—Nie byłem dotąd narażony na konieczność zarobkowania.

Nastąpiło milczenie. Kobieta szklanemi oczyma patrzyła ku Watykanowi; Wiktor patrzył na nią. Miała w tęg chwili oblicze wistocie tragiczne.

— Nie sądzę pan—dodała zimno — ażebym i ja już się znajdowała w położeniu podobném. Z pewnością dość długo jeszcze płótno psuć będę mogła, nie potrzebując szukać na nie kupca, ale wszystko przewidzieć trzeba.

Słuchacz nie odpowiedział.

— Pani wprost z kraju przybywa?—zapytał po przestanku.

— Nie—odparła nieznajoma — od lat kilku mieszkałam za granicą. Zmieniło się położenie moje, a dawniej już kochałam sztukę i zajmowałam się nią dla nięj samęj.

To mówiąc, wstała, poprawiła na sobie chustkę i chciała już odejść, ale usiadła znowu.

— A pan oddawna jesteś w Rzymie? — zapytała.

— Po Włoszech włóczę się nie od dzisiaj, choć niezawsze siedzę w Rzymie — rzekł Wiktor. — I terazbym tu nie powinien być, gdyby... nie jakaś ociążałość i... różne okoliczności.

Nieznajoma poruszyła się znowu i zatrzymała, namyśliwszy nieco.

— Rzym jest cudnie piękny — odezwała się — ale jakże smutny!

— Jest też on przytułkiem tych, co tu resztki życia przychodzą zagrzebać w miłości sztuki, lub w modlitwie. Młodzi tu prędko starzeją, a starzy żyją długo.

Kobięta popatrzyła na Wiktora i, skłoniwszy mu się głową, powolnym krokiem odeszła. Widział ją jeszcze parę razy idącą wzdłuż placu, aż znikła mu w mrokach wieczora. Z politowaniem powiódł za nią oczyma. Z krótkiej rozmowy łatwo było wywnioskować, że biedna kobięta przybyła tu ze złudzeniami niedoświadczenia i ciężkie godziny miała do przebycia przed sobą. Czuł przytém, iż była jedną z tych istot dumnych, którym żadnej pomocy ofiarować się nie godzi.

Przesiedział tak, pozostając na miejscu prawie do mroku sam na ławce; potem nałogowo, machinalnie powlókł się do swojej tratoryi. Po-

trzebał się czémś rozerwać, wrócić do postradanego stanu ducha, w którym czuł zmianę wielką.

Przyczyną jój była Liza. Wiedział o niej z dawniejszych czasów tyle, ile wszyscy zdala stojący słyszeć mogli. Bliższe poznanie nowe myśli obudzało. Ostatnia rozmowa w zastygłą duszę rzuciła zarzewie. Rozezarowany, ochłodły, obawiał się dać ujść urokowi, który nań wywierała.

— Powinienem uciekać, gdy tylko przyzwolicie wykonać to się da—mówił w duchu.—Przyrzekłem ją oprowadzić po Rzymie. Zniknąć nagle byłoby niegrzecznie. Potrzeba znaleźć powód do odjazdu.

Szedł tak rozmyślając, gdy naprzeciw posłyszał ze śmiechem suchym i naleganiem kilka razy coraz głośniej powtórzone:

— Buona sera!

Trudno było w antypatycznym dźwięku tych słów nie poznać hr. Filipa. Szedł podrażniony, rozgorączkowany więcej niż zwykle, zmuszając się do fałszywej wesołości.

— Sądziłem że pan dotąd siedzisz u naszego ideału—odezwał się, nadciągając.—Słyszałem żeś pan tam obiadował.

— Zkądże hrabia wiesz o tém?

— Wiem wszystko, co się ideału tyczy—mówi Filip, zwracając się i okazując ochotę towarzyszenia idącemu ku garkuchni.—Cały świat

wieć, że się kocham oddawna w pięknej Lizie  
że o nią jestem zazdrosny.

— Ja przynajmniej do tego mu nie dam powodu—roześmiał się Wiktor.

— Dlaczego nie. Wszyscy co się zbliżają do niej, co na nią patrzą, co z nią mówią, którym się ona uśmiecha, budzą zazdrość we mnie. Zazdroszczę nawet jej bratu i służącym.

— A!—przerwał Wiktor szydersko—więc wedle słów poety powinienes pan zazdrościć i wiatrowi co muska jej lice, słońcu, które gra w jej oku...

— Wszystko to śmieszném być może, nie przeczę—odparł hrabia—lecz namiętność wszelka zimnym ludziom wydawać się musi śmieszną. Tak jest—dodał z pewnym rodzajem desperacyi, która żartobliwą być chciała.—Kocham się w tym ideale od lat wielu... nadaremnie, a ulęczyć mnie z tej pasyi nawet lodowata obojętność przedmiotu mych adoracyj nie może! Umrę już z tą chorobą.

Szli zwolna ku tratoryi, a hrabia z ciągłą gorączką, nie zważając na małą znajomość z Wiktozem, wywnętrzał się w sposób nieco dziwaczny.

— To nieszczęśliwa kobieta! Nieboszczyk mąż ją zgubił, odebrał jej wiarę w ludzi, ochotę do życia. Był-to człowiek potworny, tyran, rozpustnik, cynik obrzydliwy, który tego anioła poszanować nie umiał. Cierpiała z nim tyle, że jej życie zbrzydło; cały rodzaj męzki musi sobie wyobrażać tak ohydnie zepsutym, jak był ów Cyryl.

Odpycha téż wszystkich. Nie dziwiłbym się, gdyby mnie jednego los ten spotkał i tłumaczyłbym to jakąś idiosynkrazją; lecz tak samo odrzuciła hr. Augusta, który się w niej od niepamiętnych czasów kocha i pozostał jój wiernym. Tak samo odprawiła młodszych i wielce dystyngowanych.

— Brat mi mówił i ona sama się z tém nie tai — rzekł Wiktor — iż wcale za mąż iść nie myśli.

— Ale one tak mówią wszystkie — rozśmiał się hrabia. — Właśnie dlatego, że to się tak głośno i często powtarza, jabym wątpił. Gorycz pierwszego małżeństwa pozostała jój jeszcze na ustach.

Wiktor chciał odwrócić rozmowę.

— Hrabia znałeś pana Cyryla? — zapytał.

— Nietylkom go znał, ale miałem nieprzyjemność być jego krewnym — odparł hr. Filip. — Żyliśmy z sobą na stopie poufałości. Kłóciłem się z nim z powodu téj nieszczęśliwój ofiary, którą zamęczał cynizmem bez litości, szyderstwem bez względu, afiszowaniem swych fantazyj monstrualnych... Mając takiego anioła, prowadził pod jego boki życie tak skandaliczne, że o niém mówić nawet niepodobna. Że ta kobiéta przeżyła boleści, których doświadczyć musiała, wstyd, npokorzenie... to cud! Z kału tego, o który się ociérać była zmuszona, wyszła jednak czystą, ale na duszy zabita.

Wchodzili do tratoryi, Wiktor zajął miejsce, nie podsycając rozmowy i sądząc że hrabia go



porzuci. Ale Filip zasiadł przy stole, zupełnie niezrozumiałym.

Po krótkim milczeniu, jakby sobie coś przypominał, odwrócił się do Wiktora.

— Zdaje mi się—zawołał—żem pana widział na Monte Pincio, rozmawiającego z tą... jakąś artystką, Polką, przybyłą do Rzymu.

— Tak jest—rzekł Wiktor.—Miałem sposobność oddać jej małą przysługę; przyszła mnie o coś zapytać.

— Czy mówiła panu jak się zowie?—badał, wpatrując się w niego pilno, hrabia Filip.

— Nie pytałem o to, nie jestem ciekawy—rzekł Wiktor.

— Przybyła tu kształcić się na artystkę—zawołał szydersko Filip.—Pocieszna idea! Pan przez miłosierdzie powinienś jej to wybić z głowy. Naprzód Rzym dla chcących się uczyć jest zawczesny, powtóre stosunki w nim... dla kobiety, ciężkie, niewłaściwe. Należałoby jej odradzić pobyt w Rzymie, z obowiązku sumienia.

Hrabia mówił to jakoś tak gorąco, jak gdyby go nieznajoma obchodziła wielce. Wiktor ramionami poruszył.

— Jest mi tak dobrze jak nieznajomą i bliżej się zapoznawać nie mam ani czasu, ani ochoty, a ona sama, jak się zdaje, zawiązywania stosunków z nikim sobie nie życzy—rzekł po chwili.—Mieszać się więc w to nie mogę.

— Lecz jeżeli ona sama zagadnęła pana i za-

sięga rady — odezwał się hrabia, nie patrząc w oczy Wiktorowi i bawiąc się szklanką, którą nielitościwie o stół uderzał. — Przecież to jest obowiązkiem chrześcijańskim ostrzedz, radzić, pomagać. Być może iż fantazya ją tu zapędziła, że się spostrzeże zapóźno, jak fałszywy krok zrobiła, a nie będzie miała środków do naprawienia go, wrazie gdyby chciała odjechać.

Tu hrabia zaciął się nieco i rzekł bardzo cicho:

— Ja z chęcią środków jój dostarczę.

Dziwnie jakoś Wiktor spojrzał na niego.

— A czémże ona pana hrabiego litość tak żywo obudzić mogła? — zapytał.

— Moję? — hrabia pomyślał. — Ależ jam jój nawet nie widział zblizka; chrześcijański tylko obowiązek, a potem... zawsze należymy do jednego narodu i jakby do jednej rodziny.

Tój nadzwyczajnej gorliwości w spełnianiu obowiązków i w poszanowaniu węzłów krwi tak mało się Wiktor spodziewał po hrabi Filipie, tak z jego ust zdało mu się to nadzwyczajném, że w twarzy jego wyraziło się dobitnie zdziwienie zaniemiałe.

Gorączkowo wstrząsnął się, niby obrażony niém, hr. Filip.

— Zdaje mi się — dodał — że w tém com powiedział niema nic tak nadzwyczajnego. Nie możesz mi pan naganić tego.

— A! uchowaj Boże — zawołał Wiktor — lecz

nie nawykłem za granicą do takich objawów sympaty dla nieznajomych ziomków.

— Kobięta, proszę pana!—odparł nieco zmieszany hrabia.—Położenie, którego się domyślać łatwo mimowolnie obudzać musi współczucie.

— Niech-że się hrabia uspokoi—rzekł Wiktor.—Wprawdzie zapytywała mnie dziś właśnie, czy sztuka może wykarmić i starczyć skromnym potrzebom, ale zarazem dodała, iż uciekać się do niej teraz jeszcze nie jest zmuszoną.

Hrabia Filip słuchał z uwagą tak nadzwyczajną, iż znowu podejrzenie obudził w Wiktorze. Gdy ten mówić skończył, zapatrzył się hrabia w szklanekę i zadumał.

Tymczasem Wiktor, śmiejąc się, rozmawiał z piękną Pepitą, która, nie zważając na obecność trzeciego, szczebiotała, jakby radując się, że zobaczyła starego przyjaciela.

Rozmowa z Włoszką na czas jakiś przerwała rozpoczętą z Filipem, który zmarszczony siedział naprzeciw i zdawał się wahać, a namyślać. Po odejściu Pepity podniósł głowę.

— Tak, tak—zawołał.—Ponieważ ta nieznajoma sama szuka w panu opiekuna i doradcy, radź jęj pan, aby conajprędzej Rzym opuściła.

— Nie podejmuję się tego—odparł Wiktor—bo wogóle znajduję, że samemu sobie radzić trudno, cóż dopiero drugim.

— Drugim daleko łatwiej—podchwycił hrabia.—Wierz mi pan!

Zaciął się znowu i szklanę potoczył, która, padłszy na ziemię, na ceglanej posadzce się roz-  
tłukła. Z niecierpliwością hrabia kopnął nogą  
szczątki i skruszył je.

Z wysiłkiem widocznym pochylił się do Wi-  
ktora,

— Między nami mówiąc—szepnął—zdaje mi  
się że znam tę panią. Jestem tego prawie pe-  
wnym; dlatego los jój poniekąd mnie obchodzi.  
Rozumié pan?

— Rozumiem—rzekł zimno Wiktor—lecz nie  
wiem dlaczegoś hrabia sam, znając ją, nie  
miał się zbliżyć do niéj. Byłoby to daleko wła-  
ściwszém.

— Ja nie mogę—wybuchnął hrabia Filip, któ-  
rego oczy zaiskrzyły się.—Uczyniłoby to przy-  
krość niewysłowioną jój i mnie. Niemogę!—po-  
wtórzył—nie mogę! Ta nieszczęśliwa się zgubi!  
To istota nieopatrzna, fantastyczna, dumna, zdzi-  
waczała...

Mówiąc, wstał poruszony hrabia Filip, wycią-  
gając rękę do Wiktora.

— Powiem prawdę—dodał gorąco—żem dla  
tego... interesu gonіл za panem. Spodzielwam się,  
że, bądźcobądź, zatrzymasz to przy sobie i o tém,  
com mu zwierzył, nie będziesz mówił nikomu.

Wiktor głowę skłonił.

— Proszę być tego pewnym—rzekł poważnie.

— Stosunki nasze były bardzo blizkie—po-  
śpiesznie dorzucił hrabia.—Siegają one dawnych

już nieco czasów. Nie było w nich nic, coby téj pani krzywdę czynić mogło.

Dokończywszy, Filip się podparł na stole i zamilkł ponuro.

— Zaczyna być nudno i duszno w tym Rzymie—dodał.—Gdyby nie pani Liza, na którą patrzeć muszę, dopóki tylko wolno, wyjechałbym ztąd zaraz.

Zaczął się przechadzać po izbie.

— Przychodzi mi myśl jedna—dodał, stając naprzeciw stolika.—Zrobię małą niespodziankę towarzystwu naszemu. Wszystkich panów i panie zaproszę gdzieś na wielką ucztę, abyśmy się choć raz zabawili wesoło! Jak pan myśli, gdzieby to najlepiej, najpiękniej odbyć się mogło?

— Że nie tu u Pepity—żartobliwie odparł Wiktor—to pewna. Innych miejscowości, do uczowania właściwych, nie jestem świadom... W Rzymie, gdziekolwiek chciałoby się zabawić, nogą zawsze stanie się na grobie.

Filip gryzł palce zadumany.

— Trzeba koniecznie czémś się z tych wiecznie grobowych i żałobnych myśli rozbudzić—zawołał.—Obu księżn jestem pewien, że mi nie odmówią, ale pani Liza, o którą mi idzie najwięcej?

Wiktor jadł, nie wtrącając się do namysłów; radby się był uwolnić od natręta, rozgorączkowanego i w stanie nienaturalnym dziwaczającego.

Śpieszył więc z winem i sérem, aby go coprędziej pożegnać.

Domyślając się tego, Filip wziął także za kapelusz.

— Jest późno—rzekł.—Namyśle się jeszcze dokąd zaprosić; lecz w każdym razie, bez żadnej wymówki, i pan mi zrobisz tę przyjemność...

Nim Wiktor zebrał się na odpowiedź, hrabiego Filipa już nie było; wybiegł, jakby go co pędziło.

Pepita, która zdala wszystkie ruchy jego i miny uważała, zbliżyła się do stolika napół przelekła, napół rozśmieszona.

— Ten pan... pijany, czy?...—uderzyła się w czoło.

— Ani jedno, ani drugie, Pepito czarnooka—rzekł smutnie Wiktor.—Coś gorszego od obojga, dziecko moje. Łysy już, a boję się czy nie zakochany.

Dziwczę z ubolowaniem palcem wskazało powtórnie na czoło. Wydał się jój teraz szaleńszym jeszcze.

KOŃIEC TOMU PIÉRWSZEGO.



NADWODZA WYDAWNICTWA

KRZYSZTOF I SŁADKOWSKI

# GEBETHNERA I WOLFFA

W WARSZAWIE.

- Deotyma.** Zwierzędlana zagadka. Powieść. Rs. 1 kop. 20.
- Dubiecki** Maryan. Kudak, ty i rdza kresowa i jej okolic. Monografia historyczna, nagrodzona przez Akademię Umiejętności w Krakowie. Kop. 90.
- Du Chaillu P.** Przygody podróżnika i myśliwego w Afryce zachodniej. Przetłóżył prof. A. Wrzesniowski. W oprawie tekturowej rs. 1 kop. 20 w oprawie płóciennej rs. 1 kop. 50.
- Hübner** Baron. Syksta piąty według karte parady dyplomatycznych niewydanych, z przynajmniej w archiwach: Watykań, Simancas, Wenevi, Paryża, Wiednia i Florencyi. Przetłóżył St. Strzykowski 2 tomy. Rs. 2 kop. 60.
- Jordar.** Ze wspomnień marynarzy. Opowiadanie kop. 50.
- Kraszewski J. L.** Białski. Powieść z podania o XVIII wieku. 2 tomy. Rs. 2.
- Biał. Opowiadanie historyczne. Wydanie drugie. 2 tomy. Rs. 2.
- Holota. Powieść współczesna. 2 tomy. Rs. 1 k. 50.
- Hrabia Cosel. Powieść historyczna. Wydanie 2. 2 tomy. Rs. 2.
- Jak się pan Paweł żenił i jak się ożenił. Powieść. Kop. 90.
- Krasiecki. Życie i dzieła. Kartka z dziejów literatury XVIII wieku. Rs. 2. Na wędlinie in 8o Rs. 2 k. 50.
- Pamięń czterech chłopach. Historia szkolna z XVIII wieku. Rs. 1.
- Serypł Flenan. Powieść historyczna z czasów Anny II go. 2 tomy. Rs. 1 kop. 70.
- Stronata Warszawski. Obrazy historyczne z XVIII wieku. 3 tomy. Rs. 3.
- Syn kontraktowy. Opowiadanie z końca XVIII w. 2 tomy. Rs. 2 kop. 40.
- W starym piśmie. Studjum psychologiczne. Rs. 1 kop. 20.
- Złoty żołnierz i wojny. Opowiadanie historyczne. W oparciu o stare. 2 tomy. Rs. 2.



Biblioteka Raczyńskich

JIK 77



JIK0077